Rok XXX (XLVI) / nr 5–9 (403)
czerwiec 2021 / cena 5 zł
ISSN 1230-9710
Ukazuje się od 1952 roku

NAUKA • BADANIA • KULTURA • SPORT

GŁOS UCZELNI

CZASOPISMO UNIWERSYTETU MIKOŁAJA KOPERNIKA W TORUNIU

Wzór na świat
s. 6–11

Spis od kulis
s. 20–28

Biochemia miłości, czyli zakochany mózg
s. 51–53

Style jedzenia i ich wpływ na zdrowie
s. 54–56

UNIWERSYTET
MIKOŁAJA KOPERNIKA
W TORUNIU

Toruń XI 1981 r.

95

REPUBLIKA – 40 lat

25 kwietnia 1981 roku Republika zagrała pierwszy koncert, o czym przypomniał m.in. Zbyszek Krzywański na swoim profilu facebookowym. Tę ważną datę dla toruńskiej sceny rockowej i studenckiego klubu "Od Nowa" postanowiliśmy i my przywołać.

Unikatowe zdjęcia, które publikujemy, pochodzą z archiwum "Od Nowy" i Wojciecha Budnego.

Głos na stronie

Fot. Michael Szarpak

Za kilka lat wszyscy zaszczepieni umrą. To efekt nacisków obcej cywilizacji na rządy największych państw świata. Spisek już został zawiązany. Postawione pod murem rządy musiały zgodzić się na takie tajne porozumienie. Warto też pamiętać, że kontakt z osobą zaszczepioną grozi trwałą bezpłodnością.

To pierwsze z brzegu (i trzeba przyznać, że bardzo efektowne) teorie, na jakie natknąć się można w sieci. Pół biedy, gdy ktoś je przytacza z przymrużeniem oka. Ba, nawet od biedy da się wytłumaczyć sytuacje, gdy z wypiekami na twarzy kolportują takie wieści zwolennicy wszelkiej maści teorii spiskowych. Oni przecież zawsze wiedzą lepiej, oni ostrzegają nas przed spiskami, jakie ku naszej zgubie zawiązują możni tego świata. Trzeba przecież zmniejszyć populację zwłaszcza ludzi starszych, wyniszczyć rasy... A już na taką Polskę (co od wieków była „Chrystusem narodów") to wszystkie siły zła dybią. Ale my się nie damy, swoje wiemy, knowaniom postawimy narodową tamę nie do przebycia. Odsłonimy niecne intencje tych Gatesów, Sorosów, a nawet tych z „Eurokołchozu" (autentyczny cytat z jednego z toruńskich użytkowników Facebooka).

Wydawałoby się, że ciemnogród i świat nauki (by użyć matematycznego języka) to zbiory rozłączne. Niestety, gdy zerknie się na niektóre portale, na łamy niektórych gazet i czasopism stwierdzenie to przestaje być takie oczywiste. Ostentacyjne deklaracje antyszczepionkowe padają z ust nawet osób z profesorskimi tytułami i na co dzień pracujących na uczelniach medycznych. Jedna z nich szczepionkę nazwała „konstruktem", który nie powinien być na szerszą skalę stosowany. Czytają takie rzeczy zwykli Kowalscy, Nowakowie, którzy akurat mają udać się do punktu szczepień. I myślą sobie: skoro pani profesor jest przeciw, to pewnie coś jest na rzeczy, więc może lepiej odpuścić sobie te szczepienia.

A jak jeszcze na dodatek trafi na wierzącego, który z ust biskupa (też z naukowymi tytułami) słyszy, że są szczepionki podejrzane moralnie, to efekt mamy murowany. Nie będzie łatwo dobić do tych 70–80 procent „wyszczepienia" (brr, co za koszmarny neologizm).

Takie pandemiczne dyrdymały (choć z bardzo mocnym realnym negatywnym skutkiem) uwypuklają raz jeszcze problem „wszystkowiedztwa" niektórych naukowców. Na szczęście tylko niektórych. Z własnej, już prawie 40-letniej, praktyki dziennikarskiej wiem, że przytłaczająca większość uczonych zdaje sobie sprawę z tego, że są doktorami, profesorami w bardzo konkretnej dziedzinie i poza nią nie wypada się im autorytatywnie wypowiadać, ale są i tacy, którzy uważają, że naukowy tytuł to dowód na mądrość w każdej dziedzinie. I ci potrafią narobić sporo zamieszania, powołując się choćby na... wolność słowa czy akademickiej debaty. I nikt nikomu nie broni wygłaszać poglądów i opinii, ale niekoniecznie w każdej sytuacji z tytułami naukowymi przed nazwiskiem. Przytłaczająca, na szczęście, większość z pewnością doskonale wie, co mam na myśli.

Winicjusz Schulz
Redaktor naczelny „Głosu Uczelni"

NAUKA • BADANIA • KULTURA • SPORT
GŁOS UCZELNI

Ten numer „Głosu Uczelni" został zamknięty 28 maja 2021 roku.
Redaktor prowadzący: Winicjusz Schulz

e-mail: glos-umk@umk.pl
www.glos.umk.pl

Wzór na świat

s. 6–11

Spis od kulis

s. 20–28

Kurs na English Division

s. 12–17

Przestrzeń pomocy

s. 29–31

NAUKA • BADANIA • KULTURA • SPORT
GŁOS UCZELNI

Zespół redakcyjny: Winicjusz Schulz (redaktor naczelny), Marcin Czyżniewski, Marcin Lutomierski, Maurycy Męczekalski, Anna Molenda, Tomasz Ossowski, Andrzej Romański, Wojciech Streich, Ewa Walusiak-Bednarek.

Stale współpracują: Sebastian Dudzik, Jarosław Dumanowski, Marek Jurgowiak, Nikodem Pręgowski, Tomasz Wojciechowski, Sebastian Żurowski.

Adres redakcji: 87—100 Toruń, ul. Reja 25, pokój 7 i 12, tel. 56 611-42-89, 56 611-42-39.

Opracowanie graficzne: Nikodem Pręgowski

Skład: Dariusz Żulewski

Druk: Wydawnictwo Naukowe UMK, ul. Gagarina 5, 87—100 Toruń, tel. 56 611-42-95, e-mail: wydawnictwo@umk.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz ich tytułów.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam.

Życie w czasach COVID

s. 31–38

Linia czułości

s. 39–41

Biochemia miłości

s. 51–53

Głos na stronie 3

Wzór na świat 6

Kurs na English Division 12

Drugi po Bogu 17

Spis od kulis 20

Przestrzeń pomocy 29

Życie w czasach COVID 31

Linia czułości 39

Cztery filary 42

Turystyka w czasach zarazy 46

Biochemia miłości, czyli zakochany mózg 51

Style jedzenia i ich wpływ na zdrowie 54

Związki endokrynnie czynne w naszym otoczeniu 57

Myślenie muzyczne 59

„Zbiór dla kuchmistrza" z 1757 r. *Summa* staropolskiej wiedzy kulinarnej 62

W 75 języków dookoła świata 66

Obraz Polski w emigracyjnej literaturze dla dzieci i młodzieży 67

Bożena Bednarek-Michalska: pożegnanie 70

Historia Wydziału Prawa i Administracji 72

Srebrna Aneta Rygielska 81

Świetni wioślarze 81

Siatkarska mistrzyni Polski 82

Wzór na świat

Z prof. dr. hab. Dariuszem Chruścińskim, kandydatem UMK do Nagrody Heisiga, rozmawia Ewa Walusiak-Bednarek

Fot. Andrzej Romański

– Nie chciałeś się spotkać…

– Na kandydowanie do Nagrody namówili mnie dziekan i dyrektor Instytutu. Zależało im, by ktoś reprezentował Wydział. Ponieważ jest to pierwsza edycja Nagrody, nie miałem za dużo wiedzy na jej temat. Zgodziłem się, a potem trochę żałowałem, bo trzeba było przygotować mnóstwo dokumentów. Poza tym, gdybym wcześniej wiedział, że moim kontrkandydatem będzie profesor Bogusław Buszewski, uznałbym to za absolutną stratę czasu, myśląc, że w takiej konfrontacji jestem całkowicie bez szans.

– Z szesnastu naszych Wydziałów tylko dwa zgłosiły swoich kandydatów, ale za to jakich! Ponieważ Nagroda jest przyznawana za ostatnie dziesięć lat, chciałabym, żebyś opowiedział o tym, czym ostatnio się zajmujesz. Ale z pewnym warunkiem. Zabawnie jest, jak językoznawca zajmujący się wulgaryzmami udziela wywiadu na ich temat, nie mogąc ich użyć. Wyobraź sobie, że równania, nad którymi pracujesz, to wulgaryzmy. Dasz radę wyjaśnić, co robisz – bez nich?

– Opowiedzieć bez równań? Dobrze. Generalnie zajmuję się fizyką teoretyczną i matematyczną, w szczególności mechaniką kwantową. Z grupą współpracowników zajmujemy się kwantowymi układami otwartymi. Co to jest? Koncepcja jest bardzo prosta. Układ jest zamknięty (inaczej – izolowany), jeśli nie oddziałuje z zewnętrznym światem (zwykle nazywanym otoczeniem). Na taki układ

fizyczny nie możemy wpływać z zewnątrz. Nie ma wymiany energii i informacji między układem a jego otoczeniem. Takie wyidealizowane układy poznają studenci na pierwszym kursie mechaniki kwantowej. Cała informacja o własnościach dynamicznych układu jest zakodowana w tzw. Hamiltonianie (lub precyzyjniej operatorze Hamiltona). Jeśli znamy ten operator (interpretowany jako energia układu), to w zasadzie możemy odpowiedzieć na każde pytanie dotyczące tego układu. Ewolucja takiego układu opisywana jest jednym z najważniejszych równań w fizyce – równaniem Schrödingera. W praktyce rozwiązywanie tego równania może oznaczać konieczność wykonania szeregu skomplikowanych obliczeń. Ale przepis jest znany.

Układy izolowane są pewną idealizacją. Realistyczne układy kwantowe, układy istniejące w przyrodzie, nigdy nie są doskonale izolowane. Nazywamy je otwartymi. Oddziałują z zewnętrznym światem, wymieniając energię oraz informację. To, co zwykle nas interesuje, to konkretny układ fizyczny, który jest mały w porównaniu z jego otoczeniem. Na przykład atom, który oddziałuje z zewnętrznym polem elektromagnetycznym. Oczywiście możemy potraktować cały układ złożony, tzn. ten, który nas interesuje plus jego otoczenie, jako układ zamknięty i zastosować do niego przepis opisany powyżej. Problem w tym, że taki złożony układ zawiera dużo informacji (dużo stopni swobody) i jego opis jest technicznie bardzo skomplikowany i kosztowny (na przykład wymaga ogromnych mocy obliczeniowych). Chcielibyśmy poznać własności naszego układu (na przykład atomu) bez konieczności analizy dużego układu złożonego. Tym generalnie zajmuje się kwantowa teoria układów otwartych. Z jednej strony pomaga nam zrozumieć, jak otoczenie wpływa na układ (atom). Z drugiej strony, zauważmy, że zazwyczaj nasza informacja o układzie pochodzi z pomiarów, jakie wykonujemy na jego otoczeniu. W naszym przykładzie z atomem mierzymy pole elektromagnetyczne, które atom emituje i w ten sposób zdobywamy informację o samym układzie (atomie). Sam mechanizm pomiaru jest ingerencją obserwatora (fizyka w laboratorium) w mierzony układ, a zatem, żeby cokolwiek zmierzyć musimy układ „otworzyć".

– Rozumiem to na poziomie fizyki, jakie ma tu zastosowanie matematyka?

– Matematyka w naszych badaniach jest absolutnie kluczowa. Zasadniczym elementem jest zna-

Profesor Norbert Heisig Fot. www.uni.wroc.pl

lezienie odpowiedniej reprezentacji matematycznej obiektów, których używamy.

– Co to znaczy matematyczna reprezentacja obiektów? Realnie istniejących obiektów?

– Tak, realnie istniejących obiektów. Chodzi o to, jak matematycznie zapisać informację, jaką posiadamy o obiekcie. W żargonie fizycznym mówimy o stanie układu. Stan układu to informacja, którą posiadamy o układzie. W fizyce klasycznej układ (na przykład piłka do gry) jest dobrze scharakteryzowany, jeśli wiemy, gdzie jest i z jaką prędkością się porusza. W fizyce kwantowej sytuacja zmienia się diametralnie. Nie możemy powiedzieć jednocześnie, gdzie obiekt jest i z jaką prędkością się porusza. Jest to prosty wniosek z zasady nieoznaczoności Heisenberga (jednego z głównych twórców mechaniki kwantowej). A więc im lepiej znamy położenie obiektu, tym mniej wiemy o jego prędkości. I na odwrót. Dlatego w mechanice kwantowej opis jest zupełnie inny niż w teorii klasycznej i – jest zupełnie abstrakcyjny. Początkującym studentom sprawia to sporo problemów. Z pomocą przychodzi matematyka, która oferuje elegancką reprezentację stanu układu kwantowego. Z każ-

dym układem kwantowym (fizyka) stowarzyszona jest pewna przestrzeń Hilberta (matematyka) i stan układu (izolowanego) reprezentuje się wektorem tej przestrzeni. W przypadku układu otwartego jego stan reprezentuje się tzw. macierzą gęstości (obiekt wprowadzony przez genialnego fizyka radzieckiego Lva Landaua w 1927 roku), która z kolei jest elementem tzw. przestrzeni Banacha (matematyka rozwinięta przez polską szkołę matematyczną odgrywa ważną rolę w fizyce kwantowej). Dla nas odpowiednia reprezentacja matematyczna odgrywa kluczową rolę. Jeśli posiadamy odpowiednią reprezentację, to wykonując matematyczną analizę takich obiektów i związków między nimi, zdobywamy informację o fizycznych własnościach naszego układu.

W 1955 roku w matematyce pojawiło się pewne nowe pojęcie tzw. odwzorowań kompletnie dodatnich (czasami nazywanych również całkowicie dodatnimi). Wprowadził je Stinespring bez żadnego związku z fizyką. Są to pewne szczególne przekształcenia między dwiema przestrzeniami, które są tzw. C^*-algebrami (przepraszam, matematycy wiedzą, o czym mówię). Była to wówczas matematyczna ciekawostka, ale mniej więcej po dziesięciu latach pojawiły się pierwsze prace w fizyce teoretycznej, które znalazły pewne, na początku bardzo nieśmiałe zastosowanie tego pojęcia w fizyce. Natomiast w latach 70. okazało się, że to pojęcie jest absolutnie kluczowe dla fizyki kwantowej. Polski Nobel dla profesora Andrzeja Kossakowskiego został przyznany za znakomite zastosowanie tego pojęcia w analizie dynamiki układu otwartego. Obecnie bardzo modna w fizyce jest kwantowa teoria informacji, dla której pojęcie odwzorowań kompletnie dodatnich jest absolutnie fundamentalne. W tej teorii podstawowym obiektem jest coś, co nazywamy kanałem kwantowym. Analogią klasyczną kanału kwantowego jest na przykład połączenie telefoniczne. Nadawca mówiąc, podaje informację na „wejście kanału", następnie ta informacja jest przetwarzana; przechodzi przez jakąś linię przesyłową, a potem odbieramy ją na „wyjściu kanału"; ktoś tego słucha. W międzyczasie pojawiają się zazwyczaj szumy i zakłócenia. Klasyczna teoria informacji zajmuje się więc przetwarzaniem, przesyłaniem informacji, w szczególności zagadnieniem, jak to zrobić najlepiej, jak pozbyć się lub zredukować szumy. I mamy jej odpowiednik kwantowy, w którym odpowiednikiem przekaźnika (na przykład linii przesyłowej) jest kanał kwantowy; informacja jest kodowana w stanach układu kwantowego, które następnie są przetwarzane zgodnie z prawami mechaniki kwantowej, i na „wyjściu kanału" przez odpowiednie pomiary informacja jest dekodowana.

Kanał kwantowy ma swoją matematyczną reprezentację, która została wynaleziona w latach 50. przez Stinespringa niezależnie, jak powiedziałem, od jakichkolwiek zastosowań w fizyce. Okazuje się, że ewolucja układu kwantowego, jego dynamika, jest opisywana właśnie przez odwzorowanie kompletnie dodatnie. Jeśli odwzorowanie nie jest kompletnie dodatnie, to z pewnych powodów łamie prawa fizyczne.

Kwantowa teoria informacji wiąże się ściśle z kwantowymi układami otwartymi. Po pierwsze używa tego samego języka, a po drugie zajmuje się podobnymi problemami, w szczególności tym, jak kodować kwantową informację. Co jest głównym problemem w przesyłaniu informacji? To, że są zakłócenia i szumy. Jeśli są zbyt duże, to w ogóle tracimy informację, nie potrafimy rozkodować tego, co jest na wyjściu, nie wiemy więc, co nadawca chciał nam przesłać. Jeśli mamy do czynienia z obiektami kwantowymi (na przykład atomami), problem ten jest jeszcze dużo większy. Wpływ zewnętrznego otoczenia (który jest duży – makroskopowy) na obiekty mikroświata jest istotny i może bardzo zakłócać informację kwantową. Kwantowa teoria informacji zajmuje się charakterystyką kanałów kwantowych, ich własności, wpływu na układ, generowanego szumu, itp. Dzięki temu możemy próbować konstruować w rzeczywistości takie metody przesyłania i przetwarzania informacji, które będą te szumy kontrolować, kontrolować zakłócenia lub niemal je eliminować. To jest ważny aspekt, również w teorii układów otwartych. Ponieważ układ jest otwarty, to otoczenie ma zazwyczaj destrukcyjny wpływ na jego własności, które są dla nas istotne. Przykładem jest kwantowa koherencja (szczególna własność pozwalająca układowi kwantowemu przebywać w superpozycji dwóch różnych stanów). Odziaływanie z otoczeniem prowadzi do utraty koherencji – proces ten zwany jest kwantową dekoherencją – a tym samym w pewnym sensie układ jest „coraz mniej kwantowy". Tego niepożądanego wpływu generalnie nie możemy się pozbyć. Ale można spróbować myśleć, że zamiast się go pozbywać, można go wykorzystać. Uczynić z wroga przyjaciela. Jest to bardzo ciekawa koncepcja, która posiada już ciekawe zastosowania w inżynierii stanów kwantowych.

Inna część naszej działalności jest poświęcona badaniom korelacji kwantowych. Czyli korelacjom, które mogą powstać w układach kwantowych i które różnią je od układów klasycznych. W świecie klasycznym regułą jest to, że jeśli mamy układ fizyczny, który składa się z dwóch mniejszych podukładów, to jeśli posiadamy pełną informację o całym układzie, to również wiemy, co dzieje się w tych podukładach. Dla przykładu, jeśli mamy mieszkanie (układ) złożone z dwóch pokoi (podukłady) i jeśli mamy pełną informację o całym mieszkaniu, to mamy również pełną informację o tych dwóch pokojach, niezależnie. Ten prosty fakt nie obowiązuje w świecie, którym rządzą prawa kwantowe. Możemy mieć pełną informację o układzie – a zerową o podukładach. Jednym z przykładów korelacji kwantowej może być tzw. splątanie kwantowe, które zrobiło karierę również w tematyce komputerów kwantowych. Różne nowoczesne technologie kwantowe, takie jak kwantowe obliczenia czy też kwantowa teleportacja są oparte na korelacjach kwantowych. Nasza grupa ma całkiem spore sukcesy w ich charakterystyce.

– Podoba mi się termin „splątanie". Wyjaśnisz, co znaczy?

– Splątanie, jak powiedziałem, jest pewnym rodzajem korelacji między układami kwantowymi. Na ten niezwykły rodzaj korelacji zwrócił uwagę jeden z twórców mechaniki kwantowej Erwin Schrödinger w 1935 roku. To on zaproponował nazwę „Verschränkung", co po polsku tłumaczymy jako „splątanie". Jest to czysto kwantowy efekt polegający na specyficznej korelacji między układami kwantowymi. Żeby to jakoś przybliżyć; przypuśćmy, że mamy układ złożony z dwóch podukładów, które są rozseparowane przestrzennie, na przykład Ty posiadasz jeden układ, a drugi jest na Księżycu. Masz dostęp do Twojego podukładu, ale nie masz dostępu do tego na Księżycu. I teraz jeśli te podukłady są w stanie splątanym, to jeśli dokonasz pomiaru w Twoim podukładzie, to bez mierzenia drugiego podukładu wiesz, jaki będzie wynik odpowiedniego pomiaru na Księżycu. Ta zaskakująca własność jest podstawą kwantowej teleportacji, która pozwala przesłać (teleportować) stan Twojego układu na Księżyc pod warunkiem, że układ na Księżycu jest splątany (czyli skorelowany) z Twoim! Widzisz: prawa fizyki klasycznej nie przewidują tego rodzaju korelacji.

– Jak rozwijały się Twoje kwantowe zainteresowania? Jak to się wszystko zaczęło?

– Raczej standardowo. Generalnie już w szkole interesowała mnie matematyka i fizyka. W IV LO w Toruniu, które kończyłem, fizyki uczył mnie pro-

Fot. Andrzej Romański

fesor Juliusz Domański, entuzjasta fizyki. Pamiętam, jak kiedyś spotkanie koła naukowego, które organizował, trwało tak długo, że szkoła została zamknięta i musieliśmy ewakuować się przez okna. Potem studiowałem fizykę na UMK. Miałem znakomitych wykładowców – profesora Józefa Szudego, który wykładał wstęp do fizyki, profesora Stanisława Dembińskiego, który uczył mechaniki kwantowej i profesora Andrzeja Kossakowskiego, który z kolei miał genialny wykład z elektrodynamiki. Magisterkę robiłem pod kierunkiem profesorów Jerzego Kijowskiego (Centrum Fizyki Teoretycznej PAN) i Andrzeja Jamiołkowskiego (który wówczas był już rektorem UMK). Promotorem mojego doktoratu był profesor Kijowski. Zajmowałem się wtedy zupełnie czymś innym, też bardzo ciekawym problemem, tzw. samooddziaływania. Czyli tym, jak naładowana cząstka oddziałuje z polem elektromagnetycznym, które sama wytwarza. Problem do dzisiaj nie posiada satysfakcjonującego rozwiązania. Może do tego kiedyś wrócę. Profesor Kijowski, z którym ostatnio rozmawiałem, ma nowe pomysły, aby ponownie „zaatakować" ten problem.

– A współpraca z profesorem Kossakowskim?

– Zacząłem z nim współpracować stosunkowo późno, bo dopiero w 2005 czy 2006 roku. Napisaliśmy wtedy kilka prac o kwantowym splątaniu i specjalnej klasie kanałów kwantowych, które całkowicie niszczą każdy stan splątany. Wtedy też rozpoczęliśmy pracę nad uogólnieniem słynnego równania Goriniego-Kossakowskiego-Lindblada-Sudarshana nagrodzonego Polskim Noblem (dla uproszczenia nazywajmy je równaniem Kossakowskiego). Otóż równanie to daje przewidywania zgodne z eksperymentem, jeśli oddziaływanie otoczenia na układ jest dostatecznie słabe. Obecne techniki eksperymentalne pozwalają analizować sytuację, która wychodzi poza przybliżenie słabego oddziaływania. Wtedy tego równania nie można używać, trzeba szukać czegoś bardziej ogólnego.

– Czegoś, co reprezentuje bardziej realne układy? Można tak powiedzieć?

– W pewnym sensie – tak. Równanie Kossakowskiego świetnie działa w wielu ważnych sytuacjach fizycznych, jednak znane są sytuacje, gdy nie działa. Wtedy potrzebny jest bardziej ogólny opis. Mówimy wtedy o tzw. ewolucji niemarkowowskiej albo ewolucji z pamięcią. Mamy szereg ciekawych wyników, ale problem jest trudny i wymaga dalszych analiz. Dość trudno o nim mówić bez używania równań!

– Twój sposób uprawniania nauki jest specyficzny. W dość regularnych odstępach „wypuszczasz" artykuły, napisane najczęściej we współautorstwie z naukowcami z zagranicy, w prestiżowych, z reguły zagranicznych czasopismach. Na czym polega to stopniowe odkrywanie problemu na razie nierozwiązanego?

– Może to dziwnie zabrzmi, ale ten problem jest po prostu nierozwiązywalny. Chodzi o charakterystykę równań kwantowej ewolucji (poza przybliżeniem słabego oddziaływania), które są matematycznie konsystentne, tzn. ich rozwiązania stanowią kanały kwantowe (czyli można je reprezentować przez odwzorowania kompletnie dodatnie). I tutaj mamy problem, ponieważ aby tak było, musimy spełnić na ogół nieskończenie dużą liczbę warunków! Warunki te są automatycznie spełnione, gdy założymy brak efektów pamięci (słabe oddziaływanie). Natomiast to, co udało nam się zrobić w ciągu ostatnich kilku lat, to napisać to równanie przy pewnych dodatkowych założeniach. Nie mamy zatem ogólnego rozwiązania, ale potrafimy podać postać równania przy pewnych dodatkowych ograniczeniach, na przykład zakładając, że układ posiada pewne symetrie.

Podobna sytuacja dotyczy też stanów splątanych. Mamy narzędzia (matematyczne), które potrafią te stany wykrywać. W laboratorium fizycy przygotowują układ w pewnym stanie i nie wiedzą, czy on jest splątany, czy nie. Podają nam informacje, które mają o tym stanie. I my za pomocą naszych narzędzi w określonych przypadkach (pewnych klasach stanów) możemy stwierdzić, czy jest on splątany. Ale nie mamy narzędzia uniwersalnego. Dla pewnych stanów działa, dla innych nie. Współpracujemy z wieloma ludźmi na świecie, których zajmują podobne problemy. Dzielimy się tym, co udało się wypracować. Na przykład wraz z profesor Sabriną Maniscalco (Włoszką z Palermo na Sycylii) pracującą na Uniwersytecie w Turku w Finlandii wypracowaliśmy koncepcję charakterystyki dowolnej ewolucji kwantowej. Została ona przetestowana przez grupę eksperymentalną z Rzymu (pod kierunkiem profesora Fabio Sciarrina). Zmieniając ustawienie eksperymentu, pokazali, że mogą uzyskać ewolucję zgodnie z naszą charakterystyką.

– Można odnieść wrażenie, że świat jest zorganizowany matematycznie. Że nie jest chaosem, tylko – że jest jakiś wzór na świat. Jeszcze bardziej niezwykłe jest to, że najpierw wpadamy na taki abstrakcyjny wzór, nie wiedząc, do czego może być zastosowany, a dopiero potem widzimy, że działa w realnym świecie, że opisuje, czy też reprezentuje jego cząstkę.

– Dobitnie wyraził to słynny matematyk i fizyk, laureat Nagrody Nobla, Eugene Wigner, w artykule „The Unreasonable Effectiveness of Mathematics in the Natural Sciences" z roku 1960. Jego wielokrotnie potwierdzana potem obserwacja jest taka, że właściwie każde ważne odkrycie w matematyce na początku jest abstrakcyjne, nie wiadomo, czy może być do czegokolwiek użyte, a z czasem znajduje bardzo ciekawe, ważne zastosowanie. I to, co my robimy, jest tego przykładem.

Szokujące w pewien sposób jest w ogóle to, że świat można opisać, że to, co obserwujemy podlega opisowi. Wcale nie musiałoby tak być. I szokujące jest to, że mamy doskonały język, który idealnie pasuje i znakomicie się sprawdza – matematyka. Dla matematyków oczywiście „czysta" matematyka jest interesująca sama w sobie. Odkrywają różne prawa, związki, relacje pomiędzy obiektami. To jest bardzo ekscytujące. Ale z drugiej strony okazuje się, że stosując ten czysto abstrakcyjny język, można opisywać zjawiska przyrody. To, co każdy z nas widzi i czego doświadcza na co dzień. Jest to zadziwiające.

– Dziękuję za rozmowę.

Nagroda Heisiga zostanie wręczona w tym roku po raz pierwszy. Przyznaje ją Uniwersytet Wrocławski. Kandydatów mogły zgłaszać Senaty dwudziestu polskich uczelni, które w roku 2018 wzięły udział w konkursie Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza. Ostatecznie do Nagrody zgłoszono dwunastu kandydatów. Jest to najwyższa finansowo nagroda naukowa w Polsce. Laureat, wytypowany przez Komitet Nagrody powołany przez rektora Uniwersytetu Wrocławskiego, otrzyma 200 tysięcy złotych. Nagroda będzie przyznawana co dwa lata. Swoich kandydatów do wyróżnienia zgłosiły dwa Wydziały UMK: Wydział Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej – prof. dr. hab. Dariusza Chruścińskiego, Wydział Chemii – prof. dr. hab. Bogusława Buszewskiego. Na lutowym posiedzeniu Senatu zapadła decyzja, że kandydatem do Nagrody Heisiga z UMK będzie prof. dr hab. Dariusz Chruściński.

W odróżnieniu od większości obecnie przyznawanych polskich nagród naukowych, wyróżnienie nie dotyczy całokształtu dorobku, lecz osiągnięć z ostatnich dziesięciu lat. Jego celem jest nagrodzenie naukowca, którego badania wyróżniają się innowacyjnością – w istotnym dla współczesnego świata zakresie, zostały zwieńczone konkretnym osiągnięciem i zyskały powszechne uznanie. Nagroda jest przeznaczona dla osób pracujących naukowo w Polsce.

Ogłoszenie nazwisk zwycięzcy konkursu oraz dwóch wyróżnionych badaczy, a także wręczenie Nagrody nastąpi podczas Inauguracji roku akademickiego na Uniwersytecie Wrocławskim 1 października 2021 roku.

Profesor Norbert Heisig to niemiecki lekarz, który urodził się w 1933 roku w Breslau. Studia medyczne łączył z filologią klasyczną na uniwersytetach we Fryburgu, Tybindze i Hamburgu. W 2000 roku przeszedł na emeryturę i zaangażował się we wsparcie środowiska akademickiego Uniwersytetu Wrocławskiego. Z jego inicjatywy odmalowano barokowe sklepienie w *Oratorium Marianum* w gmachu głównym Uniwersytetu. Teraz staje się fundatorem najwyższej nagrody finansowej w Polsce.

Dariusz Chruściński jest związany z Uniwersytetem Mikołaja Kopernika od 1989 roku. Zajmuje się matematycznymi aspektami fizyki kwantowej. Tytuł profesora uzyskał w roku 2013. Jest autorem i współautorem ponad 170 publikacji w międzynarodowych czasopismach, cytowanych ponad 4 300 razy, oraz monografii *Geometric Phases in Classical and Quantum Mechanics* napisanej wspólnie z Andrzejem Jamiołkowskim, wydanej w Bostonie w prestiżowej serii *Progress in Mathematical Physics* (cytowanej 280 razy). Osiągnięcia zgłoszone do Nagrody dotyczą kwantowych układów otwartych i teorii kwantowego splątania.

Opracowała Ewa Walusiak-Bednarek

Kurs na English Division

Z prof. dr. hab. med. **Arkadiuszem Jawieniem**, dyrektorem Centrum Kształcenia w Języku Angielskim Collegium Medicum UMK o idei oraz wyzwaniach stojących przed kształceniem międzynarodowym, a także o rozwoju studiów anglojęzycznych w dobie pandemii COVID-19 rozmawia Tomasz Ossowski

Fot. Andrzej Romański

– Idea kształcenia międzynarodowego wiąże się z różnorodnością przynależności narodowej i – w szerokim tego słowa znaczeniu – pochodzenia społeczno-kulturowego studentów. Co decyduje o powodzeniu realizacji tej idei w polskich warunkach Collegium Medicum, gdzie prowadzone są studia anglojęzyczne w ramach English Division?

– Przede wszystkim istotna jest tu świadomość tego, że kształcenie międzynarodowe rządzi się nieco innymi zasadami niż kształcenie „narodowe", obejmujące studentów o pochodzeniu homogenicznym, bez względu na to, czy mowa o Polsce, czy o jakimkolwiek innym kraju. Praca ze społecznością wielokulturową – szczególnie w tak formalnym środowisku jak uczelnia wyższa – wiąże się z koniecznością zrozumienia i akceptowania tworzących ją poszczególnych kultur, to znaczy ich tradycji, wierzeń, szeroko rozumianego światopoglądu, oczekiwań wobec procesu kształcenia, a także potencjalnych źródeł nieporozumień na którejkolwiek z tych płaszczyzn. W przypadku, gdy wykładowca i student pochodzą z tego samego obszaru kulturowego, obie strony mogą swobodnie całą uwagę i zaangażowanie poświęcić kształceniu. Gdy jednak wykładowca prowadzi studentów pochodzących z wielu różnych kultur, musi on wypracować – na podstawie doświadczenia i własnej wiedzy – swoiste metody pracy z daną grupą tak, aby wszystkie te grupy biorące udział w procesie kształcenia okazywały sobie należyte zrozumienie i wsparcie. Szczęśliwie medycyna, jak rzadko która dziedzina nauki, ma w sobie te wszystkie elementy, które ukierunkowują kształcenie na dobro pacjenta, na dobro chorego potrzebującego pomocy, na dobro człowieka jako takiego, ponad wszelkimi różnicami kulturowymi, politycznymi i społecznymi.

– Wśród rozpoczynających studia anglojęzyczne kolejnych roczników przeważają jednakże studenci z krajów europejskich. Czy zatem należy uznać, że idea studiów międzynarodowych najlepiej sprawdza się w aspekcie kontynentalnym, w związku z czym trudniej rekrutować do Polski kandydatów z krajów azjatyckich czy afrykańskich, mimo że zapotrzebowanie na dobrze wykształconych lekarzy wydaje się być tam duże?

– Zapotrzebowanie na wykształconych lekarzy jest wysokie na całym świecie, choć faktycznie w jednych krajach zapewne bardziej niż w innych. Natomiast jest wiele innych czynników wpływających na zainteresowanie kandydatów z danych krajów studiami w Polsce. W niektórych państwach bardzo trudno dostać się na studia medyczne, choć w Polsce w przypadku kierunku lekarskiego również jest sporo kandydatów na jedno miejsce. Ważną rolę odgrywają na przykład kwestie ekonomiczne – kandydatów z krajów silnych gospodarczo przyciąga przystępny koszt życia w Polsce. Odległość uczelni od domu rodzinnego również jest istotna, dlatego kandydatowi z kraju europejskiego łatwiej jest zdecydować się na studia w Polsce niż komuś, kto mieszka na innym kontynencie. Koszty ciągłych podróży tam i z powrotem, na przykład samolotem, potrafią być bolesne dla kieszeni i portfela studenta, a zwłaszcza rodziców. Należy również wspomnieć o tym, że często z przyczyn niezależnych od kandydatów przyjętych już na studia, nie mogą oni podjąć nauki na naszej uczelni. Dotyczy to głównie studentów z krajów afrykańskich, gdzie proces wizowy zajmuje nawet kilka miesięcy. W dobie pandemii czas ten jest jeszcze bardziej wydłużony. Trzeba również podkreślić fakt, że wielu naszych kandydatów to rodzina lub przyjaciele obecnych studentów lub absolwentów, co wskazuje nie tylko na zadowolenie ze spędzonego czasu w Bydgoszczy, ale i na satysfakcję ze zdobytego w Collegium Medicum wykształcenia. Taka „poczta pantoflowa" jest dla nas oczywiście cenną i bardzo pozytywną informacją zwrotną odnośnie jakości naszej anglojęzycznej oferty dydaktycznej.

– Czy główny w tej ofercie kierunek studiów, czyli kierunek lekarski – przygotowujący do specyficznych zawodowo kontaktów z drugim człowiekiem w relacji przyszłego lekarza z pacjentami – determinuje sposób profilowania pożądanej sylwetki kandydata w procesie rekrutacji? Jakie są różnice w pozyskiwaniu przyszłego studenta studiów medycznych w porównaniu z rekrutowaniem studenta kierunków humanistycznych lub nauk ścisłych?

– Nie jest tajemnicą, że profil kandydata na studia medyczne jest nieco inny niż w przypadku osoby pragnącej studiować kierunki humanistyczne lub ścisłe. Osobowość, motywacja, zainteresowania, predyspozycje, sposób pracy, osobiste dążenia – te i inne czynniki naturalnie wpływają na wybór ścieżki edukacyjnej a później zawodowej. Nasi kandydaci na kierunek lekarski przechodzą wstępną weryfikację pod kątem właśnie motywacji i predyspozycji do pracy z osobami potrzebującymi pomocy medycznej. Do wykonywania tego zawodu niezbędna jest spora doza wrażliwości i empatii, a także odporności na sytuacje stresowe i konfliktowe, które naturalnie pojawiają się w każdym zawodzie opartym na bezpośredniej pracy z ludźmi. W procesie rekrutacji dużą wagę przykładamy do rozmowy kwalifikacyjnej z kandydatem, której bardzo ważną częścią są pytania dotyczące wspomnianej motywacji kandydata zarówno do samego studiowania medycyny, jak i wykonywania w przyszłości zawodu lekarza. Odpowiedzi bywają różne, jednakże w trakcie takiego krótkiego, ale istotnego wywiadu (nie wszystkie uczelnie w naszym kraju rekrutujące na studia obcojęzyczne stosują taką formę) można niemal natychmiastowo zorientować się, co sobą reprezentuje przyszły student oraz jakie są jego oczekiwania prywatne i zawodowe. To ogromnie ważny element decyzyjny w całym procesie rekrutacyjnym na studia anglojęzyczne w *Collegium Medicum* w Bydgoszczy.

– Przy różnorodności pochodzeniowej istotnym elementem tworzącym silną więź pomiędzy studentami zagranicznymi jest język angielski, w którym odbywa się kształcenie. Wydaje się, że to właśnie – często podkreślana przez samych studentów – przynależność do English Division stanowi o ich tożsamości w ramach Collegium Medicum i szerzej całego Uniwersytetu.

– Przynależność do English Division jest bez wątpienia najmocniejszym spoiwem łączącym tak wielonarodową społeczność. Jest to tak naprawdę pierwszy rodzaj wspólnoty, z jaką nowo przyjęci studenci z zagranicy mają do czynienia, zanim jeszcze utworzą się więzi przyjaźni czy różnego rodzaju relacje w proponowanych przez uczelnię formach zrzeszania się studentów. Nowo przybyli studenci mogą czuć się zagubieni z dala od domu, rodziny, znajomych. Poszukują wówczas wsparcia wśród innych osób, które są w podobnej sytuacji. To siłą rzeczy tworzy więzi, zdaje się nawet mocniejsze niż w przypadku Polaków studiujących w naszym kraju „u siebie". Bariera językowa jest oczywiście kolejnym, niezwykle istotnym, czynnikiem łączącym studentów z tak wielu różnych krajów. Zanim studenci nauczą się podstaw języka polskiego i zanim zaaklimatyzują się w Polsce, łatwiej jest im nawiązać kontakt z kimś,

z kim mają wspólny język – dosłownie i w przenośni. Zauważalna jest jednak ich ogromna chęć do integracji ze studentami polskimi, a jednocześnie zaznaczenie swojej obecności w społeczności studenckiej naszej uczelni. Okazuje się wówczas, że studenci obcokrajowcy na przykład czują się często pomijani w decyzjach dotyczących wszystkich studentów, narzekają na brak dwujęzycznych aktów prawnych wydawanych w jednym czasie, chcieliby utworzyć samorząd studencki English Division.

– Czy English Division stało się zjawiskiem istotnym i powszechnie uznanym w świadomości społeczności studenckiej Collegium Medicum, dzięki któremu społeczność ta zyskuje wymiar międzynarodowy?

– Zdecydowanie tak. Centrum Kształcenia w Języku Angielskim Collegium Medicum UMK powstało w roku 2009 z 17 studentami zrekrutowanymi na rok akademicki 2009/2010. Należy tu koniecznie wspomnieć o olbrzymim wsparciu ówczesnych władz uczelni, dzięki czemu proces pierwszej rekrutacji oraz rozpoczęcie roku akademickiego 2009/2010 stały się faktem i początkiem znakomitej drogi do zajęcia znaczącego miejsca w gronie polskich uczelni umożliwiających studiowanie medycyny po angielsku. Obecnie w Collegium Medicum studiuje 320 studentów anglojęzycznych, w tym 315 na Wydziale Lekarskim, między innymi z Irlandii, Norwegii, Szwecji, Indii, Iranu, Hiszpanii, Włoch, Niemiec. Natomiast całą obsługę administracyjną studentów, proces rekrutacji, działalność translatorską na potrzeby administracji, promocję studiów anglojęzycznych zapewnia zaledwie 7 osób pracujących w Centrum. Niezwykle cieszy mnie rosnąca rozpoznawalność English Division jako integralnej części społeczności akademickiej Collegium Medicum. Coraz częściej studenci polscy i zagraniczni wyciągają do siebie przysłowiową rękę, starając się angażować wspólnie w różne ciekawe inicjatywy – zarówno czysto akademickie, jak i bardziej towarzyskie. Z roku na rok integracja z tzw. Polish Division – jak to określają nasi zagraniczni studenci – jest coraz silniejsza. Czasem nawet jesteśmy zaskoczeni dowiadując się, że nasi studenci zagraniczni biorą udział w przedsięwzięciach lub spotkaniach inicjowanych przez studentów polskich – i to bez naszego pośrednictwa – oraz, że sami inicjują takie właśnie działania. Nie bez znaczenia jest też stopniowo słabnąca bariera językowa i kulturowa między tymi dwiema grupami. Studenci polscy mają coraz mniej oporów przed kontaktami z English Division, gdyż ich poziom znajomości języka angielskiego, chociażby w stopniu komunikatywnym, wzrasta wraz z coraz większą świadomością wielokulturowości na naszej uczelni i poza nią. Ta otwar-

Profesor Arkadiusz Jawień z zespołem Centrum Kształcenia w Języku Angielskim Collegium Medicum UMK: (od prawej) mgr Natalia Gliniecka-Kucybała, mgr Ewa Grabowska-Kutowińska, mgr Kamila Piekarska, mgr inż. Aleksandra Sakwińska, mgr Aleksandra Filińska, mgr Marzena Sowa i mgr Anna Krupa Fot. nadesłana

tość i rosnąca swoboda w kontaktach z osobami innych narodowości jest bardzo budująca.

– Jak z perspektywy pomysłodawcy i długoletniego dyrektora Centrum Kształcenia w Języku Angielskim Collegium Medicum UMK porównałby Pan Profesor rangę Polish Division i English Division na Wydziale Lekarskim?

– Uważam, że Polish Division i English Division mają rangę równorzędną. Sam program kształcenia jest taki sam dla obu grup. Metody nauczania, zakres materiału czy sposób oceniania niczym się nie różnią. Natomiast, jak już mówiłem, nauczanie osób pochodzących z wielu różnych kultur ma nieco inny charakter niż kształcenie grup jednonarodowościowych. W przypadku English Division dochodzi wspomniany wcześniej niewymierny aspekt pracy z grupami heterogenicznymi pod względem kultury, religii, czy światopoglądu, w tym podejścia i oczekiwań wobec samego procesu kształcenia. Innymi słowy, są to takie same studia, jednak realizowane w różnych kontekstach społeczno-kulturowych, wobec czego można je określić jako równorzędne i mające tę samą rangę.

– Jaki jest wzajemny wpływ studiów polsko- i anglojęzycznych, prorozwojowy dla obu form kształcenia czy raczej zachowawczy?

– Myślę, że możemy mówić tylko o charakterze prorozwojowym dla obu form kształcenia. Nasi studenci anglojęzyczni bardzo sobie cenią możliwość bezpośredniego dostępu do chorych w klinikach i na salach operacyjnych, w szczególności w szpitalach uniwersyteckich, oraz podkreślają większe „upraktycznienie" studiów medycznych w Collegium Medicum niż w krajach, z których pochodzą. My natomiast korzystamy z ich znakomitej znajomości języka angielskiego i dzięki włączeniu w prace kół naukowych lub też stwarzanie warunków do bezpośredniej indywidualnej aktywności naukowej, staramy się publikować wspólne doniesienia i prace kliniczne. Nie muszę tu chyba podkreślać, że taka współpraca jest korzystna dla obu stron i podnosi poziom nauczania oraz umiędzynarodowienia uczelni.

– Jak przedłużająca się pandemia COVID-19 wpływa na kondycję studiów anglojęzycznych w Collegium Medicum i samych studentów obcokrajowców z English Division?

Graduation w roku 2019, czyli ostatnie w „normalnych" warunkach uroczyste zakończenie studiów kolejnego rocznika English Division

Fot. nadesłane

– Aktualna sytuacja epidemiczna na świecie z pewnością ma niekorzystny wpływ zarówno na same studia – szczególnie w tak kontaktowych dziedzinach jak medycyna – jak i na samych studentów. Staramy się z jednej strony zapewnić im możliwość pełnej realizacji programu kształcenia, zgodnie z tokiem studiów, z drugiej jednak strony zmuszeni jesteśmy wdrażać procedury zapewniające ich bezpieczeństwo, które tę realizację niestety utrudniają. Studenci starają się w miarę możliwości współpracować z wykładowcami, aby wymagany materiał zrealizować bez większych zakłóceń – na tym etapie elastyczność i adaptacja do bieżącej sytuacji są już na dość dobrym poziomie.

– Różnorodność podejścia do walki z koronawirusem w poszczególnych krajach pochodzenia studentów zagranicznych, wprowadzanie w różnym zakresie i terminach obostrzeń, w szczególności lockdownu, może powodować wśród tych studentów dezorientację i obawy na przykład przed utrudnionym powrotem do kraju czy kontaktem z pozostałą tam rodziną?

– Bez wątpienia mamy do czynienia z problemami wynikającymi z mobilności studentów i ich podróżami do domów, utrudnieniami związanymi z przekraczaniem granic państwowych czy terminowym powrotem do Bydgoszczy. Obawy studentów są realne i zrozumiałe. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, jakie obostrzenia związane z podróżowaniem zostaną wprowadzone przez rząd danego kraju. Sytuacja jest dynamiczna na całym świecie, nie możemy więc studentom zagwarantować, że będą mogli spokojnie pojechać do domu na przykład na święta. Oni to na szczęście rozumieją i rzadko takich deklaracji oczekują. Czasami zdarza się, że studenci English Division wyrażają niezrozumienie dla zasad lub obostrzeń wprowadzonych w Polsce lub na samej uczelni. Dzieje się tak głównie wtedy, gdy w ich krajach podejście rządu i wdrażane rozwiązania są zupełnie inne niż u nas. No cóż, tego niestety nie przeskoczymy. Staramy się więc wytłumaczyć studentom, że będąc tutaj, są zobowiązani do stosowania się do zasad wprowadzonych przez władze Uniwersytetu, a także szerzej – przez władze państwowe i samorządowe.

– Czy pandemia COVID-19 wpłynie na strategię rekrutacji kolejnego rocznika na studia anglojęzyczne? Czy mogą być wykorzystane certyfikaty COVID-19, czyli tzw. paszporty covidowe, które planuje wprowadzić Unia Europejska? A może, oprócz poziomu wiedzy kandydatów, będą również brane pod uwagę na przykład zaawansowanie kraju pochodzenia w walce z koronawirusem i związana z tym samoświadomość przyszłych studentów co do ryzyka zakażenia lub zachowań zmniejszających to ryzyko?

– Obawiam się, że nie jesteśmy w stanie takiej samoświadomości kandydata ocenić. Można by spróbować postawić tezę, że w krajach wykazujących niskie liczby zakażeń czy przypadków śmiertelnych świadomość społeczeństwa i odpowiedzialność poszczególnych jednostek jest wyższa aniżeli w krajach z dużą liczbą zachorowań. Sprawa jest jednak znacznie bardziej skomplikowana, a na sytuację epidemiczną w danym kraju wpływ ma wiele czynników, wykraczających poza zakres naszej rozmowy. Niemniej jednak, staramy się, aby tegoroczna rekrutacja odbywała się w takim samym trybie jak dotychczas, z wyjątkiem oczywiście rozmów kwalifikacyjnych przeprowadzanych osobiście w trakcie bezpośrednich spotkań. Naszym nadrzędnym celem jest umożliwienie młodym ludziom realizacji ich życiowych celów, nie będziemy więc zamykać drzwi przed nikim, bez względu na sytuację epidemiczną w kraju pochodzenia kandydata na studia.

Jeśli chodzi o planowane wprowadzenie unijnych certyfikatów COVID-19, to z doniesień medialnych wynika, że mają one umożliwiać swobodne podróżowanie, bez nakładania przez państwa członkowskie Unii Europejskiej na ich posiadaczy dodatkowych ograniczeń, takich jak kwarantanny, testy lub formy samoizolacji. Na razie o takich certyfikatach mówi się raczej w kontekście turystyki, więc trudno określić, jaka będzie ranga i zasady posługiwania się tymi dokumentami w odniesieniu do innych dziedzin życia.

– A absolwenci studiów anglojęzycznych na Wydziale Lekarskim – czy podejmując pracę w różnych krajach nadal utożsamiają się i podtrzymują kontakty w ramach English Division Collegium Medicum?

– Niektórzy absolwenci studiów anglojęzycznych kontaktują się z nami, chwalą się osiągnięciami w swoim życiu zawodowym, a nawet prywatnym. Cieszy nas każdy pojedynczy sukces kogoś, kto spędził z nami tyle lat w kluczowym okresie swojego życia i obdarzył nas zaufaniem. Jak już wcześniej wspomniałem, niektórzy absolwenci przyjmują niejako rolę ambasadora uczelni, promując Collegium Medicum wśród swoich znajomych i rodziny, w lokalnych społecznościach, a nawet w swoich miejscach pracy. Poza tym, absolwenci wciąż obserwują nas w mediach społecznościowych, reagują na różne wydarzenia, a nawet „kibicują" obecnym studentom. Można więc powiedzieć, że pewna część naszych absolwentów czuje się silnie związana z *Alma Mater*, co niezmiernie nas cieszy. Jesteśmy w trakcie uruchamiania nowego portalu dla absolwentów anglojęzycznych, którego zadaniem będzie nie tylko informowanie o tym, co dzieje się na naszej uczelni, ale także jeszcze większe zacieśnienie związków pomiędzy absolwentami. Moim wielkim marzeniem

jest, aby w niedalekiej przyszłości, anglojęzyczny absolwent został wykładowcą naszego Collegium Medicum. Wówczas uważałbym się za osobą spełnioną na stanowisku dyrektora Centrum Kształcenia w Języku Angielskim Collegium Medicum UMK, a uczelnia odniosłaby piękny sukces, bo koło historii kształcenia anglojęzycznego zatoczyłoby pełny obrót.

– Jaka jest według Pana Profesora przyszłość kształcenia międzynarodowego w Polsce?

– Żywię szczerą i głęboką nadzieję na to, że kształcenie międzynarodowe w Polsce będzie się stale rozwijać, a jego znaczenie i niewątpliwe korzyści dla wszystkich zaangażowanych w ten proces będą spotykać się z coraz większą aprobatą, otwartością i entuzjazmem. Funkcjonowanie społeczności akademickich i naukowych na poziomie międzynarodowym przynosi wymierne korzyści i siłą rzeczy prowadzi w konsekwencji do ich progresu. Jest to szczególnie ważne w kontekście nauk medycznych, które obejmują działalność odbywającą się tak naprawdę ponad narodami i ponad kulturami. Z punktu widzenia lekarza, wszyscy jesteśmy tacy sami.

– Dziękuję za rozmowę

Sebastian Żurowski

Drugi po Bogu

Mikołaj Kopernik jest naukową ikoną Torunia i Polski. Gdyby chcieć wskazać drugą co do ważności postać w historii polskiej nauki, która była związana z Toruniem, musiałby to być Samuel Bogumił Linde, którego 250-lecie urodzin obchodzimy w tym roku.

Spuściznę Kopernika ze współczesnej perspektywy zaliczyć możemy do kilku dyscyplin naukowych (przede wszystkim astronomii i ekonomii), podobnie jest z dorobkiem Samuela Lindego (1771–1847). Zresztą urodzenie się w Toruniu, wszechstronne zainteresowania i germańskie korzenie to nie wszystkie zbieżne punkty w życiorysach średniowiecznego astronoma i oświeceniowego leksykografa. Obaj z Toruniem byli ścisłe związani tylko do czasu wyjazdu na studia (Kopernik do Krakowa, a potem do Włoch; Linde do Lipska), obaj mieli przygotowanie teologiczne i byli zaangażowani w struktury kościelne (Kopernik zajmował różne stanowiska w strukturach administracyjnych kościoła; Linde był m.in. prezesem Warszawskiego Zboru Ewangelicko-Augsburskiego) czy wreszcie obaj zajmowali się tłumaczeniami.

Miniatura przedstawiająca Samuela Bogumiła Lindego autorstwa Giuseppe Landolfiego

Do historii Linde przeszedł jako leksykograf – autor pierwszego ogólnego słownika języka polskiego. We wcześniejszych słownikach język polski występował jako jeden z języków, obok np. niemieckiego czy łaciny. Publikacje te służyły przede wszystkim jako pomoc w nauce języków i w tłuma-

czeniu tekstów. Słowniki ogólne od początku postrzegano inaczej – miały one być swoistymi pomnikami języka. Dowodami na wielkość i wspaniałość kultury, która danym językiem się posługiwała. Dlatego tak istotne było korzystanie z autentycznych przykładów użyć z wielkich dzieł literackich oraz rejestrowanie tak dużej liczby słów, jak to tylko było możliwe. Dla językoznawców słowniki takie są teraz przede wszystkim bezcennym źródłem wiedzy o stanie języka w epoce. W leksykografii angielskiej takim pomnikiem są kolejne wydania Oxford English Dictionary (prace nad pierwszym rozpoczęto w 1857 roku, a ostatni tom tego przedsięwzięcia – suplement do wydania pierwszego – ukazał się dopiero w 1933 roku), a w leksykografii niemieckiej wydania słownika Dudena (aktualne wydanie jest 27.). Słowniki języka niemieckiego przygotowywane przez Konrada Dudena ukazywały się do 1872 roku, ale początkowo były to tylko słowniki ortograficzne.

Księstwo słownika

„Słownik języka polskiego" Samuela Bogumiła Linde ukazywał się w Warszawie w latach 1807–1814. Na takie lata datowane są kolejne woluminy (w sumie było ich sześć, a opisano w nich ok. 60 tys. słów), choć prace związane ze zbieraniem materiału rozpoczął kilkanaście lat wcześniej, a ostatni tom faktycznie wydrukowany został już w 1815 roku. Warto zauważyć, że są to lata pokrywające się z istnieniem namiastki wolnego państwa polskiego, czyli zależnego od Francji Księstwa Warszawskiego. Pierwotną koncepcją autora było przygotowanie słownika przekładowego, ale koncepcja ta się na szczęście dosyć szybko zmieniła. Jej śladem w słowniku jest to, że mimo wyjściowej jednojęzyczności, zawiera on w hasłach dużą liczbę (ok. 250 tys.) odpowiedników z innych języków słowiańskich, niemieckiego (i nie tylko).

Linde był nie tylko autorem słownika, ale także jego wydawcą i dystrybutorem. Nakład pierwszego wydania wynosił 1200 egzemplarzy, ale ponieważ książka była droga, jeszcze 10 lat po wydrukowaniu ostatniego tomu pozostało ok. 100 niesprzedanych kompletów. Prace nad drugim wydaniem rozpoczęły się dopiero po śmierci Lindego. W latach 1854–1860 we Lwowie ukazywały się nieco zmienione i poprawione kolejne tomy. Było to zasługą Augusta Bielowskiego, który przekonał Zakład Narodowy im. Ossolińskich, aby sfinansował tę edycję. Linde po studiach w Lipsku pracował jako bibliotekarz w domu Józefa Maksymiliana Ossolińskiego w Wiedniu, gdzie jego zadaniem było porządkowanie i powiększanie księgozbioru. Książek do kolekcji Ossolińskiego Linde poszukiwał w całej Galicji i podobno nie wszystkie pozyskiwał do końca legalnie. Ten zbiór stał się podstawą pozyskiwania cytatów do słownika. O skali całego przedsięwzięcia dokumentacyjnego świadczy już to, że przykładów użycia jest w słowniku ok. 200 tys. (wybranych z prawie 850 tekstów ok. 400 autorów).

Wydanie lwowskie zawiera kilka tysięcy różnego rodzaju poprawek i uzupełnień, wiele z nich pochodzi z notatek samego Lindego. Generalną zmianą było uwspółcześnienie pisowni oraz próba uporządkowania bałaganu, który często występował w artykułach hasłowych. Ogólnie hasła w słowniku Lindego są mało czytelne, co wynika głównie z chęci maksymalnej kondensacji treści, a co za tym idzie – zmniejszenia kosztu druku. Na pewno nie jest tak, że z tego słownika współczesny czytelnik może korzystać z marszu, bez pewnego przygotowania, chociaż prawdopodobnie użytkownik w epoce także mógł w hasłach się gubić, bo bywa, że te same elementy haseł (np. etymologia czy kwalifikatory) pojawiają się w różnych miejscach i są inaczej zapisywane. To poprawione wydanie ma dwa reprinty: pierwszy przygotowano w 1951 roku, a drugi w 1994 roku. Obecnie oba wydania są dostępne w internetowych repozytoriach w postaci cyfrowej.

W cytacie siła

Autentyczne cytaty, które Linde zbierał tak pieczołowicie i które uznaje się za największą wartość każdego słownika dokumentacyjnego, pochodziły z tekstów drukowanych i rękopiśmiennych, a także były zapisanymi zdaniami „zasłyszanymi". Zdarza się, że jakieś hasło nie ma napisanej definicji, ale ma przykłady użycia, bo napisanie definicji jest czasem faktycznie trudniejsze niż znalezienie interesującego przykładu. Posługiwanie się autentycznymi cytatami jest czymś, co z zachowaniem odpowiednich proporcji można nazwać przewrotem kopernikańskim w leksykografii. W pracy nad słownikiem teksty są pewniejszą podstawą niż intuicja leksykografa – zwłaszcza takiego, dla którego (jak dla Lindego) język polski nie jest językiem pierwszym. U Lindego problematyczne jest jednak to, że te cytaty były modyfikowane – skracane, czasem przeinaczane (być może przez pomyłkę), modyfikowane fonetycznie, fleksyjnie czy składniowo. Zdarza się, że opisy

bibliograficzne przykładów są nieprecyzyjne albo błędne. Na pewno nie można pod tym względem ufać Lindemu w ciemno, ale nie zmienia to faktu, że materiał ten został przez niego zebrany, a nie wymyślony.

Czym słownik Lindego nie jest? Nie jest słownikiem normatywnym. Normatywność królowała w polskich słownikach w XX wieku, ale Linde nie uważał, że ma kompetencje, aby oceniać poprawność form. Za jego zgodą informacje poprawnościowe (w postaci gwiazdek oznaczających formy błędne czy archaiczne) były wprowadzane do słownika przez korektorów, ale on sam poprawności nie oceniał. Co ciekawe, Linde sam wymyślił ok. 5 tys. słów, które umieścił w słowniku, ponieważ chciał uzupełnić zauważone przez siebie (w porównaniu z innymi językami) luki leksykalne polszczyzny. Te neologizmy słowotwórcze są również oznaczone jako wyrazy niemieszczące się w ówczesnej normie literackiej polszczyzny.

Samuel Bogumił Linde prawie przez całe życie zawodowe łączył prace słownikowe z pracą nauczyciela i naukowca. Jednak żaden jego późniejszy projekt słownikowy (m.in. wielkiego słownika rosyjsko-polskiego) nie został zrealizowany. Z dzisiejszej perspektywy Linde postrzegany jest głównie jako autor pierwszego ogólnego słownika języka polskiego. Słownikowi i jego twórcy poświęcono bardzo wiele prac, stał on się też wzorem dla Witolda Doroszewskiego, gdy ten planował po II wojnie światowej kolejny „pomnikowy" słownik polszczyzny. Nawet tak drobną rzecz jak to, że formą hasłową dla czasownika we współczesnych słownikach jest forma bezokolicznika, zawdzięczmy Lindemu, bo wcześniej używano form 1. osoby czasu teraźniejszego (dla czasowników niedokonanych) lub przyszłego prostego (dla czasowników dokonanych). Twierdzi się nawet (choć nie da się tego wiarygodnie potwierdzić), że słownik Lindego był podstawowym źródłem, z którego wiedzę o polszczyźnie czerpał Adam Mickiewicz. Szkoda tylko, że Linde nie mógł w swoim słowniku umieścić żadnego cytatu z Mikołaja Kopernika, który, jak wiadomo, nie pozostawił żadnego tekstu w języku polskim. Zresztą nawet gdyby leksykograf chciał skorzystać z tłumaczenia, to byłoby to i tak niemożliwe – pierwsze polskie tłumaczenie „De revolutionibus" ukazało się dopiero w 1854 roku.

Dr Sebastian Żurowski — Wydział Humanistyczny UMK.

Dawna Protestancka Szkoła Nowomiejska w Toruniu, do której uczęszczał w drugiej połowie XVIII w. Samuel Bogumił Linde

Fot. Winicjusz Schulz

Spis od kulis

Z prof. dr. hab. Danielą Szymańską z Wydziału Nauk o Ziemi i Gospodarki Przestrzennej UMK oraz członkiem Prezydium Komitetu Nauk Demograficznych PAN rozmawia Winicjusz Schulz

Fot. Andrzej Romański

– Zacznijmy od cytatu: „W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym państwie. Pierwszy ten spis odbył się wówczas, gdy wielkorządcą Syrii był Kwiryniusz. Wybierali się więc wszyscy, aby się dać zapisać, każdy do swego miasta. Udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida, żeby się dać zapisać z poślubioną sobie Maryją, która była brzemienna. Kiedy tam przebywali, nadszedł dla Maryi czas rozwiązania. Porodziła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie". To oczywiście Ewangelia według Św. Łukasza i najsłynniejszy zapewne w dziejach spis ludności. I dowód na to, że takie spisy, jaki mamy obecnie w Polsce, są niemal tak stare jak świat?

– Nim przejdę to tego źródła, jakim jest Ewangelia św. Łuksza, to nadmienię, że spisy ludności były przeprowadzane już w odległych czasach starożytnych. Władcy zawsze chcieli wiedzieć, jakim wielkim powierzchniowo krajem zarządzają, jaka jest liczba mieszkańców i ich stan majątkowy. Z licznych źródeł wynika, że pierwsze spisy odbywały się juz IV wieku p.n.e. w Egipcie, w Chinach w II wieku p.n.e., jak wspomina M. Okólski (*Demografia*. Warszawa: Scholar, 2005) spisywano stan liczebny i wielkość gospodarstw rolnych. Starożytni Rzymianie spisy (cenzusy) przeprowadzali regularnie co 5 lat, i służyły one celom militarnym, podatkowym, a także religijnym. Początkowo spisy te dotyczyły tylko obywateli Rzymu. Rzymianie, zawłaszczając kolejne terytoria, przeprowadzali spisy ludności dla określenia ich potencjalnych możliwości podatkowych. Zaś wraz z powiększaniem się Imperium Rzymskiego w czasach

panowania cesarza Augusta w licznych prowincjach rzymskich (m.in. Judei, Syrii), w tym i rządzonej przez Kwiryniusza Syrii odbył się cenzus, w którym spisała się Święta Rodzina. Warto tu nadmienić, że w prowincji Syria cenzusy przeprowadzano co 12 lat. Spisy służyły głównie celom podatkowym, bowiem podatki musieli płacić zarówno mężczyźni (od 14 do 65 roku życia), jak i kobiety (od 12 do 65 roku). Spisy nie były lubiane, ale za niepłacenie podatku groziły dotkliwe kary, zapewne dlatego Izraelici, będąc pobożnym i odpowiedzialnym narodem, udawali się można powiedzieć „tłumnie" na miejsce spisu. Czy z tego powodu zabrakło miejsca w gospodzie, Ewangelista nie podaje, czy barak miejsca podyktowany był też innymi przypadającymi w tym czasie świętami, na które przybywała ludność? Dokładnie tego nie wiemy. Dobrze, że przytoczył tu Pan fragment z Ewangelii Św. Łukasza, który świadczy że spisy odbywały się już w czasach starożytnych, i że były one przeprowadzane w całym Imperium Rzymskim, oczywiście nie odbywały się one w całym imperium w tym samym czasie. Miały one różną częstotliwość.Czy były one takie jak obecne– zapewne nie, bowiem nie były one takie wieloaspektowe, jak te nowożytne.

– Pytanie może z pozoru błahe: po co kiedyś, a po co dziś organizuje się takie spisy? To przecież gigantyczny wysiłek.

– Jak już wcześniej wspomniałam, dawne starożytne spisy miały na celu określenie możliwości militarnych danych obszarów, podatkowych i religijnych, ważne było też określenie, gdzie i jakie grupy ludności zamieszkują (takie informacje były przydatne przy gaszeniu ewentualnych konfliktów narodowo-etnicznych). Obecnie zaś dane zbierane są głównie pod kątem zdiagnozowania struktury demograficznej (płeć, wiek) oraz struktury społeczno-ekonomicznej. Są to dane, na podstawie których można pozyskać informacje, by optymalnie zarządzać miastami, gminami, regionami czy całym krajem, planować ich rozwój społeczno-gospodarczy, zmniejszać i likwidować różnice w poziomie rozwoju poszczególnych regionów.

Dane spisowe są bezcennym źródłem informacji o tym, jacy jesteśmy, jak żyjemy, mieszkamy, i co zmieniło się w naszym życiu w ciągu minionych lat (od spisu do spisu). Są one taką zbiorową fotografią. Spisy są naszym dorobkiem kulturowym, a nawet dziedzictwem narodowym. Zaś wartością

Spis ludności w Betlejem, fragment obrazu namalowanego przez Pietera Bruegla Starszego w 1566 roku

samą w sobie jest ich ciągłość i porównywalność danych.

– Kiedy Polacy spisywali się po raz pierwszy?

– Tu moim zdaniem należy odpowiedzieć na dwa pytania. Pierwsze – kiedy zaczęto rachować/liczyć ludność na ziemiach polskich oraz kiedy zaczęły się spisy ludności w Polsce? Otóż pierwsze informacje dotyczące liczby ludności ziem polskich pojawiały się już w średniowieczu; m.in. w Kronice Galla Anonima (która powstała w latach ok.1113––1116) i bullach papieskich oraz w księgach uposażeń biskupstw (od XV wieku). Od XVI w. zaczęły pojawiać się w państwowych rejestrach podatkowych i lustracjach królewszczyzn (sporządzanych głównie dla celów fiskalnych i wojskowych) informacje dotyczące liczby mieszkańców, a w okresie oświecenia (XVIII w.) były przeprowadzane przez biskupów kościelne spisy ludności.

Pierwsze nowożytne spisy ludności przeprowadzano w krajach skandynawskich (np. w Szwecji w 1749 r.). W USA pierwszy spis odbył się w 1790 r., na ziemiach polskich w 1789 r., a w Rosji dopiero w 1897 r. Na początku XIX w. przeprowadzono też pierwsze spisy w Wielkiej Brytanii, Francji, Prusach i Austrii.

Jak już wspomniałam, pierwszy spis ludności na ziemiach polskich był przeprowadzony na podstawie Konstytucji z 22 czerwca 1789 r., uchwały Sejmu uzasadniającej przeprowadzenie spisu. Kon-

stytucję uchwalił Sejm Czteroletni (1788–1792) na sesji 9 marca 1789 r. (9 marca jest świętem statystyki polskiej). Dane tego spisu miały być podstawą do powzięcia uchwały odnośnie podatku przeznaczonego na pokrycie kosztów utrzymania stałej stutysięcznej armii. Pomimo tego, że spis ten nie objął szlachty i duchowieństwa, stał się jednak cennym źródłem do szacowania zaludnienia Rzeczypospolitej końca XVIII w (tak przez dawnych, jak i współczesnych historyków, demografów i statystyków). Warto tu dodać, że spis ten zawierał nie tylko liczbę ludności, ale także jej strukturę społeczno-zawodową. Polecam Państwa uwadze doskonałe historyczno-demograficznego opracowanie tego spisu wykonane przez Kazimierza Latucha w 2005 r. (Latuch K.,2005, *Pierwszy spis domów i ludności Rzeczypospolitej Polskiej 1789 r*).

– Spisy odbywają się zarówno w państwach demokratycznych, jak i takich, w których władza bywa autorytarna. W tym drugim przypadku zapewne traktowane są przez ludność dość sceptycznie. Za PRL-u też nas spisywano i wielu Polaków postrzegało to jako ingerencję w ich życie.

– Ma Pan rację, w czasach PRL-u różnie do spisów podchodzono. Godzi się tu najpierw przypomnieć, że po uzyskaniu przez Polskę niepodległości, spisy powszechne odbyły się w 1921 i 1931 roku, a zatem jeszcze w okresie międzywojennym przeprowadzono dwa powszechne spisy ludności. Ten pierwszy nie objął Górnego Śląska, Wileńszczyzny i miejscowości, które nie zostały ostatecznie przyznane Polsce po I wojnie światowej. Spisy te były bardzo starannie przygotowane, fachowo przeprowadzone i dostarczyły cennych informacji o społeczeństwie i gospodarce kraju.

Tuż po II wojnie światowej, już 15 maja 1945 r., przeprowadzono spis ludności Warszawy, a w lutym 1946 r. spis ludności, nazwany sumarycznym, miał on dostarczyć ramowych informacji na temat ludności zamieszkującej Polskę po spustoszeniach wojennych. Trudności były ogromne, setki ulic nie miały nazw, ludność cały czas przemieszczała się, kraj był zrujnowany, ale dla celów planistycznych potrzebowano faktycznych danych. Powszechny sumaryczny spis ludności był chyba pierwszym takim na świecie po wojnie.

W kolejnych latach spisy były przeprowadzane mniej więcej co 10 lat (1950, 1960, 1970, 1978, 1988, 2002, 2011 i aktualnie trwający w roku 2021). Stopniowo rozszerzany był ich zakres tematyczny. Dodawano nowe pytania do formularzy, a do promocji spisów włączono środki masowego przekazu (radio, prasę, telewizję). Z biegiem lat wprowadzano coraz to nowocześniejsze metody realizacji spisów i opracowania wyników.

W początkowym okresie Polski Ludowej spisy ludności miały naraz wydźwięk propagandowy, władze Polski Ludowej chwaliły się, że są w stanie przeprowadzać takie spisy, tak jak robią to inne kraje europejskie, a przeprowadzanie takich spisów jest oznaką dojrzałości państwa i jego administracji zarówno krajowej, jak i regionalnej. Ale jak wykazały późniejsze badania, np. spis z 1946 roku nie objął setek osób konspirujących i ukrywających się przed władzą ludową. Demografowie historyczni wskazują, że na przykład na Mazurach przed komisarzami spisowymi ukrywały się po lasach całe wioski autochtonów. Zaufania nie budzili też sami komisarze spisowi, bowiem wielu z nich było czynnymi działaczami politycznymi.

W kolejnych spisach poszerzano ich zakres tematyczny, co również nie znajdowało zaufania wśród obywateli. Wyzwalało wiele emocji. Ludzie byli nieufni, nie dowierzali, że informacje zebrane podczas spisu służą wyłącznie celom statystycznym i planistycznym. Rolnicy niekiedy w obawie przed urzędem finansowym zatajali stan faktycznego posiadania. Władza, by przekonać obywateli do kolejnego spisu w 1960 roku postawiła na ogromną akcję promocyjną (informacje były w radiu, prasie, telewizji), wyprodukowano wiele filmików, powstało tysiące plakatów, wypuszczono w obieg specjalne kartki pocztowe, powstało wiele gadżetów, np. pudełka z zapałkami i papierosami zawierały nadruki zachę-

cające do udziału w spisie, a przed projekcją filmów na salach kinowych prezentowano, obok Polskiej Kroniki Filmowej (młodszym warto przypomnieć, że cotygodniowa kronika filmowa wyświetlana była w kinach przed projekcją filmu w latach 1944–1994) plansze o spisach, podkreślając, że udział w takim spisie jest wyrazem dojrzałości obywatelskiej, że wyniki spisu pomagają planować rozwój społeczno-gospodarczy kraju, przewidywać trendy rozwoju. A uzasadniając pytanie odnośnie faktycznego stanu cywilnego (w 1960 roku) podano, że istotą tego pytania jest określenie liczby związków małżeńskich, by przewidzieć w przyszłości, jaki może być przyrost naturalny ludno**ści.** Pomimo że wielu obywateli odbierało to pytanie jako niedyskretne, to ufali, że te odpowiedzi pomogą planować miejsca w żłobkach, przedszkolach, szkołach, określić potrzeby mieszkaniowe itp. Jak się później okazało wyników nie dało się przełożyć na udane planowanie, bowiem cały czas brakowało mieszkań, licznych produktów żywnościowych i przemysłowych.

Nie chcę, by czytelnik odniósł takie wrażenie, że to była wina spisów, po prostu kraj po straszliwych zniszczeniach wojennych i brakach we wszystkich płaszczyznach życia społeczno-gospodarczego nie nadążał za potrzebami, a i zarządzanie „pozostawiało wiele" do życzenia.

Tak na marginesie, mój dziadek opowiadał mi, że wiele osób (samotnie gospodarujących) bało się podawać wielkość mieszkań, bojąc się wykwaterowania do mniejszych lokali, że wielu mieszkańców wsi ukrywało przed komisarzami spisowymi w obawie przed konfiskatą lub domiarem finansowym, faktyczny stan posiadania.

Ale przy okazji spisów w wielu wsiach i miastach uporządkowano numeracje nieruchomości, uzupełniono nazwy ulic, itp.

Reasumując: propagandowe hasła władzy ludowej, że spisy są niezbędne do lepszego planowania potrzeb, nie bardzo w obliczu braku żywności, braku mieszkań oraz skromnych (nieraz fatalnych) warunków mieszkaniowych, trafiały do społecznego odbioru. A krwawe wydarzenia na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku oraz późniejsze strajki nie podnosiły zaufania ludności do spisów. W latach 80. XX wieku bieda dotknęła cały kraj, również mniej było pieniędzy na kolejne spisy (nawet w pewnych obwodach spisowych dla oszczędności zastosowano metodę samospisu). Zdarzały się przypadki, że zamontowane domofony do mieszkań utrudniały lub uniemożliwiły rachmistrzom przeprowadzanie wiarygodnego

spisu odnośnie warunków mieszkaniowych i stanu posiadania – po prostu niektórzy mieszkańcy ich nie wpuszczali. Były też przypadki, tak jak np. podczas spisu w 1978 roku (grudzień – biała apokalipsa, zima stulecia), który bardzo dobrze pamiętam, że rachmistrzowie spisowi z powodu kryzysowego wyłączania prądu w ciemnościach nie byli w stanie wypełniać formularzy spisowych, a zamiecie i obfity śnieg w wielu regionach kraju utrudniały przemieszczanie się, przez co nieraz na miejsce spisu docierali z wielogodzinnym opóźnieniem, zastając niekiedy już zamknięte drzwi.

Tak na marginesie, warto tu nadmienić, że kolejny spis z 1988 roku wykazał, że w Polsce wzrósł odsetek osób starszych, że dopadają nas choroby cywilizacyjne, że wzrosła liczba osób niepełnosprawnych, że budowaliśmy coraz to mniej mieszkań, a statystycy po raz pierwszy użyli słowa „ubóstwo" – czyli odnotowano takie procesy i zjawiska, jakie do tej pory socjalizm przypisywał Zachodowi.

Nie dziwmy się zatem, że wiele osób uznało, że dotychczasowe wyniki spisów jakoś nie pomogły, by prawidłowo kształtować przyszłą politykę rozwoju społeczno-gospodarczego kraju, że socjalistyczna gospodarka nie nadąża za potrzebami społecznymi i gospodarczymi kraju, a „ ukuta" przez lata maksyma, że w krajach socjalistycznych dane statystyczne są narzędziem dla administracji państwowej i urzędów planowania, by sprawnie zarządzać gospodarką, nie sprawdziła się, bowiem nie znajdowało to potwierdzenia w praktyce społecznej, w sprawnym zarządzaniu, w łagodzeniu niedoborów, w poprawie warunków bytu, a wielu obywatelom bieda zaglądała w oczy. Kraj przestał się rozwijać i tuż po spisie w czerwcu 1989 r., zaczęliśmy tworzyć nowy okres

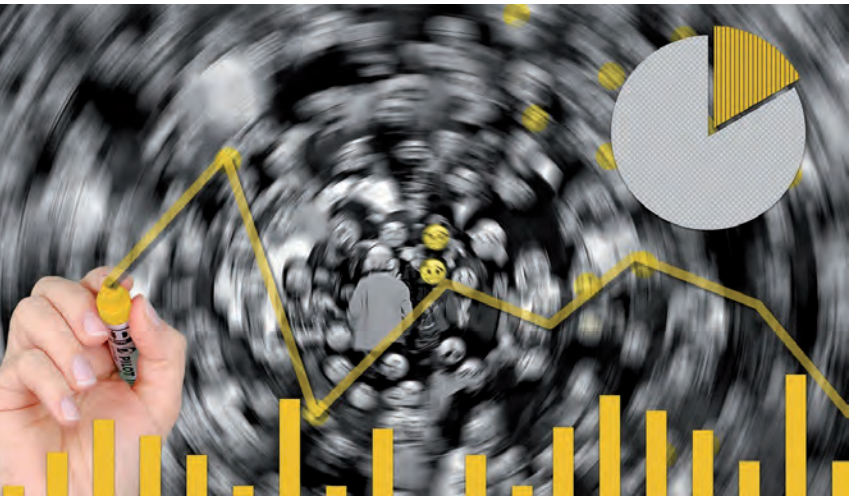

w rozwoju Polski, otworzyła się nowa perspektywa rozwoju.

Generalnie, zamykając krótkim zdaniem kwestie spisów w PRL, trzeba powiedzieć że zdecydowana większość obywateli podchodziła do nich ze zrozumieniem i rozwagą i dopełniała obowiązku spisowego. Kolejne spisy, w 2002 i 2011 roku oraz ten obecny w 2021 odbyły się w nowej rzeczywistości społeczno-gospodarczej i nowych uwarunkowaniach polityczno-administracyjnych.

– A gdybyśmy spróbowali, zwłaszcza dla młodego pokolenia, porównać tamte PRL-owskie spisywanie z obecnym – bardzo się różnią? W jakich sferach, dziedzinach?

– Oczywiście różnią się, pytania dotyczą szerokiego wachlarza zagadnień społecznych, zagadnień etniczno-kulturowych, wyposażenia mieszkań w infrastrukturę (kanalizację, gazyfikację, Internet itp.), o poziom zatrudnienia, bezrobocie, o sposoby ogrzewania mieszkań.

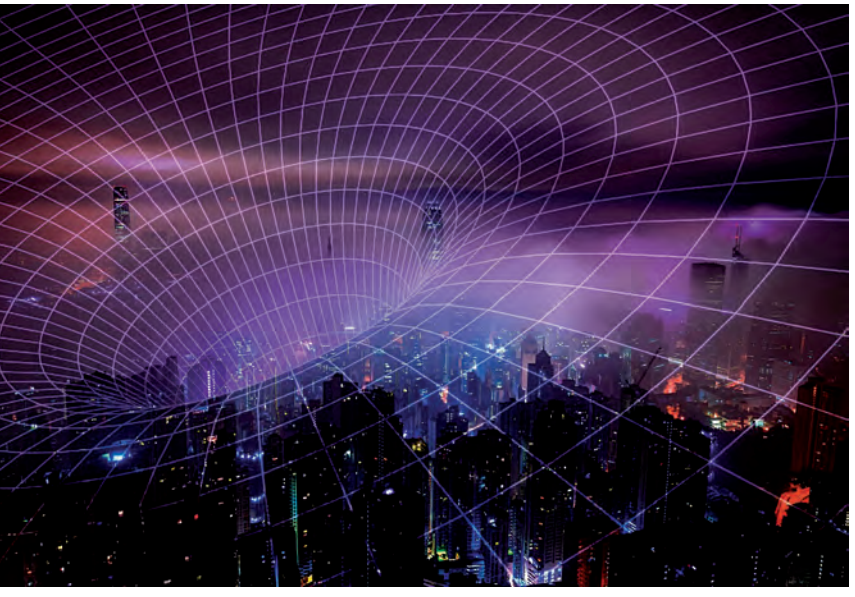

– O metodach już chyba wspominać nie trzeba: kiedyś rachmistrze, dziś Internet.

– Tak, metody są bardzo nowoczesne, tak w zbieraniu danych spisowych, jak i w ich przetwarzaniu. Statystycy mają teraz zupełnie inne narzędzia spisowe, dysponują różnymi zawansowanymi technikami zbierania i przetwarzania danych. A zgromadzona infrastruktura i systemy ICT pozwalają na gromadzenie i przetwarzanie gigantycznych zbiorów. Rewolucja cyfrowa zagościła także w Polsce w różnych dziedzinach życia społeczno-gospodarczego. Internet stał się powszechniejszy, niż było to do tej pory.

– Uporządkujmy jeszcze kwestie organizacyjne dotyczące spisu: kto, na jakich zasadach, do kiedy się spisuje?

– Po pierwsze należy nadmienić, że kwestie te zawarte są w Ustawie z dnia 9 sierpnia 2019 r. „o narodowym spisie powszechnym ludności i mieszkań w 2021 r.". Po drugie, Ustawa też precyzuje, jak powinna wyglądać organizacja i struktura całego aparatu spisowego i kto, na jakim odcinku ma odpowiadać za Spis. I tak pracami związanymi z przygotowaniem, zorganizowaniem i przeprowadzeniem Narodowego Spisu Powszechnego Ludności i Mieszkań 2021 r. kieruje i nad całością czuwa prezes Głównego Urzędu Statystycznego – jako Generalny Komisarz Spisowy; dyrektor Centralnego Biura Spisowego (CBS) będący jednocześnie zastępcą Generalnego Komisarza Spisowego. Zaś na terenie województwa – wojewoda, jako wojewódzki komisarz spisowy; tu zastępcą wojewódzkiego komisarza spisowego jest dyrektor urzędu statystycznego; a na terenie gminy pracami kieruje wójt, burmistrz, prezydent miasta– jako gminny komisarz spisowy; zastępcą gminnego komisarza spisowego jest osoba wyznaczona przez gminnego komisarza spisowego.

Narodowy Spis Powszechny w Polsce rozpoczął się 1 kwietnia 2021 roku i będzie trwał do 30 września 2021 roku (początkowo był to termin do 30 czerwca, ale nowelizacja ustawy przedłużyła go do 30 września 2021). Spis jest powszechny, co oznacza, że każdy Polak musi w tym terminie dokonać tzw. samospisu, tj. wypełnić formularz w Inter-

necie, albo – gdy nie może tego zrobić – zgłosić się na specjalną infolinię, zgłosić się do urzędu gminy, zadzwonić do oddziału regionalnego GUS, spytać, gdzie najbliżej może dokonać spisu, lub umówić się z rachmistrzem na rozmowę telefoniczną, internetową. Rachmistrz ma taki sam formularz spisowy– różnica jest tylko taka, że wypełnia za nas dane w formularzu. Gminy zostały zobowiązane do przygotowania na okres spisu stanowisk komputerowych.

– Kto jest odpowiedzialny za brzmienie pytań? Pytano o zdanie naukowców?

– Odpowiadając na to pytanie należy podkreślić, że przygotowania do każdego ze spisów zaczynają się już kilka lat wcześniej, praktycznie po zakończeniu jednego spisu, statystycy przygotowują się do następnego. Spisy muszą być porównywalne i „zbierać" dane, które będą i są potrzebne tak na poziomie globalnym, jak i regionalnym. Dlatego w sprawy spisu „zamieszane" są różne służby statystyczne ONZ, służby statystyczne Unii Europejskiej oraz poszczególnych krajów, które „wypracowują" i określają zalecenia dotyczące Spisów Powszechnych Ludności i Mieszkań. Brzmienie pytań wypracowują naukowcy: statystycy, demografowie, ekonomiści i wielu innych. Na przykład w Unii Europejskiej od kilku lat odbywały się liczne spotkania Konferencji Statystyków Europejskich (CES) dla Spisów Powszechnych Ludności i Mieszkań, na których wypracowywano m.in. zalecenia i wskazówki, zgodne z wytycznymi ONZ, jak pomóc krajom w planowaniu i przeprowadzaniu spisów ludności i mieszkań oraz jak wytyczyć zestaw tematów spisu, ujednolicić pojęcia i definicje, by spisy były porównywalne tak na szczeblu międzynarodowym, krajowym, jak i regionalnym. Takie zalecenia i wytyczne na przykład dla krajów Unii Europejskiej były wypracowywane na kilkudziesięciu spotkaniach przedstawicieli Eurostatu z Wydziałem Statystycznym Komisji Gospodarczej ONZ ds. Europy, z przedstawicielami Konferencji Statystyków Europejskich (CES), z uczestnikami Międzynarodowej Konferencji Statystyków Pracy, i wielu innych.

To wszystko podparte jest umocowaniami legislacyjnymi tak na poziomie UE (EU legislation on the 2021 population and housingcensuses), jak i ustawami i aktami legislacyjnymi poszczególnych krajów. Wypada tu także podkreślić, że zawsze kilka lat wcześniej odbywają się spisy próbne – by jeszcze na tym etapie zweryfikować pytania oraz określić, jak

sprawuje się narzędzie badawcze – formularz spisowy. I tak na przykład w Polsce obecny spis był poprzedzony dwoma spisami próbnymi: pierwszy spis próbny od 1 do 31 października 2019 r., w dwóch województwach (po jednej gminie w każdym – gmina Czerwińsk i Sierakowice); drugi spis próbny od 1 do 30 kwietnia 2020 r. w 16. gminach (po jednej w każdym województwie). W naszym województwie była to gmina wiejska Chełmno.

– Co w sytuacji, gdy ktoś nie zechce się spisać lub zapomni o tym obowiązku? Co, gdy udzieli fałszywych odpowiedzi? Kara? Przymusowy ponowny spis?

– Po pierwsze, dorosłe osoby powinny samodzielnie udzielić odpowiedzi na pytania, zaś osoby małoletnie (w wieku 0 do 17 lat) powinny być spisanie przez rodziców (lub opiekunów prawnych). Można też spisać osoby pełnoletnie, które zamieszkują w danym mieszkaniu – oczywiście za ich zgodą, i jeśli znają odpowiedzi na zadane w formularzu pytania – czyli można spisać swojego męża, żonę, babcię, dziadka, i są oni zwolnieni już z samospisu. Takie osoby, w świetle przepisów ustawy o Narodowym Spisie Powszechnym, dopełniły obowiązku spisowego. Jeśli natomiast osoba spisana przez inną osobę chce samodzielnie tego dokonać lub coś poprawić, może to zrobić. Samospis jest możliwy przez 14 dni od pierwszego zalogowania się, a wszystkie osoby dodane na formularzu i prawidłowo spisane są zwolnione z obowiązku samospisu.

Teraz co do niezamierzonych błędnych lub co gorsza niezgodnych z prawdą odpowiedzi, wzgląd-

nie odmówienia udziału w spisie. Zgodnie z Ustawą o Narodowym Spisie Powszechnym Ludności i Mieszkań w 2021 r. każdy powinien być spisany, każdy z nas jest zobowiązany do udzielania dokładnych, wyczerpujących i zgodnych z prawdą odpowiedzi. I jak potrenowałam na linku służącym do zaprezentowania formularza spisowego – https://demo.spis.gov.pl/#/login?redirect=%2Fobligations – już w trakcie wypełnienia formularza dane są weryfikowane. Na przykład, podając adres zamieszkania wskazałam fikcyjny numer bloku, system od razu wskazał, że na tej ulicy nie ma budynku o takim numerze, i tak testując formularz spisowy posprawdzałam wiele innych odpowiedzi. To właśnie już w trakcie wypełniania formularza, gdzie są zaimplementowane aktywne funkcjonalności, system od razu sprawdza

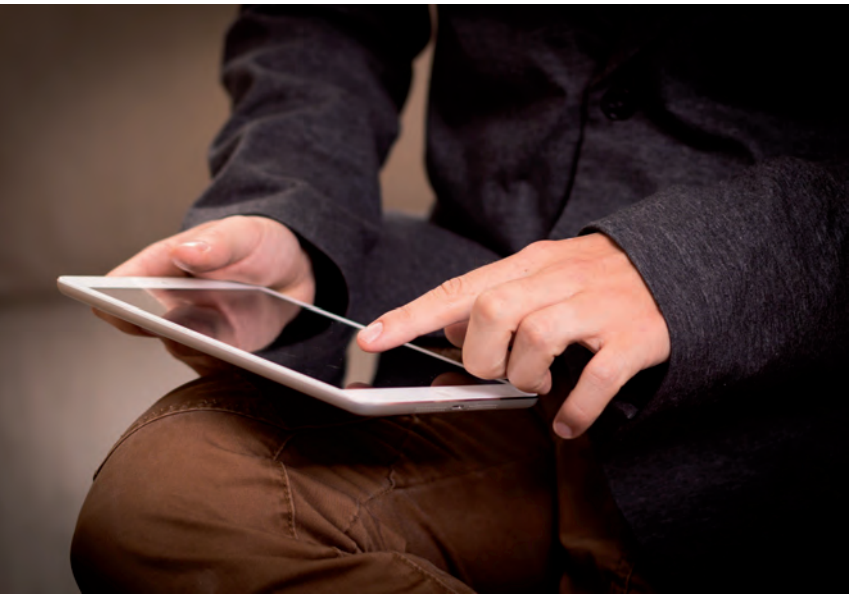

poprawność odpowiedzi, wykaże nielogiczność, zidentyfikuje błędy i, co najistotniejsze, wskaże nam, w którym miejscu popełniliśmy błąd. Gdyby jednak pomimo tych różnych funkcjonalności taki błąd się zdarzył, to jak twierdzi wielu prawników, taki błąd jest przesłanką wyłączająca winę. Po drugie, każdy z nas ma obywatelski obowiązek spisania się, o tym traktuje ustawa o statystyce publicznej, która obowiązuje także podczas dokonywania spisu powszechnego. Za „niepoddanie się" samospisowi lub udzielenie błędnej informacji grozi nam kara grzywny, zaś gdy udzielimy fałszywych odpowiedzi ustawa traktuje to jako przestępstwo, możemy „zarobić" nawet dwa lata pozbawienia wolności (oczywiście po udowodnieniu tego czynu).

I na koniec tej części wypowiedzi zachęcam wszystkich Państwa do zapoznania się z aplikacją spisową w trybie demo: (https://demo.spis.gov.pl/#/login?redirect=%2Fobligations), nie dość, że jest to wspaniała zabawa oraz sprawdzenie, o co będą nas pytać, to z tej aplikacji możemy się wielu rzeczy dowiedzieć – zwłaszcza gdy przeglądamy aktywne funkcjonalności (wyznania, narodowość, język i inne).

W tym trybie demo wprowadzone do formularza dane nie są pobierane do systemu.

– Jak Pani, jako specjalista z zakresu geografii społeczno-ekonomicznej i demografii, ocenia te pytania? Nie przekraczają granic prywatności, intymności, czy może w niektórych sferach idą za daleko? Jeśli tak, to w jakich? A może, Pani zdaniem, pewne pytania są zbędne, a niektórych brakuje?

– Odpowiadając na to pytanie, chcę podkreślić, że wiele danych o nas mają różni operatorzy, i to niekiedy bardziej wrażliwych niż pytania spisowe. My jesteśmy stale inwigilowani i to bez naszej zgody. Wypełniając formularz PIT, mamy bardziej wrażliwe dane, aniżeli te spisowe. W narodowym spisie powszechnym dokonujemy samospisu. Zaś obowiązek udziału w spisie wynika z Ustawy o spisie, i jest zgodny z art. 51 Konstytucji (Prawo ochrony danych osobowych), w którym punkt 1 brzmi „Nikt nie może być obowiązany inaczej niż na podstawie ustawy do ujawniania informacji dotyczących jego osoby". Nie budzi też wątpliwości z punktu widzenia przepisów unijnych.

Moim zdaniem zbędnym jest pytanie o płeć i datę urodzenia. Wypełniając formularz spisu online, podajemy imię i nazwisko, numer PESEL, płeć,

datę urodzenia. Te dwie ostatnie cechy, gdy mamy obywatelstwo polskie, to wpisujemy zupełnie niepotrzebnie. Dlaczego? Bo pierwszych sześć liczb naszego PESEL-u to właśnie nasza data urodzenia. A przedostatnia liczba określa naszą płeć (kobiety mają liczbę parzystą, mężczyźni nieparzystą). Natomiast, gdy sprawa dotyczy cudzoziemca mieszkającego w Polsce i nie ma on numeru PESEL, podanie daty urodzenia jest zasadne. Nadmienić tu mogę, że od 1 czerwca 2021 r. wchodzi w życie zmiana ustawy o zasadach ewidencji i identyfikacji podatników i płatników, i dzięki nowym przepisom urzędy gminy będą mogły nadawać numer PESEL cudzoziemcom na ich wniosek.

Wiele osób twierdzi, że niepotrzebne są pytania: „Czy pozostaje Pan(i) w związku niesformalizowanym z inną osobą?", „Do jakiego wyznania religijnego (kościoła lub związku wyznaniowego) Pan(i) należy?". Argumentują swoją postawę tym, że odpowiedź na te pytania jest zbyt osobista, wkracza w ich życie prywatne. Ale tu podkreślam, że można w tych przypadkach wybrać opcję: „nie chcę odpowiadać na to pytanie".

W rozmowach nieraz słyszę, że też niepotrzebne jest pytanie w części „Kwestionariusz mieszkania": „Proszę wskazać główny sposób ogrzewania mieszkania" i „przeważający rodzaj paliwa lub źródło energii stosowane do ogrzewania mieszkania". Przecież Straż Miejska i inne odpowiednie służby mogą bez problemu skontrolować, czym palimy w piecach, i to się dzieje, i tu mam sama pewne wątpliwości, czy mieszkańcy odpowiedzą na to pytanie uczciwie. Tym bardziej, że zawarte jest w pytaniu słowo „główny" sposób, „przeważający" rodzaj paliwa, itp. Zawsze mogą odpowiedzieć, że u nich nie jest to „główny – przeważający". U wielu osób przy odpowiedziach na powyższe pytania pojawia się wiele emocji. Ale proszę uzmysłowić sobie, jak można na przykład kształtować politykę antysmogową w danym regionie czy gminie, nie mając takich podstawowych danych. Zaś sposób palenia w piecu (zdaniem wielu prawników) jest kwalifikowany jako informacja publiczna, na podstawie której będzie można uzyskać informację, jakie źródła paliwa są na danym terenie stosowane. Może to się przydać do wyegzekwowania stosowania paliw ekologicznych w przyszłości oraz jak wprowadzać i w jakim zakresie różne antysmogowe programy. Jak można bez takich danych określić, czy sytuacja zmieniała się w ciągu kolejnych lat. Gminy starając się o środki na restrukturyzację i modernizację systemu grzewczego, muszą wiedzieć, na

czym stoją, i w jakim kierunku pójść dalej, o jakie środki finansowe aplikować.

– Zebranie danych to jedno, wykorzystanie to drugie. A zatem, jak i do czego zebrane informacje zostaną wykorzystane?

Po pierwsze, gdy dokonujemy spisu przez rachmistrza –zawsze powinniśmy go sprawdzić, zweryfikować. Po drugie, spis jest źródłem danych z zakresu statystyki ludności. Jego celem jest zebranie informacji o stanie i strukturze ludności według cech demograficznych i społeczno-zawodowych, o warunkach i jakości życia, o stanie i zasobach mieszkaniowych, w oznaczonym czasie oraz na określonym terytorium.

Spisy stanowią bezcenne źródło informacji o tym „ilu nas jest", „kim jesteśmy", „jak żyjemy" i co zmieniło się w naszym życiu w ciągu minionej dekady. Tak z akademickiego obowiązku dodam, że w przypadku niektórych cech demograficzno-społecznych, jak np. narodowość, wyznanie czy stopień niepełnosprawności, spisy powszechne są dla państwa jedynym źródłem informacji. Bez większości danych zebranych podczas spisu nie można właściwie planować rozwoju społeczno-gospodarczego miast, gmin, regionów i całego kraju. Na przykład planując zagospodarowanie przestrzenne danego regionu, nie można tego dokonać, nie znając struktur wieku ludności, cech społeczno-zawodowych,

jak można rozwijać przedszkola, żłobki, szkoły czy inne obiekty użyteczności publicznej. Dalej, nie znając liczby osób niepełnosprawnych, jak wprowadzać budownictwo bez barier (chyba że założymy, że wszędzie mają być windy). Nie znając podstawowych cech i struktur ludności, nie mając takich danych, nie jesteśmy w stanie prawidłowo ocenić potrzeb regionów, gmin, miast. Nie znając warunków mieszkaniowych i zasobów siły roboczej, jakości tych zasobów, jak można kształtować politykę w zakresie ofert pracy, uzupełniać braki w budownictwie mieszkaniowym, itp. Takie zbieranie danych dla celów statystyki publicznej jest powszechną praktyką, bowiem zgromadzone dane mogą i mają posłużyć państwu do rozbudowy infrastruktury z zakresu ochrony zdrowia i innej. Również Ministerstwo Finansów, planując kwoty dotacji dla gmin, musi znać liczbę ludności i jej strukturę. Kierując środki finansowe na poszczególne resorty, też trzeba posiadać wiedzę z zakresu struktur demograficznych i społeczno-zawodowych.

Tu tez należy wspomnieć, o czym wszyscy wiemy, że dotacje unijne oraz liczba miejsc w Parlamencie Europejskim przyznawane są m.in. w zależności od liczby mieszkańców danego kraju (na podstawie spisu ludności).

Dane uzyskane podczas spisu są bezpieczne i objęte są tajemnicą statystyczną (tak traktuje ustawa o statystyce publicznej). Są one poufne i podlegają szczególnej ochronie prawnej. Zaś pracownicy statystyki publicznej, jak i rachmistrzowie, są zobowiązani do przestrzegania tajemnicy statystycznej, która ma charakter absolutny – obejmuje wszystkie dane osobowe i nie przewiduje żadnych wyjątków umożliwiających jej uchylenie. Zaś za złamanie tajemnicy grozi odpowiedzialność karna.

A wykorzystanie danych? Otóż ustawa spisowa określa, że zebrane dane są wykorzystywane do zestawień, opracowań i analiz statystycznych, ponadto do tworzenia i aktualizacji przez prezesa GUS operatu do badań statystycznych. Danych Spisu nie można wykorzystywać do celów pozastatystycznych.

– Dziękuję za rozmowę.

Fot. Andrzej Romański

Katarzyna Fus

Przestrzeń pomocy

Od kwietnia działa sieć Poradni Studenckich UMK. Jej powstanie to jeden z pomysłów na to, jak w ramach Uniwersytetów Europejskich dokonywać zmiany na Uczelni i w jej otoczeniu społeczno-gospodarczym, w duchu wartości europejskich.

Sieć poradni powstała w ramach projektu YUFE i konsorcjum 10 uniwersytetów z Europy. Część przedsięwzięcia dotyczy wzmacniania relacji uczelni z miastami i regionami będącymi w ich zasięgu. Poprzez konkretne propozycje YUFE szuka nowych połączeń między społecznościami, pozwalającymi zacieśniać więzi, budować wspólną przestrzeń, ale także szerzyć wiedzę i osiągnięcia nauki. Jedną z propozycji, która ma przyczyniać się do tak stawianych celów, jest utworzenie Help Desk, czyli miejsc, w których studenci pod okiem mentorów-ekspertów udzielają porad mieszkańcom w zakresie kierunku swojego kształcenia. Takie punkty powstają na uczelniach i w miastach całego konsorcjum. Zadanie podzielono na kilka etapów. W pierwszej fazie działania zostały skoncentrowane na poszukiwaniu własnej formuły na każdym z Uniwersytetów, uwzględniając lokalne potrzeby i zasoby.

Pracując nad rozwiązaniem na UMK, zaprosiliśmy do udziału wszystkie wydziały i jednostki UMK. Zainteresowanie przerosło oczekiwania. I tak prof. Dorota Siemieniecka z Instytutu Nauk Pedagogicznych WFiNS zachęciła do współpracy kolejnych ekspertów z zakresu dydaktyki i nowoczesnych technologii wykorzystywanych w nauczaniu, a dr Marta Podhorecka, prodziekan ds. studenckich Wydziału Nauk o Zdrowiu, zebrała kadrę medyczną, która zorganizowała przychodnię udzielającą wsparcia aż w 8 specjalnościach (położnictwo, żywienie, opieka zdrowia seniora, opieka zdrowia dziecka, ratownictwo medyczne, opieka pielęgniarska, ratownictwo medyczne, audiofonologia i elektroradiologia). Poradnie społeczną zainicjowała dr Katarzyna Wasilewska-Ostrowska, a poradnię wodną dr Katarzyna Kubiak-Wójcicka. Artystyczną poradnię projektowania murali wraz ze studentami prowadzi z kolei prof. Iwona Szpak-Pawłowska. Należy dodać, że w inicjatywie uczestniczą też organizacje działające od dawna na uczelni. To choćby Uniwersytecka Poradnia Prawna z 20-letnim stażem (i prof. Tomaszem Oczkowskim zaangażowanym w integrację poradni w sieci), Studenckie Koło Naukowe Archiwistów, Studenckie Koło Naukowe Hydrologów czy Studenckie Koło Naukowe Logistyki LOGITOR (pod okiem mgr Iwony Wasielewskiej-Marszałkowskiej. Dzięki temu już dziś sieć poradni to imponująca baza kilkudziesięciu specjalistów i młodych ludzi gotowych wykorzystać zdobytą na uczelni wiedzę w praktyczny sposób.

Sieć ma przede wszystkim formę wirtualną. Na stronie www.poradnie.umk.pl znajdują się zakładki z informacjami o poradniach, zakresie udzielanych porad przez każdą z nich oraz informacje o dyżurach pełnionych przez konkretnych ekspertów. Tam również dostępny jest regulamin, z którego interesant dowie się, jakie są zasady udzielania porad, terminy ich przygotowywania, a także, w jaki sposób może korzystać z przygotowanych odpowiedzi. Aby zapytać o konkretną sprawę, wystarczy wypełnić formularz zgłoszeniowy, w którym wybieramy rodzaj poradni i zakres tematyczny oraz zadajemy pytanie. Trafia ono do administratora, który po sprawdzeniu zapytania pod kątem formalnym, przekazuje sprawę do poradni. Nad opracowaniem odpowiedzi pochyla się student, jednak zanim ostateczna wersja trafi do interesanta, musi jeszcze przejść weryfikację opiekuna poradni, czyli pracownika naukowego UMK.

Do poradni wpłynęły już pierwsze zapytania. Jedno z nich skierowane zostało do Poradni Gospodarowania Wodą i dotyczyło zagadnienia norm żelaza w wodzie pitnej. Kolejne to zapytania do Studenckiej Poradni Zdrowia i tematy związane z rehabilitacją po urazie czy żywieniem dzieci. Do Uniwersyteckiej Poradni Prawnej zgłoszono pytania związane ze spisem powszechnym, a także ścieżką postępowania w przypadku reklamacji produktu.

Przygotowana odpowiedź wysyłana jest drogą mailową bezpośrednio do zainteresowanego, ale jeśli zgadza się on na upublicznienie tematu, materiał trafia również na stronę (następuje anonimizacja pytania, co wyklucza możliwość identyfikacji pytającego). W ten sposób zgromadzona wiedza ma służyć nie tylko konkretnym osobom, ale także szerszej społeczności. Strona ma więc spełniać funkcję pewnej bazy praktycznych zagadnień i naukowych wyjaśnień oraz wskazówek.

Funkcjonowanie poradni ma być również sposobem na budowanie kolejnej przestrzeni do obecności studentów w tkance społecznej, dostrzegania ich potencjału do aktywnego uczestnictwa w życiu społecznym. Co więcej, to też ciekawy sposób na zyskanie doświadczenia w pracy z klientem, zwłaszcza w tak trudnym czasie pandemii.

– Pomysł utworzenia na naszym uniwersytecie przychodni w ramach europejskiego programu YUFE, której celem jest udzielanie porad w zakresie zdrowotnym bardzo mi się spodobał – przyznaje Mateusz Modrzejewski, student kierunku zdrowia publicznego i pielęgniarstwa Collegium Medicum. – Kiedy dowiedziałem się o tej inicjatywie, bez wahania postanowiłem wesprzeć władze mojego wydziału w kwestiach organizacyjnych. Omawiany przez nas projekt to idealny przykład działania, które przynosi obopólne korzyści zarówno dla lokalnej społeczności jak i studentów. Tworzenie planów terapeutycznych w oparciu o realne opisy przypadków pacjentów są świetnym narzędziem do zwiększania kompetencji i umiejętności praktycznych, co czyni nas studentów lepszymi fachowcami w swojej dziedzinie. Pacjenci zaś, którzy nie mogą otrzymać szybkiej porady specjalistycznej, a potrzebują wsparcia terapeutycznego, mają możliwość uzyskać od nas bezpłatne, zweryfikowane przez nauczycieli akademickich porady terapeutyczne oraz plan dalszego postępowania w chorobie. Studencką Przychodnię Zdrowia (SPZ) tworzy osiem poradni, gdzie każda zajmuje się odmienną tematyką. Jestem odpowiedzialny za koordynowanie pracy studentów, będą-

cych członkami SPZ. Oprócz tego do moich zadań należy przeprowadzanie rekrutacji, przydział nadesłanych opisów pacjentów do poszczególnych poradni czy kontrola postępu prac nad tworzeniem planów terapeutycznych.

Sieć ma charakter otwarty, co oznacza, że ci, którzy chcieliby aktywnie uczestniczyć w przedsięwzięciu, mogą dołączyć do sieci. Już teraz planowane jest uruchomienie kolejnych trzech obszarów działalności. Dzięki temu jest szansa na stworzenie uniwersalnego miejsca, punktu kontaktu obywateli z uczelnią, która działając w tak szerokim zakresie, może docierać do jak najszerszego grona odbiorców pomagać mieszkańcom w rozwiązywaniu ich problemów. Ważne jest także to, że studenci nie muszą wyłącznie czekać na pytania ze strony społeczeństwa, ale także sami tworzyć treści i materiały o zróżnicowanej formie. Na stronie oprócz materiałów pisanych, będą umieszczane również video, podcasty, odcinki vlogów.

Można uznać, że zakończyliśmy pierwszą fazę działania związaną z uruchomieniem poradni. Testujemy rozwiązania techniczne i organizacyjne, badamy zainteresowanie społeczeństwa takimi usługami i przygotowujemy się do kolejnego etapu.

Docelowo punkty porad, zorganizowane we wszystkich uniwersytetach konsorcjum, mają działać w jednej sieci. Dzięki temu mieszkańcy Madrytu, Rzymu czy Bremen będą mogli – tak samo jak mieszkańcy Torunia, Golubia-Dobrzynia, Bydgoszczy – skorzystać z porad studentów i ekspertów wszystkich uniwersytetów. Obecnie na każdym uniwersytecie powstaje co najmniej jeden Help Desk. Przykładowo University of Eastern Finland przygotowuje poradnię świadczącą usługi w zakresie informatyki i cyfrowej edukacji. Z kolei studenci University of Carlos III w Madrycie już rozpoczęli pracę w punkcie udzielającym porad imigrantom mieszkającym w ich mieście. Na tym nie koniec – wszyscy studenci uczelni YUFE mogą zaangażować się w pracę na rzecz wybranej poradni. Jeśli więc student realizuje część studiów na UMK, może włączyć się w aktywności skierowane do lokalnej społeczności. Podobnie będzie w przypadku studenta UMK realizującego program w innych uczelniach YUFE.

Katarzyna Fus — Dział Międzynarodowych Partnerstw i Mobilności Edukacyjnej UMK.

Życie w czasach COVID

Pandemie zawsze były, są i będą. Na pewno nadzieją dla nas jest to, że każda plaga kiedyś mija, i że z obecną też sobie poradzimy. Lista pandemii na świecie w ostatnich 100 latach jest bardzo długa. Największą była grypa „Hiszpanka" z lat 1918–1920, przybyła najprawdopodobniej z północnych Chin – zapadło na nią około 500 milionów ludzi, czyli 1/3 ówczesnej populacji świata, a 40–50 mln zmarło (wg niektórych źródeł nawet 100 mln), a chorobę wywołał podtyp wirusa AH1N1, pochodzący od ptaków.

Następne dwie pandemie pochodziły także z Chin: grypa azjatycka z lat 1956–1958 oraz grypa Hong Kong z lat 1968–1970. Pierwszą z nich wywołał wirus AH2N2, drugą – jego odmiana, wirus AH3N2 (czynnik chorobotwórczy powstał wskutek połączenia wirusa ptasiej grypy z grypą ludzką). Kolejne to: HIV/AIDS (od 1981 r.), rosyjska grypa (1977–1978), SARS (2002–2003), świńska grypa (2009–2010), Ebola (2014–2016) przez MERS (od 2015 r.) po obecny COVID-19 (od 2019 r.).

Należy zwrócić uwagę, że bardzo często pandemie są wywołane jakimś czynnikiem przenoszonym na człowieka przez zwierzęta, takie jak: szczury, myszy nietoperze, pangoliny[1]; te ostatnie są podejrzewane o roznoszenie koronawirusa COVID-19. A koronawirusy, warto wiedzieć, żyją z nami już od

[1] Pangoliny – rodzina ssaków łożyskowych zamieszkujących tropikalne obszary Azji i Afryki. Słowo „pangolin" pochodzi od malajskiego *pengguling* – coś, co się zwija [red.].

dawna – część przeziębień jest wywoływana przez tę grupę wirusów, lecz COVID-19 jest wyjątkowo zjadliwy i szybko rozprzestrzeniający się. To go wyróżnia na tle wspomnianych; przypomnijmy, że koronawirusy SARS i MERS, których śmiertelność wynosi aż 40–60%, pojawiły się niedawno, ale nie wywołały takiej pandemii, jak COVID.

Pandemia COVID-19

Co wiemy obecnie o omawianym koronawirusie, który jest dla nas nowym patogenem? Wykazuje się brakiem sezonowości, ma zasięg ogólnoświatowy, szybko mutuje (naukowcom udało się jednak określić podstawowe kody wirusa, co powinno przyczynić się do jego zwalczenia), posiada wysoką zakaźność drogą kropelkową, nieprzewidywalny przebieg zakażenia – niestety nie wiemy, dlaczego część osób przechodzi infekcje bezobjawowo, a inni przeciwnie. Okazuje się, że ciężko chorują nie tylko osoby z chorobami współistniejącymi, ale również ludzie młodzi i wysportowani.

Po przechorowaniu mogą wystąpić długofalowe następstwa, jak zaburzenia neuropsychiatryczne, zespół pokowidowy ogólnoustrojowy z obniżoną odpornością, może dojść do różnego rodzaju powikłań dermatologicznych, mięśniowych, płucnych i sercowo-naczyniowych. Zespół pokowidowy przypomina zakażenie HIV, gdzie dochodzi do nabytej utraty odporności.

U dzieci infekcje koronawirusem przebiegają często łagodnie i bezobjawowo, ale może wystąpić ciężki zespół pokowidowy z uogólnioną reakcją zapalną.

Ponieważ ciągle jest brak skutecznego leczenia, trwają poszukiwania odpowiednich leków i metod. Duże zainteresowanie budzi amantadyna, lek przeciwwirusowy, który jest stosowany w chorobie Parkinsona i w niektórych chorobach wywołanych przez wirusy np. grypy typu A.

Jeżeli chodzi o zapobieganie, to najważniejsze jest, aby nie dać się zakazić w oczekiwaniu na skuteczną szczepionkę i na szczepienia.

Metody ograniczenia COVID-19 na świecie

Podstawową metodą ograniczania rozprzestrzeniania się wirusa jest izolacja społeczna, która jest niestety najbardziej dolegliwa. Kolejnymi są: ochrona osobista, higiena i dezynfekcja, dolegliwe tylko dla niektórych. Dalej to lockdown, wpływający niekorzystnie na wszystkich, gdyż łączy się z zahamowaniem aktywności gospodarczej, zmianą form nauczania i pracy oraz wymuszeniem pewnych zachowań społecznych, co jest szczególnie trudne dla tych nacji, które zawsze witały się wylewnie, a czas wolny spędzały w dużych grupach. Natomiast co jest pozytywne – z punktu widzenia prof. Aliny Borkowskiej – to po raz pierwszy w historii przeznaczono tak wielkie środki finansowe na walkę z pandemią i ochronę ludzkiego zdrowia we wszystkich krajach na świecie. Wydaje się, że policzono, ile kosztuje śmierć jednej osoby w wieku produkcyjnym i zrozumiano, że jeśli nie zainwestuje się w procedury medyczne, pozwalające ograniczyć pandemię, to nastąpi zahamowanie gospodarki – a bez wydajnej pracy ludzi, gospodarki upadają.

Różne oblicza pandemii na świecie

Na świecie pandemia odbija się na całych społeczeństwach. Obserwujemy wyraźne pogorszenie się kondycji psychicznej i to niezależnie od statusu czy grupy społecznej. Warto tu nadmienić, że podczas pierwszego lockdownu zanotowano nawet wyraźny spadek przestępczości.

Wspomniane pogorszenie kondycji psychicznej wpłynęło na pojawienie wielu dolegliwości, m.in. na wyraźny wzrost zaburzeń snu (ponad 50% badanych), znaczący wzrost objawów lęku i depresji, istotny wzrost myśli samobójczych, prób samobójczych i dokonanych samobójstw, wzrost spożycia napojów alkoholowych i środków psychoaktywnych, a także wzrost zachowań przemocowych, co widzimy w rodzinach, szczególnie tych, które muszą być poddane izolacji.

W październiku 2020 r. odnotowano trzykrotny wzrost samobójstw w Japonii (aż 80% wśród kobiet) w porównaniu z 2019 rokiem. Więcej osób popełniło samobójstwa w tym kraju w 2020 r., niż zmarło z powodu COVID-19. Przytoczone dane prawdopodobnie dotyczą większości krajów świata, w tym USA, Kanady, Chin, Tajwanu i krajów Europy, chociaż jeszcze nie ma dokładniejszych danych.

W Polsce również widzimy rosnącą liczbę zgonów, ale COVID tłumaczy tylko część tego wzrostu. W porównaniu z rokiem 2019, np. w październiku i listopadzie, odnotowano dwukrotnie większą liczbę zgonów. Zdaniem lekarzy, nie tylko pandemia ma tu istotne znaczenie, ludzie umierają również z innych powodów – być może nie uzyskują w odpowiednim czasie pomocy oraz zgłaszają się do lekarzy zbyt późno. Można więc powiedzieć, że pandemia zdominowała w jakiś sposób nasze życie, łącznie z tendencją do jego ochrony.

Praca zdalna – nowa rzeczywistość

Nowym zjawiskiem, towarzyszącym pandemii, jest powszechna praca zdalna. Wiążą się z nią pewne utrudnienia, jak np. brak bezpośredniego kontaktu z pracownikami, czy brak rutynowego planu pracy, co u niektórych powoduje zanik motywacji do wykonywania dotychczasowych czynności. Trzeba zauważyć, że zupełnie inaczej pracuje się w samotności i inaczej w grupie osób – obecnie musimy włożyć większy wysiłek, gdyż pojawiają się bodźce niezwiązane z miejscem pracy, które zaburzają naszą uwagę (np. małe dzieci).

Z drugiej strony mamy też korzyści i na pewno zdalna praca już pozostanie, przynajmniej w niektórych zawodach, w których można sprawnie pracować online z dowolnego miejsca na świecie czy kraju, nie dojeżdżając do siedziby firmy, co wiąże się z dużą oszczędnością czasu.

Nauczanie zdalne

Przez miniony rok większość nauczycieli akademickich doświadczyła problemów związanych ze zdalnym nauczaniem. Powstały pytania: czy nauczymy studentów zawodów lekarza, pielęgniarki lub fizjoterapeuty? Jest to wielkie wyzwanie, gdyż są zawody, w których muszą odbywać się zajęcia praktyczne, student musi poznać pewne urządzenia potrzebne do stawiania diagnozy, musi być w szpitalu, przy chorym.

Na pewno opracowując treści przekazywane studentom w formie wykładu już teraz wiemy, że o wiele większy wysiłek jest potrzebny do przygo-

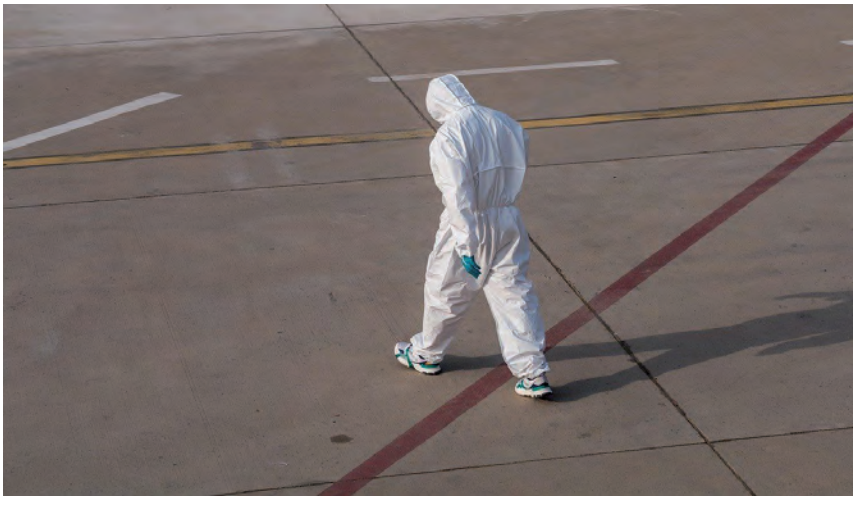

towania wykładu, jeżeli chcemy prowadzić go synchronicznie, tak, żeby student siedzący po drugiej stronie ekranu wiedział, że siedzi tam żywy człowiek, a nie, że zostało to wcześniej nagrane.

Musimy włożyć też większy wysiłek w przygotowanie materiałów do nauczania. Jest to szczególne wyzwanie dla nauczycieli, którzy uczą dzieci. W grupie tej występują problemy kształtowania umiejętności społecznych, w tym pracy zespołowej. Jest to jeden z ważnych celów dydaktycznych, aby w przyszłości człowiek potrafił pracować nie tylko indywidualnie, ale również w grupie.

Zdaniem prof. Aliny Borkowskiej, należy zauważyć korzyści związane z nauczaniem zdalnym. Na pewno zrewidowaliśmy pewne minima programowe. Widać wyraźnie, że można było bez przeszkód usunąć część treści, które niepotrzebnie obciążały zbędnymi informacjami dzieci lub studentów. Obecnie w Polsce zbliżamy się do trendów światowych, które mówią, że nie jest ważna liczba zapamiętanych informacji, ponieważ mózg działa w ten sposób, iż informacje – które są mu niepotrzebne – i tak zapomni; dla zdrowego człowieka, proces zapominania jest tak samo ważny, jak proces zapamiętywania. Korzyścią będzie także opracowywanie dobrych platform szkoleniowych, których zresztą jest coraz więcej. W wielu przypadkach taka praca daje lepsze udokumentowanie aktywności uczniów i wykładowców.

Czynniki sprzyjające zaburzeniom psychicznym w dobie COVID

Obserwujemy ostatnio szereg czynników sprzyjających zaburzeniom psychicznym. Do najważniejszych należy zaliczyć: poczucie zagrożenia chorobą lub zagrożenia dotyczącego osób bliskich, nieprzewidywalność przebiegu tej choroby, stratę członków rodziny, przyjaciół, znajomych (uważa się, że po przejściu tej zarazy, będziemy mieli do czynienia z sytuacją, iż każda rodzina doświadczy jakiejś straty), utratę bezpieczeństwa ekonomicznego – załamanie gospodarki (wiemy, że człowiek czuje się dobrze, jeżeli ma zapewnione przynajmniej elementarne poczucie bezpieczeństwa) oraz utratę lub obawę utraty pracy.

Należy podkreślić, że dla dużej grupy osób bardzo dolegliwa jest utrata wsparcia społecznego, spowodowana koniecznością izolacji. Szczególnie cierpią osoby samotne, starsze, które nie mają kontaktu z innymi. We znaki daje się także zmniejszenie poczucia bezpieczeństwa zdrowotnego. Wiemy, że pogotowie nie zawsze może przyjechać do chorego pacjenta. Tworzą się kolejki, karetki krążą po mieście w celu umieszczenia pacjentów (szczególnie z COVID-19) w szpitalu. Również teleporady nie do końca spełniają swoją rolę – są sytuacje, że lekarz powinien przyjąć daną osobą i ją zbadać.

Kolejnymi czynnikami są trudności w dostępie do świadczeń medycznych, odkładane są planowane operacje, zaniedbywane jest leczenie chorób przewlekłych. Widzimy również zarówno w Polsce, jak i na świecie, utratę zaufania do organizatorów ochrony zdrowia i do rządów. Przestajemy wierzyć, że są one stabilne i nas ochronią.

Innym istotnym czynnikiem wpływającym na wszystkich jest praca mediów – na całym świecie skupiają się one w ostatnim czasie na przekazywaniu dramatycznych informacji i obrazów związanych z pandemią. Cały przekaz odbywa się w takiej formie, że u wielu osób, nierozumiejących często sedna informacji, zostają poruszone pewne struktury emocjonalne. Uważają one, że dzieje się coś strasznego, że mamy do czynienia z kataklizmem i nie przeżyjemy jutra. Badania prowadzone w Chinach i w innych krajach pokazały między innymi, iż ludzie, którzy mają bardzo nasilone objawy lękowo-depresyjne, często sprawdzają informacje na temat zachorowań i zgonów z powodu COVID-19.

Również w praktyce prof. Borkowskiej zdarzyli się pacjenci, którzy z powodu lęku przed zarażeniem wirusem, cały czas sprawdzali w telefonie, ile osób się zaraziło, a ile zmarło. Częstość sprawdzania tych informacji wiąże się z wysokim poziomem stresu, a wiemy, że jest on czynnikiem wyzwalającym sercowo-naczyniowe zaburzenia, np. migotanie przedsionków lub nawet zawał.

Covidophobia

Mówiąc o zaburzeniach psychicznych należy wspomnieć o powstaniu nowego terminu „covidophobia". Jest to rozpoznanie psychiatryczne – lęk przed zakażeniem i chorobą z somatycznymi dolegliwościami, takimi jak zaburzenia snu, apetytu, poczucie oszołomienia i nierealności, dreszcze, uderzenia gorąca i zimna, bóle brzucha, zaburzenia żołądkowo-jelitowe, czy duża koncentracja na doznaniach somatycznych i silna koncentracja na informacjach dotyczących COVID.

Zaburzenia ośrodkowego układu nerwowego jako następstwo choroby

Nie tylko sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, może powodować zaburzenia psychiczne i neuropsychiatryczne. Również sama choroba, szczególnie ta o ciężkim przebiegu, może wiązać się z dużymi skutkami dla ośrodkowego układu nerwowego (OUN). W tej chwili opisuje się zaburzenia neuropsychiatryczne lub mózgowo-naczyniowe u osób chorych lub po przejściu choroby.

Badania angielskie z 2020 roku pokazały, że najczęściej zaburzenia neuropsychiatryczne objawiają się: zaburzeniami afektywnymi (depresje i lęki), podwyższoną drażliwością, uczuciem przewlekłego zmęczenia, zaburzeniami koncentracji uwagi i pamięci, pojawiającymi się incydentami zaburzeń świadomości (często przebiegające z pobudzeniem psychoruchowym), zaburzeniami psychotycznymi czyli zaburzeniami myślenia, występującymi urojeniami, halucynacjami wzrokowymi, słuchowymi oraz zaburzenia zachowania.

Jedna z pacjentek prof. Borkowskiej przeszła COVID-19 bardzo lekko i nie wymagała hospitalizacji ani tlenoterapii. Tymczasem pewnego niedzielnego poranka ok. godz. 4.30 pojawiła się w pracy. Była bardzo poruszona i zachowywała się zupełnie odmiennie niż zazwyczaj. Zażądała między innymi uruchomienia jakiejś kuchni, aby nakarmić dzieci. Policja, która przyjechała po chwili, stwierdziła, że jechała bardzo agresywnie, nie zwracając uwagi na znaki i światła. Interesujące jest, że pacjentka nic nie pamiętała z opisanych zdarzeń, a podobny incydent już się nie powtórzył. Oczywiście, osoba ta zastanawia się teraz, jak mogło do niego dojść i czy oznacza to rozwój choroby psychicznej, czy w przyszłości będzie miała częściej tego typu zaburzenia świadomości?

Drugą grupą są powikłania mózgowo-naczyniowe, czyli udary niedokrwienne i stany krwotoczne (wylew krwi do mózgu) w obrębie OUN.

Mechanizm uszkodzenia ośrodkowego układu nerwowego

Bezpośrednią przyczyną uszkodzenia OUN jest działanie wirusa na neurony i naczynia, jak i zjawiska związane z niedotlenieniem. Wiemy, że wirus może uszkadzać nasz organizm migrując przez opuszkę węchową do mózgu. Towarzyszy temu utrata węchu i silny ból głowy, czasami utrata smaku.

Wyróżnia się kilka mechanizmów uszkodzeń. Pierwszy to możliwość bezpośredniego infekowania mózgu – wskazują na to badania płynu mózgowo-rdzeniowego u osób chorych i w tkance mózgowej osób, które zmarły z powodu COVID-19. Kolejnym ciekawym zjawiskiem jest mechanizm immunologiczny, związany z nadaktywacją mózgu i jego układu immunologicznego, która wiąże się z wytwarzaniem przeciwciał nie tylko przeciwko wirusowi, ale również przeciwko receptorom i niektórym strukturom układu nerwowego. Inny mechanizm to zaburzenia związane z hipoksją, czyli niedotlenieniem zarówno w przypadku niewydolności krążeniowo-oddechowej, jak i zmniejszenia wydolności oddechowej.

Postawy społeczne w dobie pandemii

Należy zauważyć, że wszystkim rządom na świecie udał się całkowity lockdown na początku pandemii. Całe społeczeństwa dały się zamknąć w domach

do tego stopnia, że zamknęliśmy w domach (a nie w więzieniach) nawet przestępców. Był to jednak sukces oparty na wzbudzeniu lęku społecznego. Niestety, później spotkaliśmy się z niespójnością przekazu medialnego. Słyszeliśmy, że pandemia jest, później, że się skończyła, a jeszcze później... znów wróciła. Powstały dwie skrajne postawy. Z jednej strony osoby, które się boją i izolują, i nadal zamykają oraz druga – antykowidowcy (często antyszczepionkowcy), tj. osoby uważające, że wirusa nie ma, bardzo podatne na teorie spiskowe, uważające, że szczepienia są potrzebne do tego, aby wszczepić nam określone czipy, aby np. Bill Gates mógł lepiej nas kontrolować.

Ta druga grupa, wbrew pozorom, również bardzo boi się COVID-19. Warto zwrócić uwagę, że gdy odczuwamy silny lęk, nasza psychika uruchamia określone mechanizmy obronne, jednym z nich jest wyparcie informacji budzących lęk, a drugim – mechanizm racjonalizacji: „muszę wiedzieć, że moje zachowanie jest logiczne". Gdyby tak nie było, już byśmy byli na drodze do zaburzeń psychicznych i utraty poczucia kontroli nad własnym rozumem. Dlatego grupa ta nie poszukuje wiedzy medycznej, nie koncentruje się na myśleniu racjonalnym, tylko poszukuje informacji, które potwierdzają najbardziej dziwne teorie.

Lęk i depresja wśród medyków

Uprawiając zawody medyczne, nigdy nie wiemy, od kogo i czym się zarazimy. Wybierając zawód lekarza, pielęgniarki, fizjoterapeuty, psychologa klinicznego wiemy, że będziemy mieli do czynienia z ludźmi chorymi, w związku z tym w sytuacjach wyjątkowych (pandemii, wojny) będziemy zawsze na pierwszej linii.

Bardzo ciekawe obserwacje pojawiły się już w trakcie epidemii MERS w 2015 roku. Stwierdzono wtedy wyższe ryzyko wystąpienia zaburzeń posttraumatycznych u osób opiekujących się zakażonymi pacjentami (zakażenie wiązało się z bardzo wysokim prawdopodobieństwem zgonu), co wskazywało na długofalowe konsekwencje obciążenia psychicznego, wynikającego z opiekowania się zakażonymi.

Najnowsze badania wskazują na występowanie analogicznych zjawisk w trakcie obecnej pandemii. W badaniach Lai i współpracowników (2020) przeprowadzonych na próbie 1257 pracowników szpitali w Chinach, u 50,4% badanych wykazano występowanie objawów depresji, u 44,6% – zaburzeń lękowych, a u 34% – zaburzeń snu. Blisko 71,5% badanych zgłaszało odczuwanie przewlekłego stresu w związku z zaistniałą sytuacją.

Badania nad psychologicznymi skutkami pandemii

Od ubiegłego roku prowadzi się kilka dużych badań związanych z psychologicznymi skutkami pandemii w społeczeństwach, w tym i u medyków. Prowadzi je m.in. Uniwersytet McMaster w Kanadzie – badania oceniające sposoby radzenia sobie z lękiem w populacji ogólnej. Szereg towarzystw lekarskich również tworzy własne ankiety oceniające u swoich członków nasilenie lęku i jego przyczyny. W Polsce robi to np. towarzystwo urologiczne (badania międzynarodowe).

Badania amerykańskie określające główne przyczyny lęku u medyków (Shanafelt i wsp., 2020), ale i badania pracowników Katedry Neuropsychologii Klinicznej CM UMK, w której zbadano już 600 medyków (http://covid.cm.umk.pl), wskazują wyraźnie na źródła lęku u osób sprawujących opiekę nad chorymi w trakcie pandemii. Głównie dotyczą one obaw przed zarażeniem siebie i swojej rodziny oraz utraty wiary w rzetelność informacji im przekazywanych. Dużym źródłem napięć są trudności zorganizowania życia domowego z jednoczesnym pogodzeniem pracy w szpitalu. Badania te pokazują, iż medycy zwracają również uwagą na to, że nie wszystkie dostępne testy są wiarygodne. Mamy wielu pacjentów chorych na COVID-19, którzy utracili zdrowie i ży-

cie, a w testach – gdy już były rozwinięte objawy choroby – wypadali negatywnie.

Podsumowując dotychczasowe badania, do głównych źródeł lęku i depresji, szczególnie wśród medyków należy zaliczyć:

- ograniczony dostęp do środków ochrony osobistej (w tej chwili już raczej nie istnieje),
- narażenie na zakażenie wirusem, obawa przed zarażeniem członków rodziny,
- brak dostępu do szybkich i wiarygodnych testów diagnozujących obecność wirusa u osób, u których wystąpiły objawy COVID-19 (mniejsza niż oczekiwana czułość testów),
- obawa przed przekazaniem wirusa współpracownikom,
- niepewność, co do możliwości uzyskania wsparcia dla siebie i rodziny w przypadku zakażenia,
- trudności z opieką nad dziećmi w okresie zamknięcia placówek oświatowych,
- niepewność wynikająca z wykonywania nowych obowiązków zawodowych (brak odpowiedniego przygotowania i odpowiedzialność prawna),
- brak dostępu do aktualnych i rzetelnych informacji na temat pandemii.

Niezbędne zmiany systemowe

Trwająca pandemia pokazała wyraźnie, jak ważne będzie wprowadzenie zmian systemowych (na wzór innych krajów), takich jak chociażby inwestowanie w społeczeństwo, np. w psychiatrię dzieci i młodzieży. Jeżeli chcemy chronić społeczeństwo, zacznijmy robić to od dzieci – i to tych, które są na granicy samobójstwa. Wiadomo, że w Polsce, do tej pory, nie mamy właściwie miejsc, gdzie można by je leczyć, a dostanie się do psychiatry dziecięcego jest bardzo trudne. W wielu krajach dzieci te są objęte szczególną opieką. Jedną z metod monitorowania jest, m.in. docieranie do tych, które przynajmniej dwa razy nie zalogowały się na zajęcia szkolne i gdy nie ma kontaktu z rodzicami. Istnieje cały system pomocy rodzinom, gdzie jest podejrzenie przemocy domowej (w Polsce zajmują się tym MOPS-y, ale nie jest to jeszcze do końca dobrze zorganizowane).

Potrzebne jest także systemowe wsparcie dla osób starszych i samotnych, polegające na opiece psychologicznej i medycznej, możliwościach konsultacji telefonicznych i prowadzenia rozmów (zajmują się tym często wolontariusze, którzy rozmawiają i załatwiają codzienne potrzeby ww. osób).

Bardzo istotnym rozwiązaniem jest zorganizowanie odpowiednich platform do pomocy medycznej, psychologicznej czy życiowej osobom przebywającym w izolacji (np. zrobienie podstawowych zakupów). Skutecznym i stale rozwijanym – budzącym nadzieję na przyszłość – jest monitoring zdalny stanu osób chorych, leczonych w domu (rozwiązania telemedyczne) i to nie tylko chorych na COVID-19, lecz również ze schorzeniami sercowo-naczyniowymi i innymi chorobami przewlekłymi. Rozwiązania te już bardzo dobrze funkcjonują na świecie (także w Polsce) w przypadku schorzeń kardiologicznych.

Jak się nie dać?

Prof. Alina Borkowska przede wszystkim zaleca wszystkim racjonalne myślenie i postępowanie, czyli stosowanie się do zaleceń epidemiologicznych do czasu otrzymania szczepionki anty-COVID. Bardzo istotnym jest niesprawdzanie wątpliwych informacji w Internecie. Poza tym należy poszukiwać wsparcia medycznego, nie tylko z powodu podejrzenia COVID, wykonywać badania lekarskie i nie zaniedbywać zdrowia.

Przydatną w tych czasach jest racjonalna terapia zachowania (RTZ), czyli jedna z form terapii krótkoterminowej. Chodzi o to, abyśmy nauczyli się radzić sobie z różnymi sytuacjami, eliminując swoje dysfunkcjonalne przekonania, myśli, które nam szkodzą i nie pozwalają się rozwijać, utrudniają życie. Musimy tak opracowywać sytuacje, żeby działały na naszą korzyść, a nie odwrotnie. Często

mówimy, że coś nas denerwuje, coś nas dołuje; cała zasada tego myślenia polega na tym, że fakty nie mają dla nas żadnego znaczenia. Chociaż często mówimy, że mają znaczenie, gdy widzimy np. śmierć człowieka. Oczywiście, dla osoby wrażliwej mają, ale zawsze oceniamy fakty pod takim kątem, jakie to wydarzenie ma znaczenie dla mnie jako konkretnej osoby – dopiero wtedy czujemy emocje. Przed ich pojawieniem pojawia się jednak zawsze myśl: „ocena faktu" Zauważmy, że jest inaczej, jeżeli był to ktoś bliski, inaczej gdy to był ktoś znajomy, czy nieznajomy, a zupełnie inaczej, gdy widzimy śmierć na ekranie telewizora. Wszystko zależy od dystansu i od tego, jakie znaczenie my sami nadamy informacjom do nas napływającym.

Najważniejsze, żebyśmy byli ludźmi i innych lubili. Najgorzej w tych czasach mają te osoby, które nie lubią ludzi, które np. nie lubią studentów i nie są w stanie się przełamać, aby przeprowadzić wykład. Musimy dbać o nasze otoczenie, o naszych przyjaciół, ponieważ przeformułuje to trochę nasz system wartości, powodując, iż będziemy czuć się dobrze, jeżeli pewne potrzeby będziemy mieli zaspokojone. Tak naprawdę człowiek niewiele potrzebuje do życia i do szczęścia. Natomiast, jeżeli powie sobie, że potrzebuje bardzo wielu rzeczy (pragnienia rozbudzone pod wpływem różnego rodzaju czynników zewnętrznych), to wtedy rzeczywiście będzie miał poczucie nieszczęścia.

Szczepionki na COVID

Szczepienia na COVID-19 są ogromną nadzieją na opanowanie pandemii na świecie. Dają szansę na ochronę osób, które są szczególnie zagrożone ciężkim przebiegiem choroby. Należy podkreślić, że tak szybkie opracowanie szczepionek było możliwe tylko dzięki nowoczesnym metodom i technologiom. Tutaj bez matematyki i modeli matematycznych nie byłoby to zupełnie możliwe. Warto wiedzieć, że tworzenie współczesnych szczepionek jest oparte o podobne modele, jakie są używane przy poszukiwaniu leków przeciwnowotworowych, coraz zresztą bardziej skutecznych. Miejmy nadzieję, że szczepionki na COVID-19 ochronią nas na dłużej; chcemy, aby ochroniły nas przynajmniej na 9–11 miesięcy, ale być może pojawią się jeszcze skuteczniejsze.

Długofalowe następstwa pandemii

Musimy być przygotowani na to, że następstwa obecnej pandemii będziemy odczuwali jeszcze przez wiele lat po jej ustąpieniu. Będą to skutki zdrowotne, gospodarcze i społeczne. Skutki zdrowotne mogą się pojawić dopiero u dzieci, których jeszcze nie ma na świecie. Tu warto nawiązać do grypy azjatyckiej z 1957 r., która okrążyła wtedy całą kulę ziemską. Okazało się np. że u dzieci, których matki zostały zarażone w II–III trymestrze ciąży, po wielu latach (20–30) częściej występowały objawy schizofrenii niż u dzieci, których matki nie były na tego wirusa eksponowane.

W zakresie zmian priorytetów ekonomiczno-gospodarczych na pewno będzie położony większy nacisk ochronę zdrowia (co zresztą już się dzieje). Być może zwrócimy uwagę na poprawę warunków pracy, edukację, rozwój nowych branż opartych na nowoczesnych technologiach oraz rozwój telemedycyny, a co za tym idzie zmniejszenie barier dostępu do świadczeń medycznych dla ludzi.

Jeżeli chodzi o zmiany społeczne, będziemy obserwować ewoluowanie przyzwyczajeń i nawyków, relacji społecznych (ważne, żebyśmy utrzymali dotychczasowy system wsparcia, który jest każdemu z nas potrzebny), własnego systemu wartości lub jego ugruntowanie.

Opracował i przygotował Wojciech Streich

— na podstawie wykładu „Życie w czasach COVID" wygłoszonego przez prof. dr hab. Alinę Borkowską, kierownika Katedry Neuropsychologii Klinicznej CM UMK, podczas Kolokwium Fizycznego na platformie Webex (https://fizyka-umk.webex.com/fizyka-umk/).

Kontynuujemy cykl wywiadów poświęconych oficjalnym patronom 2021 roku. W poprzednim numerze opublikowaliśmy wywiady ukazujące życie i twórczość Tadeusza Różewicza oraz Stanisława Lema. Tym razem rozmowa dotyczy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. (win)

Fot. Andrzej Romański

Linia czułości

Z prof. Radosławem Siomą z Instytutu Literaturoznawstwa UMK o Krzysztofie Kamilu Baczyńskim rozmawia dr Marcin Lutomierski

– Radku, jaką spuściznę literacką pozostawił po sobie Baczyński (mam na myśli formy/gatunki literackie i tomiki)?

– Baczyński nie pozostawił po sobie zbyt dużo. To jest kilka tomów poezji, bodajże cztery, wydane w czasie wojny, poza tym dość dużo wierszy opublikowanych w prasie konspiracyjnej. Jeśli chodzi o formy literackie, to raczej należy mówić o swoistej, wyjątkowej wrażliwości niż gatunkach. Można też mówić o bardzo oryginalnej szkole poetyckiego obrazu, właściwie poetyckiej wizji, choć oczywiście to nie wszystko.

– A można to jakoś usytuować na tle tradycji literackiej, przybliżyć czy oswoić na bardziej ogólnym poziomie?

– Tak, oczywiście, choć takie przybliżenia mają swoje ograniczenia. Jak stwierdził Zbigniew Herbert: „Baczyński prawie cały z ducha Słowackiego”.

I on bez wątpienia jest neoromantyczny. Z bliższych czasowo poetów należałoby wskazać neosymbolistyczną tradycję drugiej awangardy, czyli przedwojenną poezję Czesława Miłosza, a przede wszystkim Józefa Czechowicza, bo Baczyńskiemu jest właściwe coś, co w odniesieniu do drugiej awangardy określano mianem mitu przymierza z Ziemią. Chodzi o pewien rodzaj urealnienia poetyckiej wizji z jednej strony, tzn. o taką specyficzną właściwość obrazu poetyckiego, gdy ma się wrażenie, że jest on realny i nierealny zarazem, by ująć to jak najprościej. Gdy w tym, co realne, ziemskie, jest zarazem coś niepojętego. Z drugiej strony to przymierze z Ziemią było pewnym myśleniem całościowym, pewną metafizyką, to nie był po prostu realizm.

– Jarosław Iwaszkiewicz, który znał osobiście Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, napisał kiedyś o nim: „Miało się wrażenie, że ma się do czynienia z człowiekiem niesłychanie twardym, a właściwie mówiąc z człowiekiem miękkim i delikatnym, który uważa za stosowne twardość sobie narzucić". Czy takimi słowami można by również – uogólniając – zinterpretować poezję Baczyńskiego?

– Te słowa są bez wątpienia prawdziwe. Iwaszkiewicz miał zresztą szczególny stosunek do Baczyńskiego. Podejrzewam, że dwóch poległych w powstaniu synów głównej bohaterki jego opowiadania *Tatarak*, to właśnie Baczyński i Gajcy, bo Iwaszkiewicz dość często swoim, powiedzmy, *porte parole*, swoim głosem, czynił figury kobiece. Ale bez wątpienia jakiś rodzaj hartu łączy się w poezji Baczyńskiego z, chciałem powiedzieć, prawie kobiecą wrażliwością. Bo z jednej strony on jest poetą wojennym i katastroficznym, ale jest to katastrofa, która po raz kolejny się spełnia, w jej wszystkich bodajże znaczeniach, indywidualnym, kulturowym, narodowym, metafizycznym. Z drugiej natomiast, to jest poezja niezgody na tę ciemność, która przeciwstawia jej właśnie wrażliwość, która w tym czasie, tej sytuacji wydaje się czymś niewiarygodnym. I tam są te same pragnienia, które ma większość ludzi, szczęścia, miłości, przy tym jakieś odczucie wyjątkowości życia, jego kruchości.

– Czy w wojennych obrazach poetyckich autora *Z głową na karabinie* dostrzegasz choć odrobinę jasnych barw?

– Jak znakomicie wiesz, Marcinie, że nie jest to poezja łatwej pociechy. W ogóle nie jest to poezja

K.K. Baczyński

łatwa, domaga się często od czytelnika cierpliwości. Ale Baczyński jest w pewnym sensie poetą czułości wobec świata, tak jako całości, jak i jego różnych wymiarów. Można powiedzie, mając w pamięci czułego narratora Olgi Tokarczuk, że jest to linia czułości, w której do głosu, głosu publicznego, teraz dochodzą wreszcie kobiety. To nawet zastanawiające, że nie upamiętniamy wielkich pisarek, takich jak na przykład Maria Dąbrowska. Dopiero teraz w Narodowym Czytaniu pojawia się *Moralność pani Dulskiej* Gabrieli Zapolskiej. Pierwsza pisarka, która ma swoje osobne Narodowe Czytanie, bo wcześniej były Orzeszkowa i Konopnicka, gdy czytano nowele polskie. Osobna sprawa, że to się powinno rozpocząć od czegoś oświeceniowego, na przykład od znakomitej *Monachomachii* Ignacego Krasickiego (w tym roku minęło 220 lat od jego śmierci!). Ale, wracając do Baczyńskiego, to jest też linia pewnej czystości. Przychodzi mi na przykład na myśl jeden z najlepszych polskich poetów religijnych, Jerzy Liebert, również młodo zmarły przed wojną, na gruźlicę. W Baczyńskim, mimo dużych różnic, jest właśnie taka czysta nuta.

– Dość powszechna (w popularnych opracowaniach) jest opinia, że poezja Baczyńskiego najpełniej wyraża cechy *pokolenia Kolumbów*. Czy zgodziłbyś się z takim stwierdzeniem?

– Ja się przed tą kategorią jakoś na siłę nie bronię, choć ona, jak każde takie uogólnienie, ma pewne wady. To pokolenie zresztą wydało wielu znakomitych pisarzy i jest zarazem takim łącznikiem

pomiędzy powojniem a przeszłością, wiekiem XIX nawet. W tym sensie ono też jest wyjątkowe. Sądzę jednak, że jest to zarazem pewien symbol i pewien skrót. Ono ma też zazwyczaj dość jednoznaczny wydźwięk, a przecież do obiegu wprowadza je Roman Bratny, autor powieści *Kolumbowie rocznik 20*, także powstaniec warszawski, który jak wiadomo po wojnie był pisarzem proreżimowym. Ale też trzeba powiedzieć, że Baczyński używa zbiorowego podmiotu lirycznego, mówi nie tylko w swoim imieniu. Że pojęcie pokolenia może funkcjonować poza kontekstem powieści Bratnego, po prostu jako roczniki dwudzieste. Natomiast można się zgodzić, że Baczyński czy Gajcy są poetami, którzy najpełniej wyrażają ten szczególny moment w życiu tego pokolenia. Baczyński napisał nawet wiersz pt. *Pokolenie*, ze słynnym fragmentem „Tak się dorasta do trumny / jakeśmy w czasie dorośli" (jest też mniej znany, pod tym samym tytułem).

– Co Twoim zdaniem jest najcenniejsze w twórczości Baczyńskiego?

– To jest chyba najtrudniej powiedzieć. Literaturoznawstwo i szkoła sprowadza zazwyczaj twórczość poetycką do idei, do tego, jak to się mówi, co poeta chciał powiedzieć. Moim zdaniem natomiast to, co najwartościowsze w poezji, co wręcz stanowi o jej wyjątkowości, to jest poza ideami. Przywołany już Herbert pisze w *Widokówce do Adama Zagajewskiego* – „karkołomne metamorfozy dźwięków aby ocalić obrazy", mając na myśli wprawdzie tłumaczenia poezji, ale to można też odnieść do samej twórczości poetyckiej, bo to, co w liryce jest najwartościowsze, moim zdaniem, to – obok wrażliwości – sposób organizacji brzmienia wiersza, wyjątkowy u każdego poety, oraz warstwy obrazowej. Z tego powodu porównuje się poezję z muzyką z jednej strony, a z malarstwem z drugiej, ale są to porównania dalece niedoskonałe, gdyż poeta pracuje w zupełnie innym materiale. Baczyński nie jest aż tak oryginalny i tak przemyślany jeśli chodzi o brzmienie, jak np. Norwid, Czechowicz czy Herbert, jest natomiast wyjątkowy, gdy chodzi o obrazowość. Ale trzeba też powiedzieć, że tu nie chodzi o tzw. stronę formalną, raczej o wyjątkowy rodzaj poetyckości jako mowy uczuć, o oryginalne językowe połączenie przeżycia, widzenia, czucia. Myślę, że najlepiej pokazać to na przykładzie konkretnego wiersza lub choćby fragmentu, jak na przykład ten obraz, z wiersza *Ziemia*, obejmujący czule Ziemię w ciemności:

Ziemia miłości, ziemia ludów święta,
jest jak długa niepamięć, jak jezioro mroku,
przez huragany mroźne ciemnym lodem ścięta,
stoi w sobie milcząca, jak w grobie wyroków.

Albo taki, dwie pierwsze strofy z wiersza *Sen:*

Rybak z rzeki przejrzystej długo wiosłem łuskał
ryby twarde jak orzech, zielone i białe,
które się zwolna w martwe księżyce zmieniały.
Czas się wstrzymał i trzepot usechł, usnął, ustał.

A rybak wiosłem płaskim przez sen gładził pióra
łabędzich skrętów rzeki, aż się w ciszy przemian
zrąb wody urwał nagle jak spieniona góra
i poczęły się chmury, gdy opadła ziemia.

– Bardzo dziękuję Ci za przywołanie tych utworów i za rozmowę.

Popiersie Krzysztofa Kamila Baczyńskiego w Alei Sław w Kielcach, autorka rzeźby Anna Dulny-Perlińska

Fot. Paweł Cieśla

Fot. nadesłana

Marta Wiśniewska (na dole w środku) i Katarzyna Fus (na dole z prawej) z uczestnikami programu Erasmus, zwiedzającymi CKK Jordanki

Katarzyna Fus, Marta Wiśniewska

Cztery filary

Erasmus+ – kolejny unijny program na lata 2021–2027 to z jednej strony kontynuacja sprawdzonych rozwiązań, z drugiej – wyjście naprzeciw wyzwaniom współczesnego świata i potrzeb w dziedzinie mobilności oraz edukacji. Polska dołączyła do programu (wtedy jeszcze pod nazwą SOCRATES) w 1998 roku.

Opis nowej odsłony programu warto zacząć od finansów. Budżet Erasmusa+ na lata 2021–2027 wynosi 26,2 miliarda euro (oraz dodatkowo 2,2 mld euro z unijnego instrumentu współpracy zewnętrznej). Jest więc to niemal dwa razy więcej niż przy poprzednim programie – Erasmusie+ na lata 2014–2020. Ten fakt ewidentnie potwierdza jego wyjątkową rolę w Europie. Program jest uznawany przez Europejczyków za trzecie największe osiągnięcie Unii Europejskiej, zaraz po swobodnym przepływie osób i pokoju. W poprzedniej perspektywie polskie uczelnie wyższe otrzymały 461 mln euro na realizację projektów.

Wraz z nową perspektywą finansową poszerzono założenia Erasmusa+, który w rezultacie stał się bardziej cyfrowy, innowacyjny i inkluzywny. Ma sfinansować mobilność edukacyjną i projekty współpracy transgranicznej dla 10 mln Europejczyków w każdym wieku i ze wszystkich środowisk, przy czym na mobilność przeznaczono 70 procent budżetu. Nowy program Erasmus+ stwarza możliwości odbywania części studiów za granicą, udziału w stażach, praktykach oraz wymianie we wszystkich dziedzinach kształcenia, szkolenia i sportu. Program będzie mieć również istotny wpływ na kształt Europejskiego Obszaru Edukacji, który ma zostać utworzony do 2025 roku. To inicjatywa, dzięki której Unia Europejska zamierza m.in. zapewnić wszystkim młodym ludziom dostęp do edukacji i szkoleń jak najwyższej jakości, umożliwić osobom uczącym się łatwe przemieszczanie się między systemami edukacji w różnych krajach, a także dać im możliwość znalezienia pracy w całej Europie.

Założenia programu

O tym, jaki wpływ i znaczenie ma mieć nowy program, dowiedzieliśmy się podczas inauguracji programu pod koniec marca 2021.

– Z zadowoleniem przyjmuję uruchomienie nowego programu Erasmus+, który udowodnił, że jest jednym z największych osiągnięć Unii Europejskiej – powiedział Margaritis Schinas, wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej ds. promowania europejskiego stylu życia. – Będzie on nadal oferował możliwości edukacji setkom tysięcy Europejczyków i beneficjentów z krajów stowarzyszonych. Zapewniając zmieniające życie doświadczenie mobilności i wspólne zrozumienie między Europejczykami, program pomoże nam również zrealizować nasze ambicje dotyczące bardziej sprawiedliwej i zielonej Europy.

Punktem wyjścia programu Erasmus+ jest założenie, że obywatele Unii Europejskiej muszą mieć wiedzę, umiejętności i kompetencje, by funkcjonować w dynamicznie rozwijającym się społeczeństwie, które staje się coraz bardziej mobilne, wielokulturowe i cyfrowe.

Erasmus+ oparty jest na czterech głównych filarach. Przede wszystkim ma sprzyjać włączeniu społecznemu, wspieraniu rozwoju osobistego, społecznego i zawodowego mieszkańców Europy (i innych krajów). Jednym z istotnych akcentów programu jest zapewnianie równych szans osobom w różnym wieku, o różnych statusach społecznych, ekonomicznych i kulturowych. Pandemia COVID-19 pokazała, jak wielkie znaczenie ma edukacja w transformacji cyfrowej, potrzebnej Europie. To właśnie konieczność wzmocnienia i wykorzystania potencjału technologii cyfrowej jest kolejnym priorytetem programu. Nowy Erasmus+ ma też być zielony. Walka ze zmianą klimatu i nowa europejska strategia na rzecz środowiska to wyzwania dla programu, który ma być istotnym instrumentem w budowaniu wiedzy, umiejętności i postaw w zakresie klimatu i zrównoważonego rozwoju.

Program Erasmus+ będzie również wspierał stabilność systemów kształcenia i szkolenia w kontekście obecnie trwającej pandemii.

– Program Erasmus+ ma kluczowe znaczenie dla rozwoju naszego Uniwersytetu, który ma ambicje budowania i umacniania swojej pozycji jako mocnego badawczego uniwersytetu europejskiego, kształcącego na najwyższym poziomie i aktywnie przyczyniającego się do pozytywnych zmian w środowisku społecznym, w jakim funkcjonujemy – mówi prorektor ds. kształcenia UMK prof. Przemysław Nehring. – Dzięki coraz większym środkom finansowym, jakie zapewnia ten program, ale też wyraźnie określanym jego priorytetom, będziemy w stanie współpracować coraz ściślej z naszymi zagranicznymi partnerami. Będziemy się starać, aby coraz więcej naszych studentów mogło odbyć część swoich studiów na najlepszych europejskich uniwersytetach, a z drugiej strony, aby coraz więcej studentów z zagranicy skorzystało z naszej mocnej oferty kształcenia. Bez znaczącego postępu w umiędzynarodowieniu badań i kształcenia nie moglibyśmy nawet marzyć o zajmowaniu znaczącego miejsca w europejskiej przestrzeni akademickiej.

Projekty mobilności studentów i pracowników

W projektach dedykowanych mobilności studentów oraz pracowników mamy kilka nowości. Jedną z nich jest skrócenie minimalnego okresu długotrwałej mobilności z 3 do 2 miesięcy w przypadku wyjazdu na studia. Wprowadzono również mobilność mieszaną, polegającą na połączeniu fizycznego krótkiego wyjazdu (od 5 do 30 dni) z kontynuacją kształcenia w formie online. W celu zachęcenia do zastosowania bardziej elastycznych form kształcenia już w tym naborze uczelnie mogą starać się o dofinansowanie; tzw. BIP (Blended Intensive Programmes), czyli programów kształcenia, kursów realizowanych w partnerstwie co najmniej trzech uczelni z krajów programu – w formule mobilności mieszanych. Takie kursy można stworzyć zarówno dla studentów, jak i pracowników. W tym przypadku uczelnia wnioskująca o dofinansowanie BIP otrzymuje wsparcie na organizację kursu dla 15–20 uczestników, zaś stypendia pobytowe będą przyznawane przez uczelnię macierzystą uczestnika. Po raz pierwszy również w ramach projektów współpracy z krajami programu (UE oraz Islandia, Lichtenstein, Macedonia Północna, Norwegia, Serbia i Turcja) uczelnia będzie mogła przeznaczyć część otrzymanych środków na realizację mobilności z dowolnymi krajami partnerskimi (tzn. wszystkimi krajami świata, które nie są w grupie krajów programu). Co szczególnie ważne, uczestnicy z mniejszymi szansami, np. osoby z niepełnosprawnościami czy studenci w trudnej sytuacji materialnej, mogą liczyć na wyższe stypendia. Nowością w tym programie jest również dofinansowanie do tzw. zielonych podróży (Green Travel). Uczestnicy programu, którzy zdecydują się na skorzystanie z ekologicznego środka transportu (kolej

czy autobus), mogą otrzymać dodatkowe dofinansowanie do podróży, jak i na wsparcie indywidualne w trakcie podróży do 4 dni.

Partnerstwa współpracy i działania centralne dostępne dla uczelni

Nowy okres programowania to kontynuacja sprawdzonych już typów projektów, z nieco zmodyfikowaną ofertą. W akcji 2 i konkursach ogłaszanych przez Narodową Agencję Programu Erasmus+ instytucje szkolnictwa wyższego mogą realizować „Partnerstwa współpracy" (dawne „Partnerstwa Strategiczne"). Są to międzynarodowe projekty trwające od 12 do 36 miesięcy, których celem jest rozwój, transfer i wdrażanie innowacyjnych praktyk oraz realizacja wspólnych inicjatyw promujących współpracę, partnerskie uczenie się i wymianę doświadczeń na poziomie europejskim. Maksymalne dofinansowanie projektu może wynieść 400 tys. euro. Efektem tego typu projektów ma być przede wszystkim modernizacja oferty dydaktycznej uczelni, jej lepsze dostosowanie do potrzeb społeczeństwa i gospodarki oraz podniesienie jakości kształcenia. Efekty realizacji projektów powinny nadawać się do ponownego wykorzystania bądź przenoszenia, a także mieć wyraźny wymiar interdyscyplinarny. W projekcie powinny brać udział przynajmniej trzy instytucje z trzech różnych krajów programu, a także – jeśli udział jest dobrze uzasadniony – z krajów partnerskich.

Wnioskodawcą może być jedynie organizacja z kraju programu, która jednocześnie staje się koordynatorem projektu. Uczelnie z krajów programu biorące udział w projekcie muszą mieć Kartę Erasmusa dla szkolnictwa wyższego (karta ECHE).

Priorytetowo potraktowane mają być akcje kluczowe dla realizacji celów europejskiego obszaru edukacji:

- promowanie wzajemnie połączonych systemów szkolnictwa wyższego,
- stymulowanie innowacyjnych praktyk w zakresie uczenia się i kształcenia,
- rozwój STEM i STEAM w szkolnictwie wyższym, w szczególności udział kobiet w STEM,
- nagradzanie doskonałości w uczeniu się, nauczaniu i rozwijaniu umiejętności,
- tworzenie systemów szkolnictwa wyższego sprzyjających włączaniu społecznemu,
- wspieranie zdolności cyfrowych sektora szkolnictwa wyższego.

Działania centralne, a więc te bezpośrednio prowadzone przez Europejską Agencję Wykonawczą ds. Edukacji i Kultury (EACEA), to kontynuacja propozycji z poprzedniego programu. Są jednak pewne nowości; Akcja Erasmus Mundus, która ma na celu promowanie doskonałości i umiędzynarodowienie instytucji szkolnictwa wyższego poprzez wspólne programy studiów na poziomie magisterskim. Obejmuje nie jeden, jak uprzednio, lecz dwa typy działań. Pierwszy to prowadzenie wspólnych studiów magisterskich (EMJM), zaś drugi to działania w zakresie opracowywania takich studiów (EMDM). Są to osobne grupy, co oznacza, że EMDM nie musi być wdrażane przez EMJM. Nie ma także automatyzmu przyznania dofinansowania projektów dotyczących realizowania wspólnych studiów w przypadku, gdy utworzony został program. Podobnie brak wcześniejszego EMDM nie stanowi kryterium przyznania finansowania w ramach EMJM.

Obie grupy muszą działać w konsorcjach co najmniej trzech instytucji szkolnictwa wyższego z trzech różnych krajów, z czego dwa muszą pochodzić z krajów programu. W przypadku realizacji wspólnych studiów już na etapie składania wniosku musi on zawierać w pełni opracowany program, gotowy do realizacji niezwłocznie po uzyskaniu dofinansowania. Konsorcjum otrzymuje dotację na okres sześciu lat akademickich na sfinansowanie co najmniej czterech edycji programu magisterskiego, z których każdy trwa od roku do dwóch lat akademickich. EMJM obejmuje stypendia dla studentów przyjętych na studia. Odbycie kształcenia wiąże się też z obowiązkową mobilnością fizyczną studentów, co oznacza realizację co najmniej dwóch semestrów programu w dwóch różnych krajach. Ukończenie programu EMJM musi prowadzić do

uzyskania wspólnego dyplomu albo wielu dyplomów uznawanych przez pełnoprawnych partnerów. Należy pamiętać, że do projektu wymagany jest wkład własny.

W przypadku składania wniosku o dofinansowanie na przygotowanie programu studiów projekt trwa 15 miesięcy. W tym czasie powinien powstać w pełni zintegrowany program nauczania, uwzględniający obowiązkową mobilność fizyczną i dążący do uzyskania wspólnego dyplomu albo dyplomów. W ramach projektu powinny zostać opracowane wspólne mechanizmy, takie jak wymagania dotyczące przyjmowania studentów, opracowanie programu czy sposoby wspólnego zarządzania administracyjnego i finansowego, a więc wszystkie te aspekty, które są niezbędne do prowadzenia wspólnych studiów. Wparcie finansowe ma tutaj postać kwoty ryczałtowej wynoszącej 55 tys. euro.

Komisja Europejska postawiła na kontynuacje pozostałych akcji, takich jak na przykład sojusze. W programie na lata 2021–2027 rozróżniamy sojusze na rzecz edukacji i przedsiębiorstw (grupa 1) oraz sojusze na rzecz współpracy sektorowej (grupa 2). Pierwszy typ sojuszu to konsorcja składające się co najmniej z 8 instytucji reprezentujących 4 kraje programu. Ich celem jest wspieranie innowacji w różnych sektorach edukacji (także w szerszym otoczeniu społeczno-gospodarczym). Rezultaty wypracowane przez konsorcja powinny być odpowiedzią na wyzwania społeczne i gospodarcze, takie jak zmiany klimatyczne, zmiany demograficzne, cyfryzacja, sztuczna inteligencja, przystosowanie społeczeństwa do szybkich zmian oraz innowacji na rynku pracy. Drugi typ sojuszu ma na celu wypracowanie nowych rozwiązań strategicznych i wzmocnienie współpracy na rzecz danej branży. Wybrano 14 branż o istotnym znaczeniu dla konkurencyjności europejskiego rynku pracy (m.in. turystyka, branże niskoemisyjne i energochłonne, technologie cyfrowe, energia odnawialna, elektronika). Sojusze powinny być zawiązywane pomiędzy co najmniej 12 organizacjami reprezentującymi 8 krajów programu. Projekty mogą trwać 4 lata.

W nowym programie Erasmus+ pozostawiono także główne zasady akcji Jean Monnet, która odnosi się do wspierania prowadzenia studiów i badań dotyczących Unii Europejskiej i integracji europejskiej. Poprzez projekty promuje się europejską aktywności obywatelską i wartości europejskie, a także uwypukla znaczenie Unii w zglobalizowanym świecie. W ramach tej akcji instytucje szkolnictwa wyższego mogą realizować projekty dotyczące trzech różnych form działania:

Moduły, czyli krótkie programy edukacyjne w zakresie studiów nad UE, które mogą mieć charakter interdyscyplinarny lub koncentrować się na jednej dziedzinie studiów. Moduł musi być utrzymany przez 3 lata, składać się z co najmniej 40 godzin seminariów, wykładów lub innej formy w jednym roku akademickim. Kursy letnie nie kwalifikują się do działania.

Katedry to grant dla indywidualnych nauczycieli akademickich specjalizujących się w studiach nad UE, finansujący 3 lata działalności, w tym co najmniej 90 godzin dydaktycznych w jednym roku akademickim.

Centra doskonałości, czyli utworzenie miejsca skupiającego wysoko wykwalifikowanych ekspertów z obszaru studiów nad UE, upowszechniających swoją wiedzę w społeczeństwie. Dofinansowanie obejmuje 3 lata działalności. Jedna instytucja szkolnictwa wyższego może starać się o dofinansowanie utworzenia jednego centrum.

W drugim roku realizacji nowego programu Erasmus+, tj. w 2022 r., zostaną uruchomione kolejne istotne dla sektora szkolnictwa wyższego działania, takie jak projekty mobilności z krajami partnerskimi oraz Inicjatywa Uniwersytetów Europejskich.

– Te działania będą miały szczególne znaczenie dla naszej Uczelni, która należy do konsorcjum YUFE, jednego z najdynamiczniej rozwijających się dzisiaj Uniwersytetów Europejskich – mówi prorektor Nehring. – Stabilne pod względem finansowym funkcjonowanie w nowej perspektywie budżetowej oznaczać będzie dla naszego konsorcjum skuteczną realizację niezwykle ambitnych celów, jakie przed sobą stawiamy.

Kształt i zakres obecnego programu napawa optymizmem. Pokazuje bowiem, że polityka Unii Europejskiej w kwestii kształcenia jest konsekwentna i dąży do jasno określonych celów, a wypracowane rozwiązania okazały się efektywne i przyjazne dla beneficjentów. UMK w nowym rozdaniu zamierza korzystać jak najszerzej z możliwości, jakie daje program, przyczyniając się tym samym do podnoszenia jakości kształcenia i zwiększania umiędzynarodowienia Uniwersytetu.

Katarzyna Fus i Marta Wiśniewska — specjalistki w Dziale Międzynarodowych Partnerstw i Mobilności Edukacyjnej.

Turystyka w czasach zarazy

Z dr. hab. Dariuszem Sokołowskim, prof. UMK, z Katedry Gospodarki Przestrzennej i Turyzmu Wydziału Nauk o Ziemi i Gospodarki Przestrzennej UMK rozmawia Winicjusz Schulz

Fot. Andrzej Romański

– Kiedy ostatni raz był Pan na zagranicznych wczasach?

– W zasadzie unikam wypoczynku biernego, czyli tego, co nazywamy wczasami; świat jest zbyt piękny, żeby oglądać go z perspektywy plaży czy basenu hotelowego. Preferuję bardziej aktywne formy turystyki, zwłaszcza turystykę krajoznawczą. Interesujące są zarówno te walory, które powstały dzięki naturze, jak i te, które wytworzył człowiek. Rozszerzając zakres pytania na ogół wyjazdów turystycznych, to mój ostatni dłuższy pobyt za granicą zrealizowałem w 2019 roku, czyli w spokojnych jeszcze czasach „przedcovidowych". Moje plany urlopowe na 2020 r. runęły z przyczyn tzw. niezależnych, czyli wiadomo jakich. Jedyne wycieczki w czasie pandemii, które zrealizowałem, to wyjazdy zorganizowane *ad hoc*, bez wcześniejszego planowania, bo nie korzystałem ze środków komunikacji publicznej. Były to krótkie wypady do sąsiadów (Czech i Niemiec), podczas letniego poluzowania obostrzeń.

– A wyjazdy w Polsce?

– Podobnie – w czasie pandemii tylko parę krótkich wypadów, kiedy jeszcze było to możliwe i można było korzystać z hoteli. Od jesieni ubiegłego roku rzadko ruszam się z Torunia.

– Kilka lat temu rozmawialiśmy o ulubionych kierunkach wyjazdów Polaków. Padały przykłady Włoch, Grecji, Hiszpanii, Portugalii. Pandemia wywróciła te preferencje do góry nogami.

– Kraje śródziemnomorskie chyba pozostaną wśród preferowanych kierunków wyjazdów Polaków, ale ograniczenia związane z covidem wymuszają odstąpienie od tych preferencji. A ponieważ

natura nie lubi pustki… szybko znajdujemy sobie kierunki zastępcze. Dotyczy to jednak nie wszystkich, ze względu choćby na zasobność portfela. Wydaje mi się, że po powrocie sytuacji do normy (w co chcemy i chyba powinniśmy wierzyć) wrócimy też do ulubionych kierunków.

– W ostatnim czasie wydaje się, że na turystycznym topie są Zanzibar, Dubaj, Wyspy Kanaryjskie i Malediwy. Poza Wyspami Kanaryjskimi to były do niedawna bardzo egzotyczne dla Polaków kierunki. I wręcz postrzegane jako ekskluzywne. Lecimy tam, bo tylko tam można?

– Sądzę, że to trafna odpowiedź. Kierunki egzotyczne są drogie, stać na takie wyjazdy tylko niektórych, a zatem nie możemy oczekiwać, że staną się one destynacjami turystyki masowej. Pomijam już fakt, że pojemność turystyczna tych miejsc nie jest nieograniczona…

– Ale nie są to tanie propozycje. W pandemii turystyka stała się rozrywką tylko dla bogatych?

– Mam nadzieję, że jest to krótkotrwała sytuacja. Zbyt wielu ludzi żyje z turystyki, by się poddawać i rezygnować ze swojego źródła dochodu. Gospodarka niektórych państw oparta jest głównie na tym dziale gospodarki narodowej. Dla nich przyjmowanie lub nieprzyjmowanie gości, to być albo nie być... W ich żywotnym interesie jest jak najszybsze odtworzenie turystyki masowej, a zatem niedrogiej. Bogatych turystów jest zbyt niewielu, żeby branża mogła egzystować tylko dzięki nim i dla nich. Z chwilą poluzowania lockdownów w poszczególnych państwach turystyka szybko się odrodzi. Pod warunkiem, że realizujące ją podmioty wcześniej nie zbankrutują. Wówczas byłby to proces bardziej długotrwały, ale – nieprzesadnie. Mam na myśli to, że w sytuacji, gdy pojawi się popyt, tam szybko odtworzona zostanie podaż.

– A może nie wytrzymujemy już zamknięcia i gotowi jesteśmy zapłacić każdą cenę, byle tylko wyrwać się z kraju owładniętego zarazą?

– Myślę, że w tym aspekcie rzeczywistość nie jest taka prosta. Z pewnością wiele osób byłoby skłonnych nawet przepłacić, bo siedzenie w zamknięciu jest stresogenne. Jednak nie możemy zapominać o kilku kluczowych ograniczeniach: po pierwsze, zawartość portfela dla wielu jest czynnikiem decydującym, czy – może lepiej powiedzieć – limitującym. Po drugie, podróżowanie środkami komunikacji publicznej (a przecież w podróż egzotyczną nie wybieramy się własnym samochodem, tylko musimy spędzić przynajmniej kilka godzin w samolocie) wiąże się z długotrwałym przebywaniem z pobliżu innych osób, o których stanie zdrowia nic nie wiemy – wchodzi tu w rachubę czynnik strachu, czy przynajmniej uzasadnionej obawy. Mógłbym w tym miejscu wspomnieć o tzw. paszportach covidowych, ale domyślam się, że dalej będzie jeszcze okazja o rozwinięcia tego tematu. Kolejnym czynnikiem ograniczającym są działania firm, instytucji i rządów zupełnie niezależne od nas, które wpływają na nasze możliwości podróżowania, bądź też czynią je ryzykownymi. Przykładowo: linie lotnicze mogą niespodziewanie odwołać nasz lot, albo ogłosić bankructwo, państwo, w którym opłaciliśmy pobyt, może nagle zamknąć swoje granice lub skierować nas na przymusową kwarantannę, czasami dłużej trwającą niż nasz cały pobyt... Jest wiele sytuacji, w których ktoś, bez naszej – turysty – winy, może postawić nas w trudnej sytuacji, a nawet zostawić nas na przysłowiowym lodzie, kiedy gdzieś utkniemy i ani realizacja pobytu, ani powrót do domu nie będzie możliwy. Świadomość tych zagrożeń sprawia, że wiele osób woli odwlec w czasie swoje wymarzone wakacje. Sam też się do nich zaliczam…

– Z drugiej strony: czy nie stępił nam się nieco instynkt samozachowawczy? Nie ma takiej szerokości geograficznej, pod którą moglibyśmy się czuć w 100 procentach bezpieczni. Covid-19 jest wszędzie.

– Wydaje mi się, że takie stępienie instynktu samozachowawczego wynika ze znużenia, ze zmęczenia tematem. Wiosną 2020 roku wszyscy (no, prawie wszyscy...) przejmowali się pandemią, przestrzegali obostrzeń i społeczna akceptacja tych działań była niemal powszechna. A przypomnijmy sobie, ile wówczas było przypadków zachorowań, a ile jest obecnie. Racjonalne byłoby zatem, gdybyśmy teraz byli bardziej ostrożni niż przed rokiem. A że tak nie jest – to wydaje się tylko potwierdzać tezę, że mamy dość tej pandemii; wielu osobom puszczają nerwy, zaczynają lekceważyć obostrzenia, przyjmując postawę „co ma być, to będzie". Traktowaniu serio wprowadzanych zaleceń, nakazów i zakazów nie sprzyja z pewnością ciągła ich zmienność. Jeśli dziś jest słuszne to, a na drugi dzień tamto, przykładowo: najpierw sens zakładania maseczek jest wyśmiewany, a za chwilę ten sam minister wprowadza nakaz ich noszenia po groźbą wysokich kar, albo: przez prawie rok przyłbice chronią nas (rzekomo) przez infekcją, a później słyszymy, że „żarty się skończyły" i przyłbice idą do lamusa... Takie absurdy można mnożyć (gwoli ścisłości dodajmy, że spotykamy się z nimi nie tylko na krajowym podwórku), ale nie posuwa to naprzód naszej rozmowy. Wspomniałem o tym dlatego, że brak konsekwencji w działaniach rządzących nie tylko może się przyczyniać do stępienia instynktu samozachowawczego u wielu osób, ale przede wszystkim prowadzi do ich dezorientacji. A jeśli nie mamy przekonania do tego, że to, co nam się nakazuje/zakazuje jest słuszne, to staramy się to omijać.

Co do naszego bezpieczeństwa, to nigdy nie będzie ono 100-procentowe, ale spójrzmy na kilka bardziej egzotycznych destynacji, które są chętnie odwiedzane zarówno przez Polaków, jak i ogół Europejczyków. Wietnam – liczba przypadków śmiertelnych od początku pandemii wynosi 35 (osób, nie tysięcy osób), dzienna liczba nowych odnotowanych zakażeń w ostatnich tygodniach – od 3 do 19 (mówimy o państwie, które liczy 98 mln mieszkańców). Tajlandia (70 mln mieszkańców) – 97 przypadków śmiertelnych (większość z nich w marcu i kwietniu ubiegłego roku), liczba wykrytych przypadków wzrosła w ciągu ostatnich dwóch tygodni z kilkudziesięciu do kilkuset dziennie. Tajwan (24 mln mieszkańców) – 11 zgonów, dziennie przybywa po kilka przypadków. Nowa Zelandia (niespełna 5 mln mieszkańców) – 26 osób zmarło od początku pandemii, nowe przypadki – kilka dziennie. Przykłady można jeszcze mnożyć... Odnoszę wrażenie, że koronawirus obrał sobie za cel ataku głównie państwa na kontynencie europejskim i amerykańskim...

– Zajrzyjmy na portale społecznościowe. I tam znów od czasu do czasu natrafiamy na zdjęcia z takich miejsc jak wspomniany już Zanzibar, Dubaj czy Malediwy. I jakże często pod nimi można natrafić (zwłaszcza w przypadku, gdy chodzi o osoby znane) na komentarze w rodzaju „nie wstyd Pani, tu w Polsce ludzie walczą z koronawirusem, a Pani chwali się wypoczynkiem w tropikach". Turystyka zaczyna ludzi dzielić?

– Tak, turystyka zaczyna ludzi dzielić. Ale nie turystyka jest tu sednem problemu. Ludzie coraz bardziej lubią podziały między sobą, podkreślają swoją odrębność względem jednych grup (najczęściej z poczuciem wyższości), a jednocześnie przynależność do innych. Widać to na różnych płaszczyznach, a turystyka staje się jedną z nich. W czasie tzw. pandemii określone postawy są bardzo nagłaśniane i to, co wcześniej pozostałoby niezauważone, teraz może urosnąć do rangi wydarzenia dnia. Taka burza w szklance wody. Te tzw. osoby znane, albo znane z tego, że chcą być znane, często same nagłaśniają swoje wyjazdy, zgodnie z zasadą, że nieważne, jak się o nas mówi, ważny jest sam fakt obecności na pierwszych stronach tabloidów. Jeśli nie łamią określonych zasad i korzystają z tego, co jest dostępne dla wszystkich, mogą sobie jeździć, dokąd chcą i powinno to zostać ich sprawą... Nasuwa mi się na myśl tylko jedna ewentualna wątpliwość związana z taką postawą: możliwość przywleczenia i rozprzestrzenienia nowych odmian wirusa. Nie wiem, czy tak jest w rzeczywistości, bo według niektórych medyków po świecie krążą tysiące odmian i mutacji koronawirusa, a mówienie o jakimś wariancie „brytyjskim", „brazylijskim" czy „południowoafrykańskim" jest zwykłą dezinformacją. Trudno mi się zatem – jako niespecjaliście – odnieść do tych zagrożeń, tylko sygnalizuję potencjalny problem.

– Na drugim biegunie jest Polska. Zamknięte restauracje, hotele, pensjonaty, SPA. I co dalej? Branża upadnie?

– Nie podejmę się prorokowania. I chyba nikt nie powinien na obecnym etapie, bo mamy zbyt wiele niewiadomych. Myślę, że upadłość podmiotów działających w branży turystycznej jest w głównej mierze sprawą indywidualną. Jeśli ktoś prowadzi pensjonat nad morzem czy w górach, może przebiedować trudny okres, bo potem szybko się „odkuje". Przypomnijmy sobie, co się działo latem ubiegłego roku nad Bałtykiem. Hotele działające w ramach międzynarodowych systemów hotelowych wchodzą natomiast w skład ogromnych korporacji, posiadających niekiedy tysiące obiektów, i te prawdopodobnie dobrze zniosą kryzys. Czego nie można powiedzieć o zatrudnianym przez nie personelu. Zatem mamy do czynienia z sytuacją powtarzającą się wielokrotnie w historii: bogaci właściciele/korporacje dadzą sobie radę, a wiele z nich dostanie jeszcze wsparcie od rządów; zwykli pracownicy – znajdą się na bruku... Izba Gospodarcza Hotelarstwa Polskiego od co najmniej pół roku bije na alarm z powodu dużej fali zwolnień, a szacuje, że w czasie i z powodu pandemii pracę może utracić połowa pracowników branży.

Branża jako całość prawdopodobnie nie upadnie, ale głębokość kryzysu zależeć będzie głównie od czasu jego trwania. W najgorszym scenariuszu rządy mogą uznać, że np. masowe szczepienia nie powstrzymały w wystarczającym stopniu rozprzestrzeniania się wirusa i będą kolejne lockdowny. Przedłużanie się ograniczeń w komunikacji, hotelarstwie, gastronomii i innych działalnościach turystycznych miałoby bardzo złe konsekwencje dla turystyki. Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie i za parę miesięcy zaczniemy powracać do normalności.

– Jeszcze rok temu wszyscy w polskiej branży turystycznej zacierali ręce. Takiego lata jak 2020 chyba od lat w branży nie było. Wszystko sprzedawało się na pniu.

– Jeśli to pytanie o ewentualną powtórkę w 2021 r., to pytanie chyba należałoby skierować do premiera. Jeśli pozwolą otworzyć hotele i restauracje jak w ubiegłym roku, to Polacy na pewno wykorzystają okazję...

– Spodziewa się Pan także sporych przetasowań własnościowych w branży turystycznej w Polsce. Nawet tacy potentaci jak Gołębiewski narzekają. Słyszy się o propozycjach przejmowania hoteli, pensjonatów za np. 20 procent wartości sprzed pandemii. Kto ma nóż na gardle, ten sprzedaje.

– Trudno mi ocenić skalę takiego zjawiska bez konkretnych danych, a informacje, które do nas docierają są informacjami po pierwsze – jednostkowymi, a po drugie – niepotwierdzonymi. Kto wie, czy właściciel jednego czy drugiego hotelu nie narzeka w mediach tylko dlatego, że liczy na wyższą dotację z tarczy numer któryś tam? Z pewnością jednak zakusy na to, żeby za ułamek realnej wartości nabyć nieruchomość czy biznes, będą częste, ale możliwość ich odparcia zależy od wielu indywidualnych czynników.

– Na ile pandemia zmieni polską branżę turystyczną? Może pojawią się rozwiązania prozdrowotne, pozwalające reagować na zagrożenia, dostosowywać się do reżimów sanitarnych?

– Z pewnością takie kroki są już podejmowane przez właścicieli bazy noclegowej, gastronomicznej, czy niektórych urządzeń infrastruktury, z której korzystają turyści, jak np. wyciągi narciarskie. Problem w tym, że te wszystkie obostrzenia covidowe są formułowane i kierowane na ślepo i uderzają w całą branżę. Z punktu widzenia serwowanych nam, ciągle zmieniających się przepisów, nie ma żadnego znaczenia, czy w danym hotelu, czy restauracji przestrzegane są przepisy sanitarne, czy nie. Każdy obrywa w jednakowym stopniu. Jest oczywiście druga strona, być może mniej ślepa, tj. turyści. Jeśli dowiedzą się, że jedne obiekty lepiej dostosowują się do reżimów sanitarnych niż inne, to ci bardziej świadomi mogą dokonywać określonych wyborów. Mowa oczywiście o czasie, kiedy ograniczenia zostaną zniesione. Jeśli natomiast idzie o zmiany w całej branży, to można chyba powiedzieć tylko tyle,

że przetrwają silniejsi, bardziej odporni. Mniejsze szanse na przetrwanie kryzysu mają ci najbardziej zadłużeni, a większą ci, którzy mają zakumulowany kapitał na przetrwanie, ewentualnie bardziej zaradni, którzy uzyskają jakieś dotacje.

– Powróćmy jeszcze za granicę – dla wielu krajów turystyka i rekreacja to było nawet 60–70 procent PKB. To wszystko zamarło wraz z pandemią. Kiedy może powrócić i na jakich warunkach?

– W takich państwach turystykę obsługuje zarówno wielki biznes – ci sobie poradzą, jak i małe biznesy rodzinne, często przekazywane z pokolenia na pokolenie. Jeśli ci ludzie nie mają mocno zadłużonych swoich biznesów, to jest spora szansa, że też dadzą sobie radę. Pod warunkiem, że w tym roku sytuacja związana z pandemią zacznie się normalizować.

– Unia Europejska chce, by przepustką do relaksu pod palmami był paszport covidowy. To dobry pomysł?

– Nie można udzielić jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Z jednej strony, mówimy o ograniczeniu czyjejś wolności, o inwigilacji, o stosowaniu przymusu, czy nawet swego rodzaju szantażu (nie szczepiłeś się – nie pojedziesz). Na to patrzę bardzo krytycznie. Ale jest też druga strona medalu: osoby, które są zdrowe, chciałyby spokojnie i bezpiecznie spędzić swój urlop. Zależy im na tym, by w ich bliskim otoczeniu nie było nosicieli wirusa. Te osoby życzyłyby sobie (tak zakładam), żeby inni taki paszport mieli.

Żeby nie było zbyt prosto: czy paszport będzie gwarantować, że jego posiadacz niczym paskudnym nas nie zarazi? Jeśli ten tzw. paszport ma być zaświadczeniem o szczepieniu, to na pewno pojawi się pokusa jego fałszowania i hackowania (nasze dane wrażliwe nie będą w stu procentach bezpieczne). Ponadto – to już wiemy – szczepionka nic nie gwarantuje; ona tylko ma zmniejszać prawdopodobieństwo zarażenia, czy ciężkiego przebiegu ewentualnej choroby. Być może się mylę, ale chyba nie dowiemy się z tego dokumentu, czy ktoś jest nosicielem wirusa, albo, czy pomimo szczepienia dana osoba straciła już odporność. Reakcje poszczególnych organizmów są bardzo zróżnicowane i dokument zawierający wpis o zaszczepieniu może dodatkowo osłabiać czyjąś czujność i wprowadzać błąd.

– A co ze zmianami w mentalności? W czasie pandemii wiele państw wysyłało do obcokrajowców jednoznaczny (może i egoistyczny) sygnał. Nie jesteście mile widziani. Zostańcie u siebie. Teraz nagle obcokrajowcy mają się poczuć jak najmilsi goście? Uwierzą w taką zmianę frontu?

– Współczesne społeczeństwa mają krótką pamięć… Realizacja własnych potrzeb, wygoda i kwestie finansowe jak zwykle przesądzą sprawę…

– Na zakończenie naszej rozmowy pytanie z zupełnie innej dziedziny, choć dotyczące turystyki. Można odnieść wrażenie, że przez ostatnie kilkanaście lat pojawiła się w Polsce grupa zamożnych turystów, dla których wyjazd do Grecji czy Hiszpanii to nuda, trochę jak wyjazd z Torunia do Kamionek czy Osieka. Chcą czegoś innego. A że rynek nie znosi próżni, to mamy oferty wypraw do Ameryki Południowej, egzotycznej Azji czy nawet na Antarktydę. To trwała tendencja?

– Z pewnością tak, choć skala zjawiska nie pozwala jeszcze określić go masowym. Decydującym czynnikiem są – jak to zwykle bywa – finanse, co mocno ogranicza potencjalną liczbę takich turystów. Warto przy tej okazji dodać, że polityka biur podróży realizujących egzotyczne wyjazdy jest, z punktu widzenia, polskiego konsumenta, czyli turysty, bardzo irytująca. Ceny wyjazdów w określone miejsca realizowanych z Polski są zwykle wyższe, niż realizowanych przez to samo biuro np. z Niemiec. A przy tym standard oferowany polskiemu turyście nie zawsze dorównuje standardowi, za który płaci Niemiec czy Francuz. Nie pierwszy to przypadek, kiedy Polak, czy – szerzej ujmując – mieszkaniec państwa dawnego bloku wschodniego, jest traktowany w sposób „specjalny". Kiedyś łudziliśmy się, że słynne Orwellowskie sformułowanie o równych i równiejszych odejdzie do lamusa…

– Zaczęliśmy od prywatnego pytania, to i na takim skończmy. Jak już będzie można, dokąd w pierwszej kolejności wyruszy prof. Dariusz Sokołowski?

– Szczerze? Nie mam pojęcia. Czasami może się pojawić pomysł pod wpływem chwili. Oczywiście z pewnym wyprzedzeniem, bo przelot trudno rezerwować z dnia na dzień. Z dużą dozą prawdopodobieństwa wskażę jednak na któryś z regionów w jednym z państw położonych nad Morzem Śródziemnym.

– Dziękuję za rozmowę.

– Ja również dziękuję i życzę przede wszystkim zachowania dobrego zdrowia.

Marek Jurgowiak

Biochemia miłości, czyli zakochany mózg

Co dzieje się w organizmie, gdy jesteśmy zakochani? Co to znaczy, że pomiędzy zakochanymi osobami zadziałała „chemia", która sprawia, że odczuwamy ten niezwykły stan euforii i zafascynowania na samą myśl o ukochanym lub reagujemy na jej głos, bądź zapach ciała.

Skóra człowieka wydziela substancje zapachowe; to między innymi dzięki nim odczuwamy „chemię", jaka zadziałała między nim i nią, między nimi. Podobnie u zwierząt zapach płci przeciwnej stymuluje wytwarzanie hormonów płciowych. Zapach cia-

ła może być zatem uważany za afrodyzjak (w przypadku wielu, bo nawet 1500 gatunków zwierząt mowa jest o substancjach chemicznych zwanych feromonami, jednak u ludzi ich znaczenie wydaje się wątpliwe).

Narodziny miłości są dla organizmu prawdziwym szokiem. Serce bije szybciej, podwyższa się ciśnienie krwi, a ręce drżą. Jesteśmy coraz mniej świadomi swoich zachowań, kieruje nami niezdefiniowana siła i odczuwamy bolesną tęsknotę za obiektem naszego zainteresowania. Miłość, niczym stan stresu, wyzwala w organizmie burzę hormonów. Hormony miłości działają jednak na mózg, a nie serce, które jest synonimem miłości (przynajmniej tak jest w literaturze pięknej). Olbrzymia liczba neuronów mózgu, bo aż w liczbie 85 miliardów (tyleż komórek gleju) tworzy sieć komórek połączonych synapsami, a te dzięki receptorom i ligandom w postaci neuromediatorów odpowiadają za chemiczne zamieszanie stanu zakochania i miłości. Mózg jednak nie wyewoluował, by służyć do pisania poezji miłosnej, bądź do umiejętności czytania, lecz byśmy mogli przeżyć i osiągnąć sukces rozrodczy i przekazać geny następnemu pokoleniu. Na tym bazuje życie. Tak jak pismo wynalezione zostało bez specjalnego genu pisania, tak zapewne pojawiło się szereg naszych umiejętności i zachowań. Zatem i bez specjalnego genu miłości pojawiło się zakochanie i przywiązanie do drugiej osoby. Niemniej od wielu genów zależą (peptydy, neuropeptydy miłości są produktami kodowanymi w wielu genach).

Najistotniejszą rolę w miłości odgrywa mózg i wytwarzane przez niego substancje chemiczne. To gwałtowne, namiętne uczucie jest wynikiem działania co najmniej kilku związków chemicznych, na produkcję których świadomie zupełnie nie mamy wpływu.

Zatem miłość, jak i wiele innych naszych emocji, to po prostu efekt licznych procesów biochemicznych. Zmiany chemiczne w mózgu zachodzą pod wpływem aktywnych neuroprzekaźników. W pierwszym etapie miłości, zwanym zakochaniem, następuje wyrzut hormonów szczęścia do mózgu (m.in. dopaminy). Dopamina działa pobudzająco na organizm, to ważny neuroprzekaźnik powodujący odczuwanie stanu euforii. Niemniej to, że jesteśmy pod wpływem dopaminy, nie dowodzi zawsze, że jesteśmy zakochani.

Podobnie np. zażycie kokainy stymuluje wydzielanie tej substancji. Niemniej dopamina spokrewniona z amfetaminą, wydzielana naturalnie w istocie czarnej mózgu, pobudzając organizm, czyni nas jednocześnie bezkrytycznymi wobec wybranka. Dopamina powstaje z dihydroksyfenyloalaniny (DOPA), jest jednocześnie prekursorem w syntezie noradrenaliny i adrenaliny.

Aby czuć się zakochanym, potrzebujemy jeszcze czegoś więcej, dosłownie chemicznego zauroczenia. Kluczowe okazują się tutaj substancje, które działają na mózg jak narkotyk. Związkiem określanym jako „chemiczna formuła miłości" jest fenyloetyloamina (w skrócie PEA, od 2-fenyloetyloamina) – wywołuje stan bliski euforii, jej działanie powoduje miłosny stan uniesienia, jednak mimo tego, że wprowadza nas w narkotyczny trans, nie jest szkodliwa dla organizmu. Fenyloetyloamina jest obecna też w czekoladzie (choć z tego źródła jest szybko rozkładana w organizmie), a jej poziom w organizmie skutecznie podnoszą również lekkie ćwiczenia fizyczne. PEA i dopamina pobudzają ośrodek przyjemności w mózgu, a zakochani wydzielają ogromne ilości tych hormonów (nawet 14 tysięcy razy więcej), w tak pobudzanym mózgu powstają nawet nowe połączenia między neuronami. PEA syntetyzowana jest z fenyloalaniny (aminokwasu egzogennego), której sporymi źródłami są soja, soczewica, łosoś, parmezan, arachidy, dynia, pistacje i migdały. PEA stymuluje mózg do produkcji innych neuroprzekaźników – DOPA i serotoniny. Przy tym PEA hamuje enzymy rozkładające dopaminę i stymuluje wydzielanie acetylocholiny.

Noradrenalina – to jeszcze jeden element kompozycji budujący recepturę miłości. Jej działanie zbliżone jest do adrenaliny – podwyższa ciśnienie krwi i poziom glukozy we krwi. To hormon dopingu-

jący. Pod jej wpływem jesteśmy skłonni przenosić góry, czujemy się jak na ciągłym dopingu, wpadamy w stan euforii.

Narodziny miłości są dla organizmu prawdziwym szokiem, bywa, że jej kres również. Jednak ci, którym udaje się po okresie zakochania zbudować trwały związek mówią o pewnej formie uzależnienia od drugiej osoby. Wspomagają nas w tym endorfiny, których działanie zbliżone jest do morfiny. Od lat 70-tych XX wieku znane są przysadkowe Beta-endorfiny. To hormony tłumiące też odczuwanie bólu, a ich ilość wzrasta podczas fizycznego aktu miłosnego. Dzięki ich uwalnianiu czujemy się bezpiecznie, pełni spokoju i faktycznie w pewnym stopniu uzależniamy się od drugiej osoby, w tym przypadku zawsze z nadzieją, że tylko z korzyścią dla obojga zainteresowanych. Również PEA uwalnia Beta-endorfiny (opioidowe małe peptydy). Opioidy endogenne są kluczowe dla tworzenia więzi, przywiązania do partnerów.

Kolejne składniki receptury miłości to dwa hormony – oksytocyna i wazopresyna. Zbudowane z 9 aminokwasów (z czego 7 identycznych) małe peptydy. Oksytocyna pojawia się podczas seksu i karmienia piersią. Wzmaga odczuwanie czułości. Wazopresyna to hormon monogamii, gdy występuje w wysokim stężeniu we krwi. Zaś jej niski poziom przynosić może kłopoty z utrzymaniem związku. Po kilku latach związku następuje czas oksytocyny – to czas czułości. Ewolucyjnie oksytocyna zapewniała jednocześnie potomstwu pary większe szanse na przeżycie, czyli sukces reprodukcyjny zapewniający rozpowszechnienie własnych genów w populacji. Można zatem podsumować, że o ile PEA to początek miłości, o tyle oksytocyna i wazopresyna warunkują jej trwanie. Co ciekawe, badania technikami neuroobrazowania (rezonans magnetyczny) wykazały, że po podaniu ochotnikom oksytocyny następowała aktywacja tzw. układu nagrody w ich mózgu. Oksytocyna uznawana jest za hormon leżący u podstaw uspołecznienia (ewolucyjnie – życie w grupie przynosi korzyści).

Formuła miłości sprawdza się, ale tylko przy założeniu, że czysta chemia to dobry początek (choć dla niektórych też wymówka końca miłości), a potem jest już tylko „prawdziwa miłość". Niemniej ciekawe w tym aspekcie są obserwacje dotyczące pewnych zwierząt, a są to norniki (podobne do myszy z krótkimi ogonami). Norniki preriowe to gatunek, którego osobniki tworzą pary na całe życie (a samce bronią samic). Norniki górskie nie dość, że nie tworzą par to jeszcze samice krócej opiekują się swoim potomstwem. Z badań przeprowadzonych w latach 70-tych XX wieku przez Sue Carter wynika, że norniki preriowe cechujące się trwałą więzią z partnerem mają większą gęstość receptorów dla oksytocyny i wazopresyny w dwóch strukturach podkorowych (gałce bladej brzusznej i jądrze półleżącym – oba należą do tzw. układu nagrody mózgu). Jeśli zablokuje się te receptory, to norniki nie tworzą więzi oraz nie wykazują zachowań społecznych.

Jednak mimo tego, że zdajemy sobie sprawę z chemicznych podstaw stanu miłości i przywiązania partnerów nadal w przypadku człowieka miłość pozostaje pełna tajemnicy, magii i piękna. Miłość to impuls, dzięki któremu powstaje poezja, muzyka, piosenki, sztuka wysoka i masowa. Zatem Miłość zaczyna się, gdy trafiamy na właśnie tę osobę i zadziała chemia, ale dalej jest już tak wiele emocji i uczuciowych zależności, że pozostawmy to najpiękniejsze uczucie w sferze naszego serca, duszy, wyobrażeń i tajemnicy tylko tych dwojga.

Dr Marek Jurgowiak — Katedra Biochemii Klinicznej CM UMK, Rada Programowa TFNiS oraz CN Młyn Wiedzy w Toruniu.

Magdalena Stefańska

Style jedzenia i ich wpływ na zdrowie

Dieta, czyli sposób odżywiania, jest stałym elementem naszego życia. To co jemy wpływa na nasze zdrowie, samopoczucie, a także na sylwetkę. Codziennie dokonujemy wyborów żywieniowych – co kupimy w sklepie, kiedy spożyjemy posiłek, czy przygotujemy obiad samodzielnie, a może zamówimy z restauracji. Każdy z nas ma inny stosunek do jedzenia, część osób nie ma problemu z tym, żeby zjeść kanapkę w drodze do pracy, inni patrzą na posiłek jako formę celebracji i zwracają uwagę na najmniejszy szczegół.

To zróżnicowane podejście do spożywania posiłków związane jest z prezentowaniem określonych stylów jedzenia, mających wpływ na nasze zdrowie.

Na wstępie warto zaznaczyć, że jedzenie jest rodzajem zachowania, które pojawia się w odpowiedzi na bodźce wewnętrzne oraz zewnętrzne. Podstawowym podziałem zachowań żywieniowych jest jedzenie **refleksyjne** i **bezrefleksyjne**. Pierwszy z nich charakteryzuje się świadomym komponowaniem posiłków, zwracaniem uwagi na dobór składników, wartość odżywczą pożywienia, a także na estetykę dania i jego smak. Zachowanie bezrefleksyjne polega na odżywianiu się w oparciu o przyzwyczajenia i nawyki. Jedzenie odbywa się w sposób zautomatyzowany, często z lekceważeniem odczucia głodu i sytości; przykładami mogą być codzienne zjadanie czekoladki do kawy lub niepohamowana chęć zjedzenia kilku kawałków ciasta. Bezrefleksyjne zacho-

wanie żywieniowe jest także powiązane z impulsem, co można zaobserwować podczas robienia zakupów, kiedy jest się głodnym – takie zakupy często pod wpływem impulsu właśnie kończą się kupieniem dodatkowych przekąsek, będących źródłem cukrów prostych, które szybko dostarczą nam energię.

Punkt czy przedział?

Wyróżniamy dwa główne style jedzenia: punktowy oraz przedziałowy. **Punktowy styl jedzenia** dotyczy osób, które kierują się konkretnymi regułami dotyczącymi jakości pożywienia oraz pór posiłków. Skrupulatnie planują, co i kiedy dokładnie zjedzą, trzymają się kilku ulubionych potraw i nie lubią eksperymentować w kuchni oraz próbować nowych rzeczy. Kiedy w lodówce zabraknie potrzebnego produktu, prędzej pominą cały posiłek niż zamienią składnik na coś innego. Ten styl jedzenia ma swoje plusy i minusy. Do plusów można zaliczyć świadomość żywieniową oraz kontrolę w dostarczeniu odpowiedniej ilości energii i składników odżywczych. W trakcie redukcji masy ciała takim osobom łatwiej jest pozostać w deficycie energetycznym, ponieważ nie pozwalają sobie na odstępstwa od ustalonej diety. Natomiast zagrożeniem wynikającym z nadmiernej koncentracji na spożywanej żywności jest ryzyko rozwoju zaburzeń odżywienia, szczególnie ortoreksji (orthorexia nervosa), czyli obsesji na punkcie spożywania zdrowego jedzenia.

Przeciwieństwem stylu punktowego jest **styl przedziałowy**. Osoby odżywiające się w ten sposób charakteryzuje brak określonych pór posiłków, sięganie po produkty, na które akurat mają ochotę lub które są pod ręką. Potrafią zjeść danie obiadowe na śniadanie, jeśli nic innego nie ma w lodówce, spożyć posiłek w biegu lub, w wyniku niezaplanowania, zupełnie go pominąć. Takie osoby są również bardziej podatne na uleganie zachciankom żywieniowym, co skutkuje dodatnim bilansem energetycznym, przez co trudniej im utrzymać prawidłową masę ciała. Natomiast łatwiej odnajdują się w towarzystwie w trakcie wyjścia do restauracji, gdzie osoby, które odżywiają się punktowo mogą czuć dyskomfort. Oczywiście, najlepszym rozwiązaniem jest złoty środek, czyli podejście zdroworozsądkowe. Zarówno zbyt duże restrykcje żywieniowe oraz zbyt lekceważące podejście do odżywiania nie wpłyną korzystnie na zdrowie fizyczne i psychiczne.

Cztery wymiary stylu przedziałowego

Przedziałowy styl jedzenia dzieli się dodatkowo na cztery wymiary, związane z rodzajem motywacji, które sprawiają, że sięgamy po jedzenie. Pierwszą jest **motywacja zmysłowa** oraz związana z uczuciem sytości. Zmysłowa motywacja do spożywania pokarmów dotyczy tzw. smakoszy. Dla takich osób jedzenie wiąże się z doświadczaniem doznań smakowych oraz estetycznych. Będąc na zakupach, skupiają się na produktach z wyższej półki cenowej, o bogatym smaku i zachęcającym wyglądzie. Dla smakoszy spożywanie posiłków ma dawać uczucie satysfakcji i przyjemności. Odwrotnie postępują osoby, dla których motywacją jest uczucie sytości. W tego rodzaju motywacji sięgnięcie po pokarm ma na celu jedynie zaspokojenie głodu. Przedstawiciele tej grupy zazwyczaj wybierają żywność łatwo dostępną oraz atrakcyjną cenowo, jednak nie skupiają się na jakości i wartości odżywczej pożywienia.

Drugi wymiar dotyczy **motywacji zewnętrznej** vs wewnętrznej. Jedzenie uwarunkowane motywacją zewnętrzną odbywa się w odpowiedzi na dostępność pożywienia, niezależnie od uczucia głodu, nawet bezpośrednio po zjedzeniu posiłku. Kiedy jedzenie jest dostępne na wyciągnięcie ręki, takie osoby nie mogą się powstrzymać. Sięgają po jedzenie w sposób zautomatyzowany, co przy obecnym dostępie do pożywienia może okazać się zgubne. Takie bezrefleksyjne podjadanie sprzyja brakowi kontroli nad ilością spożywanej żywności, co skutkuje nadmierną masą ciała. Dla takich osób dobrym rozwiązaniem jest nietrzymanie w domu słodyczy lub schowanie ich w szafce, aby nie kusiły. Warto również przygotować niskokaloryczne przekąski, np. marchewki pokrojone w słupki i trzymanie ich w lodówce na wysokości wzroku. Przeciwieństwem tego sposobu odżywiania jest jedzenie wewnętrzne, gdzie sygnałem sięgnięcia po jedzenie jest uczucie głodu, a zakończenie posiłku jest związane z uczuciem sytości.

Kolejny wymiar dotyczy **rytmiczności jedzenia**, czyli regularności spożywanych posiłków. Osoby charakteryzujące się rytmicznym jedzeniem, konsumują posiłki o podobnej wielkości i w równych odstępach czasu, bez podjadania pomiędzy nimi. Częstym mitem w dietetyce jest narzucanie jedzenia 5 posiłków w ciągu dnia. Tak naprawdę ilość posiłków jest zależna od stylu życia, pracy, upodobań żywieniowych oraz występowania chorób dietozależnych. Spożywanie 3–4 posiłków wiąże się z ich większą objętością, większym urozmaiceniem i często lepszym smakiem w porównaniu do pięciu niskokalorycznych i małych porcji w ciągu dnia. Zachowanie rytmiczności jedzenia zapobiega napadom głodu i podjadaniu, przez co łatwiej jest utrzymać prawidłową masę ciała. Regularne spożywanie posiłków sprzyja zwiększonej wrażliwości tkanek na insulinę, więc działa protekcyjnie na zaburzenia gospodarki cukrowej, a także lipidowej w organizmie.

Ostatnim wymiarem jest **jedzenie emocjonalne**. W tym stylu jedzenia łaknienie jest regulowane przez pojawiające się emocje, np. zaciśnięty żołądek i brak apetytu pod wpływem stresu lub odwrotnie – zajadanie emocji. Sięganie po jedzenie może być związane także z pozytywnymi emocjami, np. jako forma nagrody. Jest to często powiązane z nawykami wykształconymi w dzieciństwie. Jeśli dziecko czujące smutek dostaje na pocieszenie słodką przekąskę, bardzo prawdopodobne, że właśnie w ten sposób będzie rozładowywało emocje w dorosłym życiu. Niestety, zazwyczaj nie kończy się na jednej przekąsce i co więcej – ostatecznie wcale nie wpływa na odczucie ulgi, natomiast sprzyja pojawieniu się wyrzutów sumienia. Jedzenie emocjonalne dodatkowo wiąże się z nieregularnym spożywaniem posiłków, ponieważ to nie pora dnia lub odczuwanie głodu są wyzwalaczem sięgania po jedzenie, a emocje odczuwane w różnych sytuacjach. Takie zachowanie zwiększa ryzyko przejadania, wzrostu masy ciała oraz wystąpienia chorób metabolicznych. Jest to najbardziej niebezpieczne u osób chorujących na aleksytymię, czyli trudność w rozpoznawaniu odczuwanych emocji. Nie są w stanie nazwać pojawiających się emocji oraz określić ich źródła, więc ulegają podjadaniu, aby zmniejszyć dyskomfort. Czy rzeczywiście podjadanie w celu rozładowania napięcia jest rozwiązaniem? Zazwyczaj przynosi to więcej szkody niż pożytku. Najważniejsze jest znalezienie źródła odczuwanych emocji oraz poszukanie innych sposobów radzenia sobie z nimi, takich jak choćby rozmowa z bliską osobą lub aktywność fizyczna.

Warto pamiętać, że style jedzenia nie określają formy odżywiania w sposób binarny. Każdy odżywia się zgodnie z własnym stylem, który mieści się na skali między punktowością a przedziałowością. Wiedząc, do którego stylu jest nam bliżej, możemy pracować nad zmianą niewłaściwych zachowań żywieniowych, poprawiając swój sposób odżywiania oraz wpływając na zdrowie fizyczne i psychiczne.

Mgr Magdalena Stefańska — absolwentka dietetyki Collegium Medicum UMK, dietetyk prowadzący poradnię oraz bloga „Przewaga zdrowia".

Patrycja Maliszewska

Związki endokrynnie czynne w naszym otoczeniu

Procesy odbywające się w naszych ciałach są koordynowane przez miriady różnych związków, gdzie prominentną rolę odgrywają hormony, wytwarzane przez tkanki lub gruczoły dokrewne, takie jak trzustka, tarczyca czy przysadka.

Naturalnie występujące w naszym ciele związki endokrynne łączą się z odpowiednimi dla siebie receptorami, wywołując fizjologiczne reakcje, między innymi odczuwanie emocji, trawienie czy też sen. Jednakże wraz z rozwojem wielu gałęzi przemysłu i poprawą ogólnego dobrobytu, spożywamy i używamy produktów, które niestety mogą działać niekorzystnie na nasza gospodarkę hormonalną. Mowa tu o związkach endokrynnie czynnych.

Związki endokrynnie czynne (ang. *Endocrine Disrupting Chemicals*, EDC) to molekuły o homologicznej budowie chemicznej do naturalnych hormonów. Cecha ta sprawia, że mogą one zaburzać prawidłowe, fizjologiczne funkcjonowanie układu endokrynnego i tym samym całego organizmu. Za sprawą wysokiego chemicznego podobieństwa, konkurują one z endogennymi hormonami w naszych organizmach, łącząc się z ich receptorami i w efekcie zakłócając metabolizm wielu hormonów (często wchodzą w interakcje z tak zwanymi hormonami płciowymi – estrogenami oraz androgenami), wpływając na proces ich biosyntezy, percepcji czy też usuwania. To prowadzi do dalszych konsekwencji w postaci zwiększonego ryzyka wystąpienia chorób cywilizacyjnych – nadwagi i otyłości, cukrzycy typu drugiego, chorób układu sercowo-naczyniowego, zaburzeń płodności u obu płci, czy też nowotworów hormonozależnych (rak piersi, rak prostaty, rak jąder). Substancje te stanowią szczególne niebezpieczeństwo dla dzieci i kobiet w ciąży, gdyż EDC zwiększają ryzyko pojawienia się wad rozwojowych płodów oraz dziedzicznych, negatywnych zmian epigenetycznych w kolejnych pokoleniach.

Konsekwencje przyjmowania EDC

Dotychczas poznano ponad 1000 związków o działaniu endokrynnie czynnym, przy czym lista ta niepokojąco szybko rośnie. Jednym z głównych źródeł EDC są wszelkie syntetyczne tworzywa polimerowe i półprodukty. W procesie produkcji są one wzbogacane w uelastyczniające plastyfikatory, na przykład pierścieniowe związki takie jak: bisfenol A (BPA) i jego pochodne, ftalany (PAE), dioksyny (PCDD) czy też środki zmniejszające palność (BFR). Przypominają one budową steroidowe hormony płciowe, zwiększając ryzyko wystąpienia schorzeń gruczołów piersiowych i tkanki nerwowej. Naukowcy alarmują, że zwłaszcza bisfenol A (BPA) może wpływać na jakość (fenotyp) i żywotność gamet – komórek jajowych i plemników, tym samym przyczyniając się do problemu bezpłodności. EDC, tak jak naturalne hormony, są aktywne już przy bardzo niskich stężeniach, wchodzą w interakcje ze swoistymi dla hormonów receptorami, regulatorami, w pewien sposób oszukując nasz organizm. Przykładowo te egzogenne substancje mogą zaburzać zdolność insuliny – hormonu trzustkowego, do interakcji z receptorem insulinowym. To z kolei powoduje zaburzenia w percepcji poziomu glukozy we krwi, przekładając się dalej cukrzycę, choroby układu krążenia czy też otyłość. Czynniki te następnie powodują większe narażenia organizmu na inne, poważniejsze schorzenia/choroby, np. zawał czy miażdżycę.

Źródła zanieczyszczeń

Wymienione substancje są wszechobecne, można je znaleźć między innymi w: pudełkach plastikowych, puszkach, butelkach z napojami, kosmetykach, urządzeniach elektronicznych, zabawkach, meblach, farbach, przyborach kuchennych, środkach ochrony roślin i pestycydach, paragonach, kurzu.

EDC dostają się do organizmu poprzez skórę, drogi oddechowe, doustnie, czy też biernie – poprzez łożysko. Związki endokrynnie czynne nie tylko są szkodliwe dla nas, ale też dla środowiska naturalnego, zanieczyszczając ziemię i wodę, w konsekwencji działając destabilizująco na równowagę biosfery. Równocześnie w obecnych czasach nie możemy kompletnie pozbyć się tych substancji z naszego życia. Na szczęście stężenie EDC jest regulowane normami prawnymi. Europejski Urząd ds. Bezpieczeństwa Żywności (ang. *European Food Safety Authority*, EFSA) ustanowił, że tolerowana wartość dawki przyjętej przez organizm człowieka wynosi 50µg/kg masy ciała na dobę (TDI). Dla porównania, badania przeprowadzone w Korei przez Kima i współpracowników [2018r.] na próbie składającej się z 302 ochotników wykazały, że jedynie 14 uczestników odznaczyło się wyższym niż norma parametrem TDI. Co jednak ważne, wykazano również pozytywną korelację, miedzy tymi danymi a poziomem metabolitów we krwi badanych, takich jak cholesterol, hormony – estradiol, hormony tarczycy – tyroksyna i trójjodotyronina. To dodatkowo mogłoby potwierdzać negatywny wpływ EDC na gospodarkę hormonalną. Podobne badania przeprowadzono również w Polsce pośród mieszkańców Gdańska. Wykazano, że aż 100% próbek moczu pobranych od wolontariuszy i 100% próbek kurzu z mieszkań badanych gdańszczan zawiera związki endokrynnie czynne, takie jak bisfenol A i S, ftalany, czy też nonylfenol. Badanie to dało również wynik napawający nadzieją, otóż zmiany w stylu życia (częściowa rezygnacja z plastikowych opakowań, butelkowanych napojów, niepodgrzewanie dań w plastikowych pudełkach na wynos) przyczyniły się do istotnie statystycznego zmniejszenia stężeń EDC pośród uczestników badania.

Związki endokrynnie czynne to grupa cząsteczek stosowanych w tworzywach codziennego użytku. Ich korzystne cechy – szeroki dostęp, niskie koszty produkcji, bezbarwność, bezwonność, stabilność termiczna, chemiczna i fizyczna, zapewniają im zastosowanie w wielu gałęziach przemysłu. Warto jednak zauważyć, że tak jak każda moneta ma dwie strony, tak również poza przydatnymi właściwościami EDC, ich nadmierne stosowanie niesie za sobą poważne konsekwencje w postaci degradacji naturalnego środowiska oraz uszczerbku na zdrowiu ludzi i zwierząt. Niektórzy producenci dobrowolnie usunęli wymienione powyżej ftalany ze swoich produktów, jednakże zastępując je innymi plastyfikatorami o działaniu endokrynnie czynnym. Warto zatem przed zakupem zwrócić uwagę na jakość tworzywa i unikać tych produktów z symbolami: 3, V lub PVC, a jeśli to możliwe korzystać z opakowań szklanych lub biodegradowalnych, bez sztucznych dodatków (plastyfikatorów, sztucznych barwników). W miarę naszych możliwości, powinniśmy też sięgać po naturalne materiały (papier, tworzywa lniane czy konopne) i żywność niepakowaną lub ekologiczną, do której wytworzenia nie były używane pestycydy. Ten ostatni czynnik wpływa nie tylko na nasze zdrowie, ale też na dobrostan rolników, w tym głównie tych z mniej uprzywilejowanych regionów świata, jak Południowa Azja czy Afryka, którzy mają bezpośredni kontakt z chemicznymi środkami ochrony roślin, będącymi neurotoksynami, teratogenami i karcynogenami. Zatem nasze małe zmiany w stylu życia po zsumowaniu mogą się okazać drogocenne dla naszej planety i jej mieszkańców.

Bibliografia

Di Nisio A, Sabovic I, Valente U, et al. *Endocrine Disruption of Androgenic Activity by Perfluoroalkyl Substances: Clinical and Experimental Evidence. J Clin Endocrinol Metab.* 2019;104(4):1259–1271.

Kim HD, Choi SM, Lim DS, et al. *Risk assessment of endocrine disrupting phthalates and hormonal alterations in children and adolescents. J Toxicol Environ Health A.* 2018;81(21):1150–1164.

Sokal A, Jarmakiewicz-Czaja S, Tabarkiewicz J, Filip R. *Dietary Intake of Endocrine Disrupting Substances Presents in Environment and Their Impact on Thyroid Function. Nutrients.* 2021;13(3):867.

World Health Organization. WHO: Geneva. *Programme on Maternal and Child Health and Family Planning, D.o.F.H., Infertility: a tabulation of available data on prevalence of primary and secondary infertility*. WHO: Geneva. *Programme on Maternal and Child Health and Family Planning, Division of Family Health.*

https://www.endocrine.org/topics/edc/what-edcs-are/common-edcs

https://www.efsa.europa.eu/sites/default/files/event/documentset/130320a-p06.pdf

https://www.giwk.pl/files/41/9/3/wyniki_badan_pilotazowych_raport_e28093_miasto_na_detoksie.pdf

Patrycja Maliszewska — studentka biotechnologii UMK.

Myślenie muzyczne

Z prof. Maciejem Kołodziejskim z Instytutu Nauk Pedagogicznych UMK rozmawia dr Marcin Lutomierski

Fot. nadesłana

– W swojej pracy naukowej zajmuje się Pan m.in. wczesną edukacją muzyczną. Dlaczego jest ona tak ważna?

– Wczesna edukacja muzyczna, a myślę tutaj głównie o jej przedszkolnym i szkolnym wariancie, a zatem zinstytucjonalizowanym, pełni niezwykłą i zarazem podstawową rolę w umuzykalnieniu dziecka, ponieważ zaraz po domu rodzinnym i wielorakich wpływach środowiska rodzinnego, jest to ostatnia szansa na rozwinięcie zdolności muzycznych, albo mówiąc językiem prof. Edwina E. Gordona: szansa na powrót do poziomu urodzeniowego zdolności muzycznych – głównie tonalnych i rytmicznych, ponieważ harmoniczne rozwijają się dopiero około 9–10 roku życia. Dziecko jest w tym czasie w ważnym, dynamicznym okresie rozwojowym i każda forma ekspresji i twórczości muzycznej spełnia niebagatelną rolę w jego rozwoju.

– Od kiedy można uwrażliwiać dziecko na muzykę i jak to robić?

– Dziękuję za to pytanie. Istnieją badania, w których mówi się, że już w okresie prenatalnym można rozwijać muzycznie jeszcze nienarodzone dziecko. Ten trend akcentowany był już przy okazji tzw. efektu Mozarta, oczywiście nie należy bagatelizować też akcentów komercyjnych w tym bardzo znanym sprzed kilkudziesięciu lat badaniu. Niestety w pew-

nym sensie to prawda, a w innym to zwyczajny mit, coś w rodzaju urban legend (oczywiście częściowo żartuję). Samo bowiem słuchanie nie wystarczy, aby – co twierdzili badacze tzw. efektu Mozarta – temporalnie zwiększać możliwości intelektualne dzieci i młodzieży. Należy raczej czynnie muzykować i tutaj jestem zgodny z innymi badaczami, np. E. E. Gordonem i jego wzbogacaniem słownictwa muzycznego poprzez czynną improwizację czy Davidem J. Elliottem i muzyczną edukacją praksjalną. A wracając do głównego nurtu pytania: już po urodzeniu należy do dziecka śpiewać, improwizować wokalnie i rytmicznie, bawić się muzycznie z dzieckiem i poruszać się w rytm muzyki. Najlepiej jest, kiedy dziecko doświadcza ze strony rodzica różnorodności skal muzycznych i repertuaru muzycznego w bogatą rytmicznie muzykę. Mam tu na myśli takie skale muzyczne jak dorycka, frygijska czy lidyjska, zaczynając rzecz jasna od durowej i molowej harmonicznej.

– Czy jest jakiś rodzaj muzyki (a może utwory) szczególnie polecany dzieciom w wieku przedszkolnym?

– Każda wartościowa muzyka, nie tylko artystyczna (czy też jak niektórzy mówią poważna albo klasyczna) jest właściwa dla dziecka. Należy jednak pamiętać, że czym innym jest celowo dobrana muzyka do rozwijania i pobudzania ekspresji dziecięcej, a czym innym jest słuchanie muzyki, podczas której dziecko np. zajmuje się twórczością plastyczną, a muzyki słucha niejako przy okazji. Należy pamiętać o możliwościach percepcyjnych szczególnie małych dzieci, które często zaskakują nas swoją dojrzałością i odwagą w przekraczaniu granic muzycznych. Dziecko posiada w sobie naturalne możliwości rozwoju poprzez ekspresję muzyczną i ruchową i, jak mawiał Paul Torrance, co cytuję z pamięci: „dzieci nie należy nauczać twórczości, wystarczy im nie przeszkadzać".

– W jaki jeszcze sposób można wyzwalać potencjał muzyczny dziecka?

– Można powiedzieć, że to cała skomplikowana sieć postulatów. Przede wszystkim uznawanie i poszanowanie podmiotowości i indywidualności dziecka pozwala nam dorosłym na obserwowanie codzienności dziecięcej. Dziecko raczej nie udaje, nie potrafi utrzymywać swojego zainteresowania czymś bez prawdziwego zaangażowania i to jest nasza szansa, jako wnikliwych dorosłych, nauczycieli czy rodziców. Wykorzystujmy te sytuacje do tego, aby sprzyjać rozwojowi dziecka, zachęcajmy je do wyzwalania ekspresji twórczej, w tym muzycznej, nie krytykujmy, nie oceniajmy, ponieważ dziecko jest szczególnie czujnym obserwatorem i prawdziwym kompanem. Każde dobre słowo, zachęta, motywacja, sprzyja rozwojowi dziecka, a ono eksperymentuje i prowadzi swoje poważne badania, które my jako dorośli często bagatelizujemy. Dziecko uczy się też społecznie, do tego potrzebny mu jest ten mądry dorosły, który czasami jedynie ma być, towarzyszyć i to już jest to sprzyjające środowisko.

– A jak odniósłby się Pan do popularności disco polo wśród rodziców i nauczycieli pracujących z małymi dziećmi?

– Jest to niestety rezultat pewnych zaniedbań i zaniechań w zakresie szkolnej edukacji powszechnej, ale też indywidualnych preferencji i gustów muzycznych, z którymi, jak wiadomo, powszechnie trudno dyskutować. Nikt nikomu nie zabrania słuchania muzyki disco polo, ale jeśli chodzi o edukację muzyczną, to powinna się ona opierać na wartościowych wzorcach, stąd muzyka artystyczna, obok jazzowej, folkowej i nawet rockowej czy pop-rockowej winna znaleźć się w repertuarze przedszkola i szkoły. Należy też zwrócić uwagę na niezaprzeczalny fakt, że nie tylko warstwa muzyczna, która w nurcie disco polo jest zwyczajnie przewidywalna – przez swoją skąpą rytmiczność i zarazem emocjonalnie błahą melodyczność, ma tutaj znaczenie kolosalne. Piosenka w edukacji dziecka spełnia wiele funkcji – od wychowawczej, przez kształcącą do poznawczej, ale zawsze w tej optyce powinna mieć kontekst – zwłaszcza edukacyjny. Muzyce disco polo tego brakuje, z samej definicji jest ona mało skomplikowana, dlatego brak jej tych walorów, jakie uznajemy w pedagogice muzycznej za szczególnie wartościowe. Ponadto język, który dominuje w tekstach tych piosenek, stanowczo odbiega od przyjętych społecznie wzorców, tym samym traktuje pewne obszary życia powierzchownie, a przez to deprecjonuje istotne problemy, w tym problemy młodych ludzi.

– Dlaczego improwizacja jest ważna w rozwoju muzycznym dziecka?

– Improwizacja, wbrew wszelkim potocznym teoriom, nie bierze się z niczego. Jeśli dziecko nie jest gotowe do podejmowania ekspresji improwi-

zacyjnej, może nie podołać tej trudnej dyscyplinie muzycznej. Tę gotowość do podejmowania improwizacji należy budować już od najwcześniejszych lat, śpiewając z dzieckiem i do dziecka, śpiewnie rytmizując z dzieckiem i do dziecka oraz poruszając się w rytm muzyki, ponieważ ruch pełni tutaj niezwykle ważną rolę, szczególnie w konstytuowaniu się potencjału muzycznego, prawidłowej intonacji i dobrego słyszenia muzycznego. Ważne jest, że już niewielki potencjał motywów tonalnych i rytmicznych umożliwia dziecku rozpoczęcie improwizowania muzycznego – zwłaszcza rytmicznego i tonalnego. Dobry wzór do naśladowania, rodzic, a następnie nauczyciel pełni tutaj rolę facylitatora – i ponownie, zachęcanie, chwalenie, motywowanie sprzyja rozwijaniu umiejętności improwizacyjnych dzieci. W ten sposób zachodzi coś w rodzaju komunikowania się artystycznego, a także następuje rozwój mowy i myślenia muzycznego, czyli audiacji. Co ważne, niezwykle dynamicznie rozwijają się podstawowe zdolności muzycznego – rytmiczne, tonalne i co ważne harmoniczne.

– Czym jest myślenie muzyczne?

– No tak, utwierdził mnie Pan w przekonaniu, że poprzednie pytanie rozpoczęło nowy wątek, mianowicie myślenia muzycznego. Edwin E. Gordon definiuje myślenie muzyczne, porównując je do myślenia w języku. Proszę sobie wyobrazić, szczególnie Pan jako polonista, jak ogromną część naszego życia zajmuje nam myślenie w języku ojczystym i jednocześnie jak jest ono ważne w naszym rozwoju. Niestety znaczna część dzieci, dorastająca w niesprzyjających do muzycznego rozwoju środowiskach, jest pozbawiona tej możliwości wielostronnego rozwoju, z udziałem muzyki. W ten sposób możemy mieć dorosłego, chronologicznie 19-latka, a muzycznie 9-miesięczne dziecko i odwrotnie, dzięki sprzyjającym okolicznościom 8-latka chronologicznie, a muzycznie 56-latka, dojrzałego, audiującego, rozumiejącego muzykę, potrafiącego wartościować materiał muzyczny pochodzący z różnych źródeł, a co więcej człowieka, któremu muzykowanie sprawia ogromną radość i satysfakcję.

– Jest Pan nie tylko badaczem muzyki, lecz także wykształconym muzykiem, dlatego na zakończenie naszej rozmowy chciałbym zapytać: który instrument jest Panu najbliższy?

– Tak, jestem muzykiem i pedagogiem. Śmiejemy się często z kolegami, że w środowisku muzyków uważani jesteśmy bardziej za pedagogów, a w środowisku pedagogów zdecydowanie za muzyków (śmiech). Uzyskując wykształcenie muzyczne, stałem się częścią świata artystów, szczęśliwych ludzi, dla których muzyka może być błogosławieństwem i jednocześnie przekleństwem (przez to, że słyszymy więcej i inaczej, niż inni). Dzięki zaś wykształceniu pedagogicznemu zyskałem specyficzną wrażliwość na drugiego człowieka i sposobność (z)rozumienia świata indywidualności i zbiorowości, co pozwala mi lepiej projektować wszelkie działania związane z kształceniem i wychowaniem przyszłych nauczycieli.

A tak odpowiadając wprost na Pana pytanie: to jestem z wykształcenia klarnecistą, ale na klarnecie gram już więcej audiując (w głowie) niż w rzeczywistości. Aktualnie komponuję też piosenki dla dzieci, korzystam wówczas z pianina, na którym grywam codziennie, z wielką pasją i zaangażowaniem.

– Dziękuję za rozmowę.

Jarosław Dumanowski

„Zbiór dla kuchmistrza" z 1757 r. *Summa* staropolskiej wiedzy kulinarnej

Co to jest „kamudelate", jak się przyrządzało placki nawarskie, dlaczego dziś już nie tylko nie „omaślniamy" i nie „osmalczamy" naszych potraw, ale nawet ich nie „omaszczamy"? Dlaczego „karmia" sobotnia była inna niż piątkowa, jak się przyrządzało kisielicę na Wielki Czwartek i jak smakowały grzyby z powidłami albo cebularz z drożdżowego ciasta grochowego? Jak można było zjeść „moździerz"?

Dziwaczne? Chyba nie tak bardzo jak sos wiewiórkowy, kwadratowy kołacz albo „lampredowana jucha". Odpowiedzi na te ważne pytania możemy znaleźć w publikowanej właśnie książce kucharskiej z XVIII w., która ukaże się lipcu.

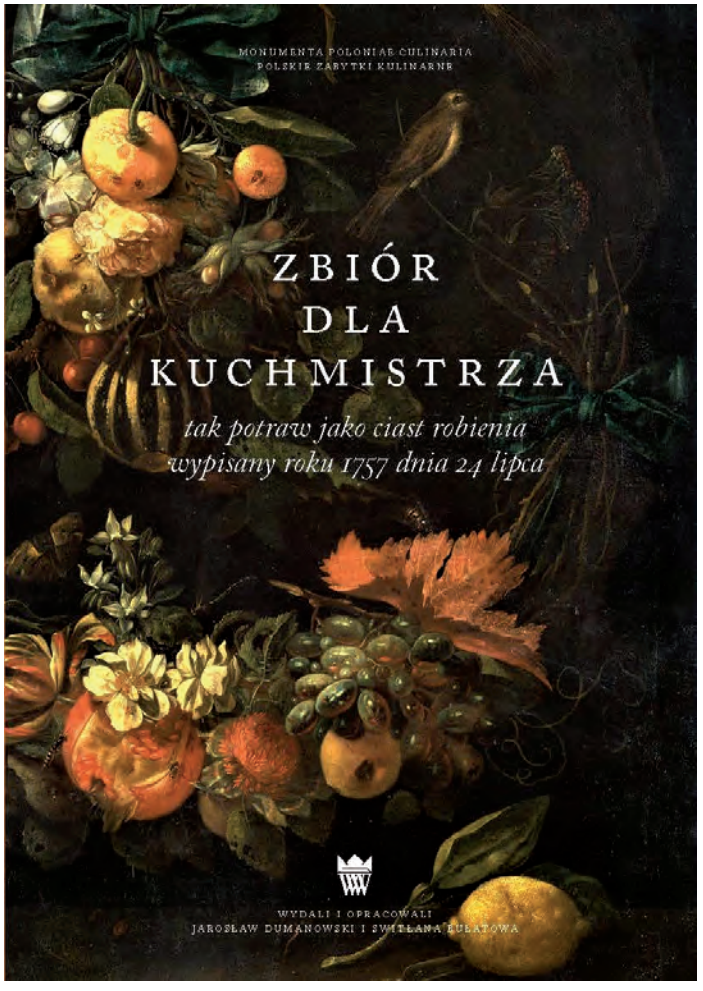

Historia to zapomnienie, gdybyśmy wszystko pamiętali, to historia nie byłaby potrzebna. W dawnych opowieściach o polityce, wodzach i mędrcach zbrakło miejsca dla historii kuchni i jedzenia: czegoś przyziemnego, kobiecego i trywialnego. Czegoś oczywistego dla ludzi żyjących setki lat temu, a niezrozumiałego dla mieszczańskich historyków z XIX w. i niedostrzegalnego dla adeptów Klio żywiących się w czasach PRL-u w stołówkach i barach mlecznych. Historia jedzenia i kuchni to nie tylko wyszukane potrawy, ale dzieje wiedzy, smaku i estetyki, historia religii, hierarchii i globalizacji. Opowieść o czymś, co w czasach ciągłego głodu było dla większości ludzi najważniejsze, dawało życie, władzę i szczęście.

W 2009 r. ukazała się drukiem nasza edycja i opracowanie „*Compendium ferculorum* albo zebrania potraw" z 1682 r., najstarszej zachowanej polskiej książki kucharskiej. Od tego czasu w Centrum Dziedzictwa Kulinarnego na Wydziale Nauk Historycznych opracowujemy kolejne tomy serii „Monumenta Poloniae Culinaria", w ramach której opublikowaliśmy już siedem tomów najstarszych polskich tekstów kulinarnych (książek kucharskich, traktatów dietetycznych i dawnych dworskich menu). Wydawcą naszej serii jest Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, w ramach którego powstała nawet odrębna jednostka muzeum, zajmująca się popularyzacją kuchni historycznej.

Niedługo ukaże się kolejny, ósmy już tom staropolskich pism kulinarnych zatytułowany „Zbiór dla kuchmistrza tak potraw jako ciast robienia wypisany roku 1757 dnia 24 lipca". Spisana w połowie XVIII w. książka kucharska to w rzeczywistości cała kolekcja dawnych tekstów kulinarnych, medycznych i porad gospodarskich. Rękopis „Zbioru dla kuchmistrza" znajduje się w Bibliotece Narodowej Ukrainy

w Kijowie. Jego opracowanie i opublikowanie jest wspólnym przedsięwzięciem Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, Biblioteki Narodowej Ukrainy oraz Centrum Dziedzictwa Kulinarnego UMK. Opracowania tekstu dokonaliśmy razem z dr Switłaną Bułatową z Biblioteki Narodowej w Kijowie.

„Zbiór dla kuchmistrza" to tekst niezwykły, bo zawiera ponad 1000 różnych receptur kulinarnych oraz różnorodnych porad żywieniowych i gospodarskich. Co ciekawe, już w chwili powstania był to tekst historyczny: obejmuje przede wszystkim receptury z XVI i XVII w. Wiele z nich to teksty oryginalne albo kopie nieznanych nam do tej pory tekstów, charakteryzujących się niezwykłą wiedzą żywieniową, biologiczną i medyczną.

Właścicielką „Zbioru dla kuchmistrza" była pochodząca z Wołynia strażnikowa litewska Rozalia z Zahorowskich Pociejowa, a po niej odziedziczyła rękopis jej jedyna córka, wojewodzina kijowska Ludwika Honorata Lubomirska. Historia tej książki kucharskiej to historia kobiet, dla których ją spisano. Rozalia Pociejowa, a potem Ludwika Honorata Lubomirska były dziedziczkami starego ruskiego rodu Zahorowskich, w XVII w. długo jeszcze prawosławnego. Choć w kolejnych pokoleniach ich rodziny były już spolonizowane i katolickie, to tak Pociejowie, jak i Lubomirscy opiekowali się nie tylko cerkwiami greko-katolickimi, ale i prawosławnymi. W zamieszczonych w zbiorze recepturach pojawiają się nawiązania do tradycji polsko-ukraińskiego pogranicza oraz wprost do Ukrainy.

Jedna z niedatowanych receptur opisuje „Kruth inakszy, co go na pole biorą na Ukrainie", czyli ziołowy, aromatyzowany przyprawami napój z wina (w tym przypadku słodkiej małmazji). Z kolei w opisie przygotowania leczniczej „wódki" (wyciągu) z rosiczki, roślinę tę opisano, wskazując na jej czeską i ruską nazwę „słonecznik", co sugeruje przekonanie o zrozumiałości i użyteczności nazwy uważanej zapewne za miejscową. W przepisie na „Wódkę serdeczną" wśród prawie stu (!) koniecznych do jej przygotowania składników wymieniono także „wasylek cerkiewny", ruskie (ukraińskie) określenie bazylii. Skojarzenie z cerkwią nie jest przypadkowe, odnosi się do rytuału święcenia ziół w cerkwi na święto Pierwszego Spasa (14 sierpnia), tradycji zachowanej na Ukrainie do dzisiaj.

Wśród zidentyfikowanych przez nas autorów przepisów był m.in. wojewoda czernihowski Stanisław Kazimierz Bieniewski, sąsiad i powinowaty Zahorowskich, dziedzic Targowicy (na Wołyniu).

Historia Bieniewskiego, którego receptury opublikowaliśmy już wcześniej, pokazuje nam jak historia kulinarna przenika się z „wielką" historią wojen i polityki, którą dzisiaj postrzegamy często jako coś powierzchownego i przypadkowego. Bieniewski był sekretarzem królewskim, znanym politykiem i dyplomatą. Jako orędownik współpracy polsko-ukraińskiej był jednym z negocjatorów ugody hadziackiej z 1658 r., a później prowadził negocjacje pokojowe z Moskwą. By się do nich przygotować, pracowicie spisywał receptury kulinarne, głównie na słodycze, ciasta i aromatyczne alkohole, inspirowane przede wszystkim wzorcami włoskimi. Jak pokazują jego rachunki z czasu rokowań, największe kwoty przeznaczył właśnie na luksusowe jedzenie i wytworne trunki, a swoją wiedzą po latach podzielił się ze swoimi sąsiadami Zahorowskimi.

Wśród autorów receptur spisanych dla Rozalii Pociejowej byli też różni znani lekarze, zwłaszcza pochodzący z Lublina, w którym Zahorowscy i Pociejowie chętnie rezydowali podczas obrad Trybunału. W 1724 r. znany lubelski lekarz Jerzy Fonklofen dedykował swoje dzieło poświęcone leczeniu chorób kobiecych i dziecięcych matce Rozalii, kasztelanowej wołyńskiej Jadwidze Zahorowskiej, która ze względu na choroby swoje i córek interesowała się medycyną i utrzymywała kontakty z lekarzami z całej Polski. Siostrą Rozalii Zahorowskiej i opiekunką jej córki Ludwiki Honoraty była ordynatowa Antonina Zamoyska, która zasłynęła jako założycielka zgromadzenia kanoniczek warszawskich oraz protektorka uczonych.

Najcenniejszą częścią tej kolekcji jest bez wątpienia kopia receptur z tzw. „Kuchmistrzostwa", zaginionej książki kucharskiej opublikowanej w Krakowie ok. 1540 r. (o odnalezieniu kopii tego tekstu pisaliśmy już w „Głosie" wcześniej).

Wśród zamieszczonych w „Zbiorze" przepisów znalazły się także receptury kuchmistrzowej koronnej z 1633 r. oraz anonimowe przepisy na słodycze i wódki z 1661 r. Szczególną wartość mają tu przepisy z 1633 r. Nie jesteśmy do końca pewni, która z pań kuchmistrzowych była ich autorką, gdyż właśnie w 1633 r. zmarł kuchmistrz koronny, starosta bydgoski i nadzorca mennicy w Bydgoszczy Piotr Żeroński, a jego miejsce zajął Stanisław Jasnogórski (Lichtenfeld). Najprawdopodobniej ich autorką była jednak żona Żerońskiego, Katarzyna Petronela z Parzniewskich, związana w młodości z Brodnicą i tamtejszym dworem królewny Anny Wazówny. Gdyby jednak autorką tych receptur była żona kuchmistrza Jasnogórskiego, to byłaby nią Zuzanna z Kochanowskich, bratanica wielkiego poety Jana.

Przepisy te opisują potrawy, a zwłaszcza ciasta i wypieki znane nam z menu Zygmunta III Wazy w czasach, gdy jego kuchmistrzem był Piotr Żeroński, który rzeczywiście nadzorował kuchnię królewską i co tydzień skrupulatnie kontrolował zamówienia i wydatki kucharzy. Wiele z tych receptur jest przy tym bardzo (jak na swój czas) nowoczesnych i światowych. Uwagę, oprócz, wspominanego już „kamudelate", deseru z zagęszczonego mleka, przypominającego nieco dzisiejszy kajmak, ale opartego na wzorach włoskich z XVI i XVII w., przyciąga zwłaszcza kilka opisów ciasta francuskiego (listkowego), wielkiej nowości i symbolu klasycznej kuchni francuskiej. Tego typu wypieki był niezwykle trudne technicznie, zakładały zużycie dużej ilości masła, docenionego w kuchni elitarnej dopiero w połowie XVII w., a ich spopularyzowanie wiązało się z osłabieniem surowych zakazów postnych. Receptury na ciasto francuskie pani kuchmistrzowej są według naszej nomenklatury tylko ciastem półfrancuskim, ale w pierwszej połowie XVII w. była to niezwykła innowacja. Nawiązania do Francji i do Nawarry (kolebki Burbonów), czerpanie z wzorców włoskich wydają się wskazywać na wpływ kogoś bywałego w świecie, a kimś takim był właśnie Żeroński, człowiek wykształcony, długoletni pracownik kancelarii koronnej, znany dyplomata i kolekcjoner dzieł sztuki.

W ten sposób z Kijowa, w którym przechowywany jest rękopis, przez warszawski dwór Zygmunta III, trafiliśmy do Brodnicy, gdzie u boku siostry króla dzieciństwo i młodość spędziła przypuszczalna autorka tej części „Zbioru". Być może to zamieszkaniu w pobliżu Torunia pani kuchmistrzowa zawdzięczała upodobanie do różnych rodzajów pierników. Zawdzięczamy jej w każdy razie jedne z najstarszych polskich opisów ich przygotowywania. Wśród zamieszczonych przez nią receptur znalazły się np. pierniczki „musztacelowe" aromatyzowane „muszkiem", czyli piżmem, „pierniczki korzenne" (zamieszczamy przepis) i „pierniczki insze" z migdałami. Pani kuchmistrzowej zawdzięczamy także najstar-

szy polski opis przygotowywania „kołacza kijowego" (sękacza) oraz całą serię receptur na kołacze i „obartuchy", prototypy znanych nam bab wielkanocnych (jej mąż zlecał królewskim „pasztetnikom" wypiekanie ich na Wielkanoc).

W przepisach z 1633 r. odnajdujemy także popularną później recepturę na postny barszcz, to jest polewkę z barszczu zwyczajnego (rośliny selerowatej). Barszcz był postny, to znaczy musiał być przygotowany nie tylko bez mięsa, ale i bez śmietany oraz jaj. W przepisie tym widzimy, jak dawna wiedza żywieniowa, użycie zapomnianych dziś roślin i produktów, respektowanie nakazów religijnych i styl barokowej kuchni iluzyjnej razem łączą się w jeden wytwór, kreację i nieomalże dzieło sztuki (kulinarnej). „Jaja" wyrabiano z siekanych ryb, przy czym część siekaniny zabarwiano starannie szafranem, by uformować żółtka. Roztarte migdały zastępowały śmietanę, a całość doprawiano pieprzem, cynamonem i szafranem, tworząc wyraźny kontrast smakowy z rodzynkami.

Barokowy był też „ser" pani kuchmistrzowej przygotowywany z masy migdałowej i „mleka" makowego (emulsji z roztartego maku, często białego). Starannie formowano przy tym „skórkę" sera i zabarwiano jego wnętrze na żółto, by oszukać nie tylko wzrok, ale i smak. Takie kulinarne iluzje to przykład świadomego manipulowania zmysłami, barokowej estetyki i wreszcie kreatywnego obchodzenia zasad postu, który formalnie respektowany, mógł być jednak bardziej przyjemny, a przede wszystkim kosztowny niż dieta przewidziana na dni mięsne. Przy tak pomysłowych kreacjach postny groch ze „słoniną" z podsmażanych w oliwie kostek białego chleba był już tylko skromnym dodatkiem.

Zamieszczone w innych fragmentach rękopisu receptury na nadziewanego cietrzewia, dropia albo mięso z żubra czy postną „wyzinę" (bieługę, wielką rybę jesiotrowatą) mówią o biologicznym zróżnicowaniu dawnego jedzenia, sięganiu po produkty, które całkowicie zginęły z naszego menu , a nawet całkowicie lub prawie całkowicie zniknęły z naszych pól, lasów i rzek.

Czasami niektóre z tych produktów wracają do naszego menu, a nawet stają się modne. Dotyczy to np. opisanych w kilku recepturach kasz i polewek z siemienia konopi, potrawy powszechnej w średniowieczu, która w kuchni elitarnej zaczęła zanikać już w XVI w. jako przykład strawy niewyszukanej i prostackiej, wyśmiewanej przez autorów poczytnych włoskich książek kucharskich, dla których konopie i olej konopny były symbolem północnego barbarzyństwa, przeciwstawianego szlachetnej oliwie. Dziś, na fali zainteresowania różnymi produktami z konopi, powracają i konopne polewki, konopne „mleko" oraz olej, zajmujące ważną funkcję w dzisiejszej kuchni wegańskiej.

W najstarszej części „Zbioru", zawierających przepisy z zaginionego „Kuchmistrzostwa" z ok. 1540 r., zwraca uwagę ograniczony jeszcze charakter zauroczenia produktami egzotycznymi. Jako przypraw używano np. kwiatu czarnego bzu albo pestek wiśni, dających głęboki, migdałowy posmak (na pestki trzeba jednak uważać, mogą zawierać kwas pruski).

Ponieważ zaraz zakwitnie czarny bez, to na zakończenie zamieszczamy także recepturę na bzową „kaszę" z żemełki, czyli bułki. Przy okazji zauważmy, jak bardzo zmienił się język przepisów kulinarnych....

Kasza z nowego bzu [ok. 1540 r.]

Przebierz go czyście, aby w nim żadnych robaków nie było, a daj do dojnice, trzy[1] dobrze jako ciasto, a weźmi czystej śmietany do ciasta garca abo do kociełka. Przystaw do ognia, aby wrzało, a rozmocz żemłę abo dwie, daj k temu bzu[2] do dojnice, aby się społem tarło i weźmi jajec dziesięć abo więcej co chcesz, rozbij czyście, a wlej do panwi i mieszaj dobrą chwilę, a gdy chce śmietana wzwierać, wlej tam do dojnice, a mieszaj, przydawszy masła czystego.

Piernic[z]ki korzenne [1633 r.]

Cukru kanaru funt 1, mąki pszennej funt 1, cynamonu na pół tłuczonego funtów 3, imbieru tłuczonego funtów 3, muszkatowego kwiatu, skórek pomarańczowych abo cytrynowych w paski pokrajawszy[3], na pierniczki przekładać, w cukier wlać kieliszek małmazyej, rozpuścić na wolnym ogniu, wsypać korzenia, [w] mąkę wlać i tak zagnieść pospołu z ciastem i robić pierniczki. Kopertę posmarować, na opłatki kłaść i sadzać na patelli w piec wolny po chlebie.

Prof. Jarosław Dumanowski — kierownik Centrum Dziedzictwa Kulinarnego na Wydziale Nauk Historycznych UMK.

[1] Tzn. „trzyj".
[2] W wersji polskiej: „bru".
[3] W tekście poprawiono końcówkę wyrazu nad „pokrajanych".

Sebastian Żurowski

W 75 języków dookoła świata

Georg Sauerwein

Języka rodzimego jest się nauczyć łatwo. Jego nabywanie dzieje się praktycznie bez wysiłku i nieświadomie. Uczenie się kolejnych języków obcych wymaga już sporego nakładu pracy, a czasem i czegoś, co nazwać można talentem.

Uczenie się języków obcych w zasadzie nie wymaga żadnej specjalistycznej wiedzy lingwistycznej. Gdyby wymagało, tylko językoznawcy byliby poliglotami, a przecież wiadomo, że tak nie jest. Z samego faktu bycia poliglotą nie wynika, że ktoś jest językoznawcą, choć kiedyś wyglądało to nieco inaczej. Jeszcze w XIX wieku badania językoznawcze były przede wszystkim badaniem historii języka i pochodzenia słów, a do nich znajomość wielu różnych języków jest niezbędna.

Jednym z największych poliglotów był Georg Sauerwein (1831–1904). Twierdzi się, że znał on w mowie 75 języków, a w piśmie 30. Nazywa się go czasem językoznawcą, choć w jego dorobku nie ma zbyt wielu pozycji, które można by uznać za językoznawcze – nawet zestawiony przez niego słownik angielsko-turecki miał na celu ułatwienie kontaktów handlowych z Imperium Osmańskim, a nie opis naukowy i konfrontację tych dwóch języków. Sauerwein był filozofem (z wykształcenia), pisarzem, tłumaczem i działaczem społecznym, który pasjonował się językami i kulturami. W polskim piśmiennictwie naukowym jego nazwisko pojawia się jedynie w kontekście historii Litwy i określa się go przede wszystkim jako poetę i publicystę.

Wspominam tę postać, ponieważ Georg Sauerwein jest bohaterem filmu „Człowiek, który znał 75 języków". To film, który miał polską premierę 4 maja 2021 roku i został wyprodukowany jako koprodukcja polsko-norwesko-litewska. Ten zestaw państw pokazuje, jakie narody i kultury zajmowały najważniejsze miejsce w życiu Sauerweina. Choć akurat Polska jest w tym zestawie trochę na doczepkę (spośród narodów i języków słowiańskich Sauerwein najwięcej uwagi poświęcał Łużyczanom), to Norwegia i Litwa wiele zawdzięczają jego działalności. Jest on m.in. autorem pieśni „Lietuviais esame mes gimę" („Urodziliśmy się Litwinami"), która była traktowana jako nieoficjalny hymn przez Litwinów zamieszkujących tereny należące do Prus. Z drugiej strony pracował nad restytucją silnie zdominowanego przez język duński języka norweskiego – procesem, który w zasadzie trwa do dziś, bo język ten jest bardzo zróżnicowany dialektalnie, ma też dwie oficjalnie równorzędne odmiany pisane. Taka bardzo niejednolita postać funkcjonowania języka jest bliska poglądom Sauerweina, bo zależało mu na jak najsilniejszej reprezentacji w życiu społecznym i w kulturze wszystkich odmian, dialektów i gwar wszystkich języków. Podstawę działalności na rzecz danego języka Sauerwein widział w tworzeniu w tym języku tekstów poetyckich, w których jego zdaniem najlepiej widać doskonałość każdego języka.

Wspomniany film jest opisywany przez dystrybutorów i producentów jako animowany film dokumentalny. Wyreżyserowała go norweska dokumentalistka Anne Magnussen we współpracy z Pawłem Dębskim, który odpowiadał za animację. Taki opis jest intrygujący, ale jest mylący – ostatecznie film zawiera bardzo mało elementów typowych dla filmów dokumentalnych. Nie umieszczono w nim żadnych wypowiedzi ekspertów, nawet narratorem jest sam główny bohater. Ogląda się go jak kameralną historię nieszczęśliwej miłości z podzieloną politycznie i językowo XIX-wieczną Europą w tle. Nie zmienia to faktu, że warto się tym filmem zainteresować, a nieco zapomniana postać Georga Sauerweina dzięki niemu może zostanie przypomniana.

Dr Sebastian Żurowski — Wydział Humanistyczny UMK.

Marcin Lutomierski

Obraz Polski w emigracyjnej literaturze dla dzieci i młodzieży

Tworzona w języku polskim literatura dla młodego odbiorcy na obczyźnie z lat wojennych i powojennych jest bardzo słabo rozpoznanym obszarem badawczym[1], mimo że stanowiła ona oryginalną i niemałą część polskiego piśmiennictwa na obczyźnie po 1939 r.

Swoja, lecz daleka

Doświadczenie pobytu poza granicami ojczyzny – zarówno podczas wojny, jak i później – zaowocowało powstaniem szeregu publikacji mniej lub bardziej literackich o charakterze edukacyjno-wychowawczym, których tematem była Polska. Przedstawiano ją jako kraj daleki w sensie geograficznym, a zarazem bliski emocjonalnie.

„Przewędrowaliśmy pobieżnie nasz Kraj od krańca do krańca. Niestety w tej wędrówce stopa nasza nie dotknęła polskiej ziemi. Nasz kraj jest od nas daleko"[2] – napisała Irena Broniatowska w podsumowaniu swojej książki o wymownym tytule *Kraj swój – choć daleki*. Celem tej krajoznawczej opowieści jest odtworzenie oblicza ojczyzny w formie przystępnie podanych informacji z zakresu geografii, przyrody i historii – wzbogacone cytatami z XIX-wiecznej i XX-wiecznej literatury polskiej oraz licznymi fotografiami. Według Broniatowskiej nieoceniona w poznawaniu ojczyzny jest mapa gromadząca „tyle informacji, że gdybyśmy chcieli wyrazić je wszystkie przy pomocy słów, zapełnilibyśmy całe tomy"[3]. Istotny jest tutaj fakt, że opisywana i ukazana na mapie w *Kraju swoim – choć dalekim* Polska obejmuje zarówno w całości ziemie w granicach II RP, jak i tereny przyznane Polsce Ludowej na konferencji w Jałcie.

Gawędy o ojczyźnie

Przybliżanie ojczyzny w literaturze adresowanej do dzieci miało często formę gawędową (mimo różnych sugestii w tytułach). Tak jest m.in. w przypadku książki Anatola Krakowieckiego *Bajki biało-czerwone*, w której autor opowiada – jak sam stwierdza – bajki nie-bajki. Na wstępie zwraca się jednak do starszych, mówiąc: „To nie dla was są te, pisane na marginesie rzeczywistości bajki biało-czerwone, ludzie starsi. Nie bierzcie nawet tej książeczki do rąk, albowiem nie powie ona wam nic nowego. Wszystko to znacie, pamiętacie, macie w sercach, w źrenicach, w spracowanych dłoniach i w strudzonej, tułaczej duszy. Jest jednakże wielka, olbrzymia gromada

[1] Por. M. Lutomierski, *Doświadczenia uchodźstwa i emigracji w polskiej literaturze dla dzieci i młodzieży na obczyźnie. Rekonesans*, [w:] *Z ojczyzny do obczyzny. Doświadczenia uchodźstwa polskiego*, red. R. Kleśta-Nawrocki, A. Trapszyc, M. Lutomierski, Toruń 2019.
[2] I. Broniatowska, *Kraj swój – choć daleki. Polska w opisie i obrazach*, Londyn [1956], s. 64.
[3] Tamże.

dzieci, którą otacza świat zupełnie inny, niże był nim świat naszego dzieciństwa. Dla nich to, dla dzieci, napisałem tę skromniutką i małą biało-czerwoną książeczkę"[4]. Dedykowane dzieciom w Iranie, Indiach, Afryce i Palestynie opowieści Krakowieckiego są zapisem pogadanek i rozmów z Basią, polską dziewczynką nazwaną przez narratora jego bardzo dobrą przyjaciółką. „Basia jest mieszkanką miasta. Obecnie, na tułaczce, z konieczności, a potem nie wiadomo, jak będzie. Nie widziała nigdy polskiego sadu, więc trudno jakoś jej o tym opowiadać"[5].

„Wiosna polska jest inna..."

Przedstawiany w sporej części utworów obraz Polski miał rozwijać patriotyzm, w myśl którego najpiękniejszy i najukochańszy kraj leży nad Wisłą. Idealizowana przyroda polska w zestawieniu z angielską była ukazywana jako bardziej atrakcyjna i bardziej przyjazna. „Jesień w Polsce – opowiada Teodozja Lisiewicz – piękna była. Jak sięgnąć pamięcią, wrzesień nigdy nie bywał błotnisty. Był słoneczny, o barwie ciepła dopalającego się ogniska, miał przedwieczorną senność dnia spędzonego pracowicie..."[6]. Natomiast Józefa Mękarska przedstawia piękno wiosny w Polsce na tle wiosny angielskiej: „W Anglii przychodzi wiosna niepostrzeżenie, bez widocznej, mocno odczuwalnej zmiany. Anglia ma klimat morski – łagodny. Przejście między porami roku jest nieznaczne. Wiosna polska jest inna. Wyczekiwana i wypatrywana poprzez zamarznięte szybki w oknach nadchodzi w blaskach jasnego słońca, w strugach śniegu wesoło topniejącego z dachów, raźno płynącego w bruzdach na polu. Przychodzi pachnąca wiatrem przepojonym słońcem i gorzkim od zapachu mokrej ziemi. Przylatuje na skrzydełkach jaskółek i bocianów. Rozbrzmiewa pieśnią skowronków. Wabi zielenią i krasą pierwszych kwiatów. Jest pełna niespodzianek"[7].

Rodzime tradycje

Czytanki i pisma często podejmują tematy związane z tradycjami polskimi, zwłaszcza świątecznymi i ludowymi. Interesująco na tym tle prezentuje się zapomniany utwór *Jasełka* autorstwa znanego pisarza dla dorosłych – Tadeusza Nowakowskiego. Jest to sztuka, w której występują emigranci, wysiedleńcy, żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i przedstawiciele komunistycznego Urzędu Bezpieczeństwa, a także bohaterowie dziecięcy, m.in. Harcerz, Mały Waluś, Zosia, Jaś, Staś. Utwór kończy się sceną ukazującą grupę Polaków przybyłą do nowonarodzonego Jezusa, która prosi Matkę Boską o wstawiennictwo. Maryja klęka razem z nimi przed żłobkiem i modli się o przywrócenie Polsce niepodległości. Następnie jeden z bohaterów intonuje: „Podnieś rękę, Boże Dziecię", po czym wszyscy śpiewają: Błogosław Ojczyznę miłą – / w zdrowiu ducha, w mężnym bycie / wspieraj jej siłę Swą siłą, / dźwignij i okryj ją chwałą / między wolnymi ludami...[8]. Scena ta dobitnie potwierdza polonocentryczny charakter utworu wywodzącego się z tradycji religijnej.

Postacie legendarne i historyczne

Obok wybranych tradycji kultury pojawiały się dość często utwory odwołujące się do wybranych i zazwyczaj zmitologizowanych postaci oraz wydarzeń z pradziejów i dziejów Polski. Taki charakter mają na przykład wydane dzięki składkom społecznym na „Dar Narodowy 3 Maja" przy wsparciu Koła Polskiej Macierzy Szkolnej w Birmingham *Legendy i opowiadania historyczne* (Londyn 1967). Oprócz tego typu opowieści publikowano również krótkie utwory dramatyczne z przeznaczeniem do wystawiania jako

[4] Krakowiecki, *Bajki biało-czerwone*, Jerozolima [1944], s. 6.
[5] Tamże, s. 79.
[6] T. Lisiewicz, *Wyjazd do szkoły* [w:] *Przy ognisku harcerskim. Opowiadania dla młodzieży*, red. B. Mękarska, Londyn s. 31.
[7] J. Mękarska, *O kwiatach i drzewach*, [w:] *Przy ognisku harcerskim. Opowiadania dla młodzieży*, red. B. Mękarska, Londyn 1955, s. 49–50.
[8] T. Nowakowski, *Jasełka*, Londyn [1947], s. 23.

sztuki. Egzemplifikacją tego nurtu może być książka Jadwigi Żerdzińskiej *Postrzyżyny Ziemowita. Obrazek sceniczny dla dzieci starszych* (Londyn 1963).

Przykładem popularyzowania wiedzy o zasłużonych twórcach polskiej kultury jest opowieść biograficzna autorstwa Zofii Kozarynowej dotycząca życia i twórczości Adama Mickiewicza, która w warunkach emigracyjnych była przedsięwzięciem dosyć oryginalnym. Pisarka przyjęła zlecenie Polskiej Macierzy Szkolnej na wydanie w oficynie „Veritas" broszury dla dzieci. Z pomocą redaktora „Wiadomości" Mieczysława Grydzewskiego autorka zebrała źródła i opracowania ze szczególnym uwzględnieniem treści anegdotycznych, które miały pomóc w ukazaniu adresatom Mickiewicza nieposągowego.

Książeczka zatytułowana *Król poezji. Opowieść o panu Adamie* ukazała się prawdopodobnie na początku 1956 r. (lub pod koniec 1955 r.), wpisując się w obchody Roku Mickiewiczowskiego na obczyźnie. Opowieść Kozarynowej składa się z 21 rozdziałów, ujętych w cztery części: 1) Dzieciństwo (*Opowiadania starego Błażeja*; *Zabawy na wsi*; *Zamiłowania i pierwsze obowiązki*; *Szkoła*; *Wojsko w Nowogródku*); 2) Lata młodzieńcze (*Uniwersytet w Wilnie – życie koleżeńskie*; *Poeta budzi się do życia*; *Wiersze tajemnicze, fantastyczne i pogodne*; *Humor i wesołość*; *Zaduszki: „Dziady"*; *Więzienie i wysiedlenie do Rosji*); 3) Wiek dojrzały (*Podróż na Zachód*; *Soplicowo i jego mieszkańcy*; *Polowanie na niedźwiedzia*; *Dobrzyńscy z Dobrzyna*; *Rok urodzaju, wojny i nadziei*; *Dostojni goście w Soplicowie*). 4) Schyłek i koniec życia (*Rozstanie z poezją*, *Próby walki o wolność. Śmierć*). Treść publikacji wzbogacają ilustracje Jana Smagały dotyczące wybranych utworów.

Spotkania z poezją

Przybliżanie ojczyzny często polegało na upowszechnianiu polskiej literatury (głównie dawnej, rzadziej najnowszej) i wiedzy o niej. Szczególną rolę odgrywała tu poezja, której znajomość miała wartość nie tylko patriotyczną, ale i utylitarną (na różne okoliczności). We wstępie do jednego ze zbiorów poezji polskiej można przeczytać, że w przeciwieństwie do czasów zaborów: „Nikt Wam nie zabrania uczyć się ojczystej poezji. Tomików z wierszami polskich wieszczów nie trzeba chować w skrytkach i uczyć się ich oraz je deklamować potajemnie. Czy potraficie wyliczyć na palcach jednej ręki naszych wielkich poetów i powiedzieć, w jakich czasach oni żyli i co napisali? Czy znacie naszych poetów współczesnych? Czy jeśli znajdziecie się w polskim towarzystwie, potraficie deklamować wiersz stosownie do okazji? *Mały deklamator* przychodzi Wam w tym z pomocą"[9]. Znajomość rodzimej poezji jawi się tutaj jako obowiązek młodego Polaka na obczyźnie.

Tworzona poza granicami ojczyzny literatura dla dzieci i młodzieży pełniła przede wszystkim dwie funkcje: wychowawczą (przywiązanie do polskości) i edukacyjną (zwykle: wiedza o Polsce; rzadziej: wiedza o kraju osiedlenia).

Różnego typu opowieści oswajały doświadczenia pobytu na obcej ziemi głównie w taki sposób, że wychowywały w duchu miłości do ojczyzny dziadków i rodziców, której młodzi odbiorcy w ogóle lub prawie nie znali. Powstałe na obczyźnie utwory dawały młodym odbiorcom namiastkę Polski w ujęciu nostalgicznym, często kontynuującym romantyczny obraz ojczyzny.

Dr Marcin Lutomierski — Wydawnictwo Naukowe UMK, Pracownia Badań Kultury i Literatury Dziecięco-Młodzieżowej UMK.

Zdjęcia: M. Lutomierski (ze zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej w Toruniu)

[9] *Mały deklamator. Wiersze na różne okazje*, wybrała M. Duszowa, Londyn [1957], s. 1.

Krzysztof Nierzwicki, Edyta Krużyńska

Bożena Bednarek-Michalska: pożegnanie

14 maja – najpierw w spotkaniu przybyłych bardzo licznie Przyjaciół i Współpracowników – na Barbarce, następnie oficjalnie na Cmentarzu Parafialnym Najświętszego Serca Pana Jezusa w Bydgoszczy, pożegnaliśmy naszą wspaniałą, kochaną przez wszystkich koleżankę Bożenę Bednarek-Michalską – zmarłą 5 maja 2021 r, wieloletnią wicedyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej, wspaniałą, mądrą osobę, niezwykle uczynną i oddaną zarówno ludziom, jak i instytucji, wielką postać naszej akademickiej wspólnoty.

Swoją bogatą – choć tak nagle przerwaną biografią – swoją aktywnością, mogłaby obdzielić bez wątpienia kilka życiorysów. Miała wszakże niespożytą energię i wolę działania, którą zarażała całe rzesze bibliotekarzy w Toruniu, Polsce i zagranicą. Była niezwykle ceniona i obdarzana zaufaniem zarówno przez krajowe, jak i zagraniczne środowisko bibliotekarskie, współpracowników, studentów i wszystkich tych, którym było dane spotkać Ją na swojej drodze życia. Była przy tym pełna optymizmu, pogody ducha i takiego rzadko dziś spotykanego naturalnego wdzięku, empatyczna, nigdy niewyrażająca negatywnych opinii o ludziach, umiejąca w każdym znaleźć jego dobre strony. Miała też Bożena cechę, której z pewnością wielu Jej zazdrościło – była odważna i co istotne – szczera i otwarta w wyrażaniu swoich poglądów. Niekoniunkturalna. Wszystko to składa się na obraz wspaniałej, obdarzonej pełną gamą przymiotów, osoby, która za życia wzbudzała podziw, szacunek i uznanie, a teraz należy się Jej wdzięczność i pamięć!

Bożena Bednarek-Michalska z Toruniem związała się przed 40 laty, w roku 1981, gdy jako absolwentka Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Wrocławskiego, rozpoczęła pracę w V Liceum Ogólnokształcącym w Toruniu. Będąc nauczycielką języka polskiego, prowadziła także koła zainteresowań i fakultety humanistyczne. Działała również w Wojewódzkim Domu Kultury w Toruniu, zajmując się młodzieżową grupą teatralną. W stanie wojennym została zwolniona z V LO i od roku 1982 na resztę swego zawodowego życia związała się z Biblioteką Uniwersytecką w Toruniu. Początkowo pracowała w Wypożyczalni (1982), a następnie w Czytelni Głównej, kolejno zaś w Czytelni Matematyczno-Przyrodniczej oraz w Czytelni Pomorzoznawczej (1983). W latach 1987–1993 była bibliotekarką w Bibliotece Filologii Polskiej UMK. W 1993 r. wróciła do Biblioteki Głównej, gdzie rozpoczęła pracę w nowo powołanym Oddziale Informacyjno-Rzeczowym

jako bibliotekarz dziedzinowy. Od roku 1997 pełniła funkcję kierownika Sekcji Informacji w tym Oddziale. Trzykrotnie pełniła również funkcję zastępcy dyrektora Biblioteki – w latach 2003–2006 i 2010––2017. W roku 2004 uzyskała stanowisko kustosza dyplomowanego, a w 2014 starszego kustosza dyplomowanego. Wszędzie została zapamiętana jako osoba niezwykle kompetentna, umiejąca dzielić się wiedzą i doświadczeniem, bardzo pomocna zwłaszcza młodym adeptom bibliotekarskiego fachu.

W początkach nowego tysiąclecia Bożena Bednarek-Michalska skierowała swą uwagę na zagadnienia digitalizacji zbiorów oraz bibliotek cyfrowych. To w dużej mierze z Jej inicjatywy i za sprawą Jej aktywności województwo kujawsko-pomorskie doczekało się własnej – Kujawsko-Pomorskiej Biblioteki Cyfrowej, działającej prężnie do dzisiaj. W latach 2004–2008 była pełnomocniczką rektora ds. utworzenia tej instytucji, by w kolejnych latach podjąć się roli jej koordynatorki. Za ten projekt została nagrodzona w VI edycji Konkursu o Nagrody Województwa Kujawsko-Pomorskiego w kategorii nauka i postęp techniczny (2006).

Oprócz pracy w Bibliotece Głównej prowadziła szeroką działalność dydaktyczną, wykładając i prowadząc szkolenia na UMK oraz gościnnie na innych uczelniach polskich i zagranicznych. Wśród jej zainteresowań zawodowych znalazły się informacja elektroniczna, budowanie zasobów cyfrowych, zarządzanie informacją, nowoczesne elektroniczne źródła informacji, wartościowanie informacji, tworzenie stron www, czy modele open access. Inicjowała i realizowała przede wszystkim społecznie wiele projektów bibliotekarskich, które unowocześniały praktykę zawodową. (m.in. INFOBIB-L, EBIB, INFOBINET, BIBWEB, KOED, E-Lis, COMMUNIA, DARIAH-PL). Wielokrotnie z powodzeniem zdobywała środki finansowe w konkursach krajowych i zagranicznych. To za sprawą Jej aktywności w ostatnich latach Biblioteka Uniwersytecka pozyskała wiele milionów na realizację szeregu projektów, w tym na największy kilkumilionowy, sfinansowany z Programu Operacyjnego Polska Cyfrowa. Tworzyła także repozytorium instytucjonalne na naszym Uniwersytecie.

Znakomicie odnajdowała się również w roli naukowca. Opublikowała ponad 190 fachowych artykułów dotyczących bibliotek cyfrowych, repozytoriów, nowoczesnych technologii i otwartej nauki. Kiedy w 1997 r. powódź zniszczyła wiele instytucji kultury Dolnego Śląska, to właśnie Bożena zainicjowała niemającą precedensu akcję „Ratowania księgozbiorów bibliotek Dolnego Śląska", zakończoną uratowaniem i odnowieniem kilku tysięcy cennych pozycji. Za tę akcję otrzymała nagrodę Biblioteki Uniwersytetu Wrocławskiego.

Działała aktywnie także na forum międzynarodowym. Zasiadała m.in. w zarządzie projektu *Bibliotheca Baltica* (2004–2006), Zarządzie SPARC Europe (2012–2015), Radzie Zarządzającej projektem Polska Literatura Humanistyczna – indeks cytowań (2000–2006), współpracowała z Fundacją Bertelsmanna.

Jej wiedza i doświadczenie znalazły uznanie także w kręgach ministerialnych. Począwszy od roku 2006 była kolejno członkiem eksperckiego Zespołu ds. Digitalizacji Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, gdzie kierowała podzespołem ds. opracowania strategii digitalizacji dla Polski, ekspertem Narodowego Centrum Badań i Rozwoju przy ministrze nauki i szkolnictwa wyższego, a także członkiem Interdyscyplinarnego zespołu ds. Działalności Upowszechniającej Naukę i członkiem zespołu ds. open access przy tym Ministrze.

Była wielokrotnie nagradzana przez rektora UMK za pracę na rzecz Uczelni i Biblioteki. W 2002 r. nadano Jej Medal Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich za wkład dla rozwoju bibliotekarstwa polskiego, a w roku 2018 została uhonorowana nagrodą rektora UMK za całokształt pracy zawodowej. Kilka dni po Jej nagłej śmierci, prezydent Rzeczypospolitej Polskiej swym postanowieniem, *za zasługi w działalności na rzecz rozwoju bibliotekarstwa* pośmiertnie

odznaczył Bożenę Bednarek-Michalską Złotym Krzyżem Zasługi. W dniu pogrzebu, na bydgoskim cmentarzu, odznaczenie to z rąk wicewojewody Kujawsko-Pomorskiego Józefa Ramlaua odebrał mąż Bożeny – dr Miłosz Michalski.

W 2018 r. Bożena przeszła na emeryturę, ale nadal aktywnie zajmowała się doradztwem i mentoringiem oraz działalnością na rzecz otwartej nauki i nowoczesnych modeli publikowania naukowego. Nigdy – pomimo choroby i czasem trudnych chwil – nikomu nie odmawiała pomocy. Tydzień przed śmiercią poprosiłem Ją o konsultację umowy, jaką Uniwersytet zawierał ze spadkobiercami spuścizny rękopiśmiennej po wybitnym filozofie i etyku profesorze Henryku Elzenbergu. Ocenę umowy otrzymałem dnia następnego. Rozmawialiśmy telefonicznie, snuliśmy plany na najbliższe mające nadejść ciepłe wiosenne dni. Była pełna werwy, optymizmu i radości. Jakżeż brutalnie życie zweryfikowało nasze pomysły. *Jeśli chcesz rozśmieszyć Pana Boga, opowiedz mu o swoich planach* – miał powiedzieć Woody Allen. Aż trudno uwierzyć, że słowa te w tym wypadku tak szybko znalazły swe urzeczywistnienie.

Bożena Bednarek-Michalska była bez wątpienia jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci współczesnego polskiego bibliotekarstwa, swego rodzaju ikoną jego nowoczesnej, a przy tym otwartej, nastawionej na użytkownika formy. Dla wielu osób wraz z Jej odejściem kończy się ważny etap w rozwoju tego nadzwyczaj istotnego, choć czasem niedocenianego, obszaru na mapie kultury polskiej.

Dr Krzysztof Nierzwicki — dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej UMK, mgr Edyta Krużyńska — kierownik Oddziału Informacji Biblioteki Uniwersyteckiej UMK.

Zdjęcia z kolekcji Dokumentów Życia Społecznego Biblioteki Uniwersyteckiej.

Muszę dopowiedzieć jeszcze coś, czego we wspomnieniach autorów z Biblioteki Uniwersyteckiej nie ma. Bożenka (takiej formy używaliśmy) miała też swój udział w tworzeniu „Głosu Uczelni". I to cenny. Uczestniczyła w kolegiach redakcyjnych, niejednokrotnie wskazując takie niuanse problemów, które mogły ujść naszej uwadze. Gdy nauka z nurtu „analogowego" weszła w „cyfrowy", to Bożenka była cennym przewodnikiem po tym, niekiedy dość skomplikowanym, świecie. Pisała o tym, tłumaczyła detale – cierpliwie, życzliwie. Zapamiętałem ją też, cóż bratnia dusza, za sprawą muzycznych fascynacji. Już po kolegiach redakcyjnych potrafiliśmy długo o tym rozmawiać. O koncertach, na których byliśmy, na które chcielibyśmy się wybrać. To także była jej pasja, jedna z wielu…

Winicjusz Schulz

Bożena Kierzkowska, Artur Wójtowicz

Historia Wydziału Prawa i Administracji

Tytułem wstępu – dzisiejszy Wydział Prawa i Administracji jest drugą jednostką tego typu na naszym Uniwersytecie. Powstały w roku 1945 Wydział Prawno-Ekonomiczny, decyzją ministerstwa wstrzymał nabór studentów na I rok studiów od roku akademickiego 1950/51. Ostateczny kres poprzedniego wydziału nastąpił w 1955 r., kiedy to wydawane zostały ostatnie dyplomy I i II stopnia.

Pierwsze zabiegi o wznowienie pracy wydziału prawnego podjęto już wiosną 1956 r. Wówczas Senat UMK uchwałą z dnia 27 czerwca 1956 r. postanowił wszcząć starania w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego o przesunięcie terminu tej reaktywacji na rok 1957, ponieważ w „Planie 5-letnim Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego na lata 1956–1960" wznowienie działalności tego wydziału zostało prze-

widziane na rok 1958. Dzięki wsparciu rektora Antoniego Basińskiego, następnie Henryka Szarskiego w marcu 1957 r., Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego powierzyło prof. Wojciechowi Hejnoszowi obowiązki organizatora Wydziału, a 2 kwietnia następnego roku wyraziło zgodę na jego reaktywację oraz rozpoczęcie rekrutacji w roku akademickim 1958/59.

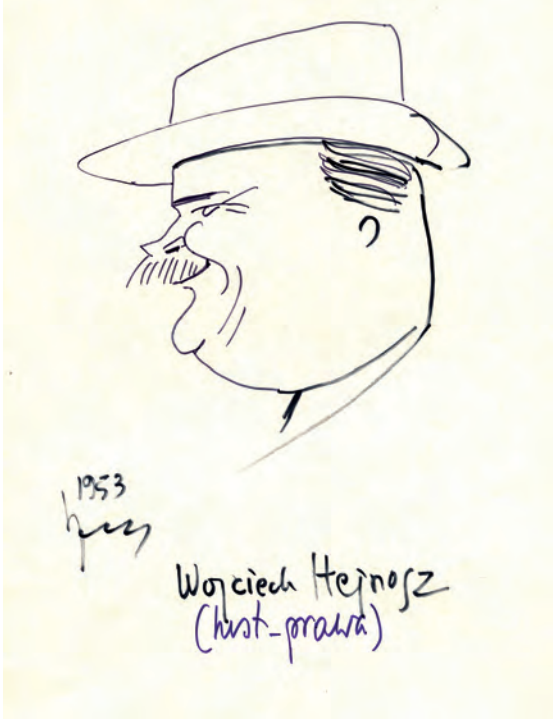

Karykatura prof. Wojciecha Hejnosza autorstwa prof. Leona Jeśmanowicza

Skompletowanie kadry wykwalifikowanych wykładowców nie stanowiło problemu, gdyż część stanowili pracownicy ówczesnego Wydziału Prawno-Ekonomicznego. Próbowano również pozyskać profesorów z uczelni warszawskiej, krakowskiej, poznańskiej, lubelskiej i łódzkiej. W czerwcu 1958 r. przeniesiono Katedrę Historii Państwa i Prawa Polskiego (pod kierownictwem prof. Wojciecha Hejnosza) i Katedrę Ekonomii Politycznej z Wydziału Humanistycznego na Wydział Prawa. Obsadzono również kierownictwo nowo powołanych katedr w osobach: prof. dr. Stanisława Matysika (Katedra Prawa Cywilnego), prof. dr. Kazimierza Biskupskiego (Katedra Prawa Państwowego), doc. dr. Zbigniewa Zdrójkowskiego (Katedra Powszechnej Historii Państwa i Prawa), doc. dr. Witolda Warkałły (Katedra Prawa Rzymskiego) oraz prof. dr. Włodzimierza Hagemajera (Katedra Ekonomii Politycznej). Stopniowo kompletowano też kadrę pomocniczych pracowników naukowych.

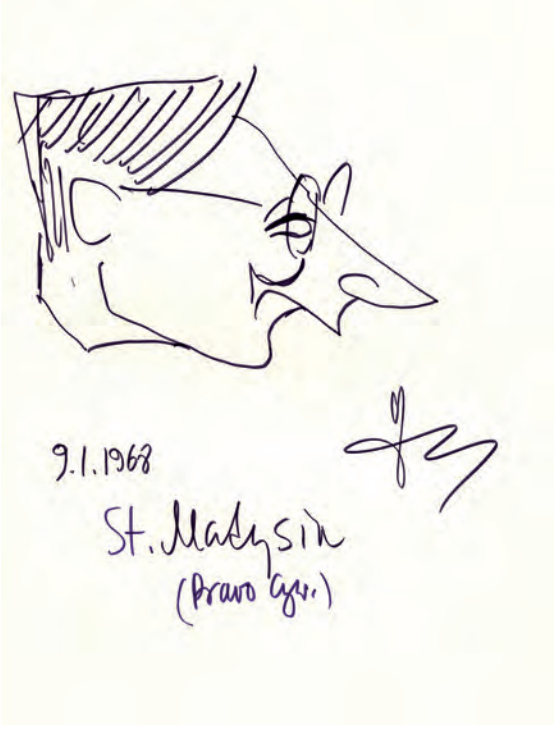

Karykatura prof. Stanisława Matysika autorstwa prof. Leona Jeśmanowicza

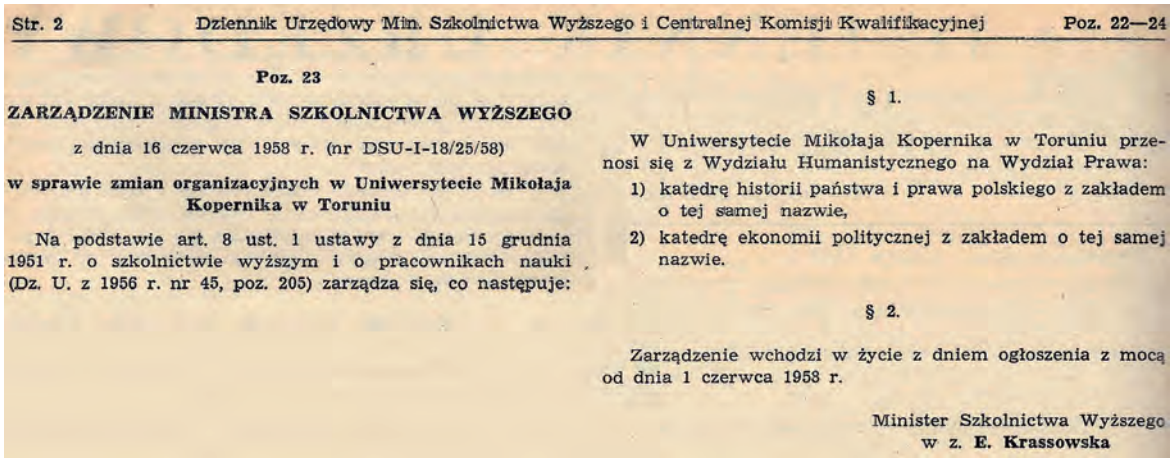

Str. 2 Dziennik Urzędowy Min. Szkolnictwa Wyższego i Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej Poz. 22—24

Poz. 23

ZARZĄDZENIE MINISTRA SZKOLNICTWA WYŻSZEGO

z dnia 16 czerwca 1958 r. (nr DSU-I-18/25/58)

w sprawie zmian organizacyjnych w Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu

Na podstawie art. 8 ust. 1 ustawy z dnia 15 grudnia 1951 r. o szkolnictwie wyższym i o pracownikach nauki (Dz. U. z 1956 r. nr 45, poz. 205) zarządza się, co następuje:

§ 1.

W Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu przenosi się z Wydziału Humanistycznego na Wydział Prawa:

1) katedrę historii państwa i prawa polskiego z zakładem o tej samej nazwie,
2) katedrę ekonomii politycznej z zakładem o tej samej nazwie.

§ 2.

Zarządzenie wchodzi w życie z dniem ogłoszenia z mocą od dnia 1 czerwca 1958 r.

Minister Szkolnictwa Wyższego
w z. **E. Krassowska**

Pierwsze posiedzenie Rady Wydziału Prawa UMK odbyło się 11 września 1958 r. o godzinie 13:30 w pokoju nr 8 Collegium Maius. Poruszono kwestie wyboru dziekana, prodziekana i przedstawiciela Rady Wydziału do Senatu. Dziekanem został wybrany prof. Wojciech Hejnosz (organizator wydziału), natomiast prodziekanem doc. dr Zbigniew Zdrójkowski (zastępca organizatora). Pełnili te funkcje do 1960 r.

4 października 1958 r. restytuowano Koło Prawników, jego pierwszą przewodniczącą została Hanna Hejko-Porębska, natomiast kuratorem prof. Wojciech Hejnosz.

Po ośmioletniej przerwie Wydział Prawa ponownie przyjął studentów w swoje szeregi, a dzięki szybkiemu rozwojowi organizacyjnemu już w roku 1960/61 utworzono punkty konsultacyjne Zawodowego Studium Administracyjnego w Bydgoszczy, Gdańsku, Elblągu i Toruniu. W następnym roku akademickim 1961/62 powołano Zawodowe Studium Administracyjne, którego kierownikiem został doc. Zbigniew Zdrójkowski. Natomiast trzy lata później – 1964/65 – zaczęto kształcić studentów w systemie zaocznym (4 czerwca 1964 r. na mocy zarządzenia Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego zostało uruchomione Zaoczne Studium Prawnicze). Powstanie studium zaocznego wymusiło powołanie drugiego prodziekana prof. dr. Aleksandra Kunickiego. Od tej pory było dwóch prodziekanów – pierwszy odpowiadał za studia stacjonarne, natomiast drugi za studium zaoczne. Z czasem podział obowiązków pomiędzy dziekanem i prodziekanami uległ zmianie.

W czerwcu 1963 r. po wznowieniu studiów prawniczych, tytuł magistra prawa uzyskało 69 absolwentów.

Po 1968 r. rozpoczęto reformowanie uniwersytetów w kierunku centralizacji ich struktur wewnętrznych. Dlatego w 1969 r. nastąpiły zmiany w strukturze organizacyjnej Wydziału. Zlikwidowano 15 działających dotąd samodzielnych katedr, powołując na ich miejsce 3 instytuty: Instytut Prawa Państwowego i Administracyjno-Gospodarczego (z 6 zakładami), Instytut Prawa Sądowego, obejmujący 7 zakładów (od 1971 r. – 8) i Instytut Historyczno-Prawny (z 4 zakładami), co dało łącznie 17 zakładów. Zmieniono też nazwę Wydziału na „Wydział Prawa i Administracji". Ówczesną jego strukturę ilustruje schemat na kolejnej stronie.

Wydział Prawa i Administracji 1969

Od 1972 r. instytutów było już pięć: **Instytut Administracji i Zarządzania** (pierwszym dyrektorem został doc. Eugeniusz Ochendowski), **Instytut Historyczno-Prawny** (prof. Zbigniew Zdrójkowski), **Instytut Nauk Prawno-Ustrojowych** (doc. Janusz Symonides), **Instytut Prawa Cywilnego** (doc. Jan Winiarz) oraz **Instytut Prawa Karnego** (doc. Wiesław Daszkiewicz). Wprowadzono także niewielkie zmiany w podziale na zakłady i odwołano wszystkich wicedyrektorów, gdyż nie przewidywano takich stanowisk. Przedstawiona wyżej struktura przetrwała niezmieniona do końca lat 80. XX w. Do tego czasu następowały tylko zmiany w liczbie i nazewnictwie zakładów wchodzących w skład instytutów oraz korekty ich profilu wynikające z konieczności dostosowania się do aktualnego programu naukowo-dydaktycznego.

Na początku lat 70., pomimo odejścia kilku pracowników na nowo utworzony Uniwersytet Gdański, wzrosła liczebność kadry naukowej. Dzięki temu możliwe stało się rozszerzenie zakresu kształcenia w zakresie administracji. Obok istniejącego Zawodowego Studium Administracji powołano 17 sierpnia 1971 r. dwuletnie zaoczne studium magisterskie (Studium Administracyjne z prawem nadawania tytułu magistra administracji), a w 1972 r. – studium stacjonarne. W latach 70. wydział prowadził ponadto punkt konsultacyjny zaocznych studiów prawa i administracji w Olsztynie. 22 kwietnia 1975 r. Senat UMK zaopiniował wniosek o utworzeniu na wydziale Podyplomowego Studium Administracji. Z biegiem lat powstawały coraz to nowe studia podyplomowe.

20 grudnia 1960 r. odbyła się pierwsza promocja doktorska na Wydziale Prawa – doktorem został Maciej Chorzelski, promotorem był prof. Stanisław Matysik. Jeśli chodzi o przewody habilitacyjne, to dopiero w 1975 r. wydział uzyskał uprawnienia do nadawania stopnia doktora habilitowanego. Pierwszą habilitację uzyskał 21 czerwca 1977 r. Marian Filar (późniejszy zasłużony pracownik naukowy i dziekan tego wydziału).

Zarządzeniem Rektora z 18 grudnia 1990 r. zniesiono podział na instytuty i zakłady. Ich miejsce zajęły 24 katedry, przy czym wyodrębniono Katedrę Prawa Kanonicznego oraz Katedrę Praw Człowieka. W latach 1990–2005 na wydziale działało łącznie 26 katedr. Liczba katedr i zakładów w ramach ka-

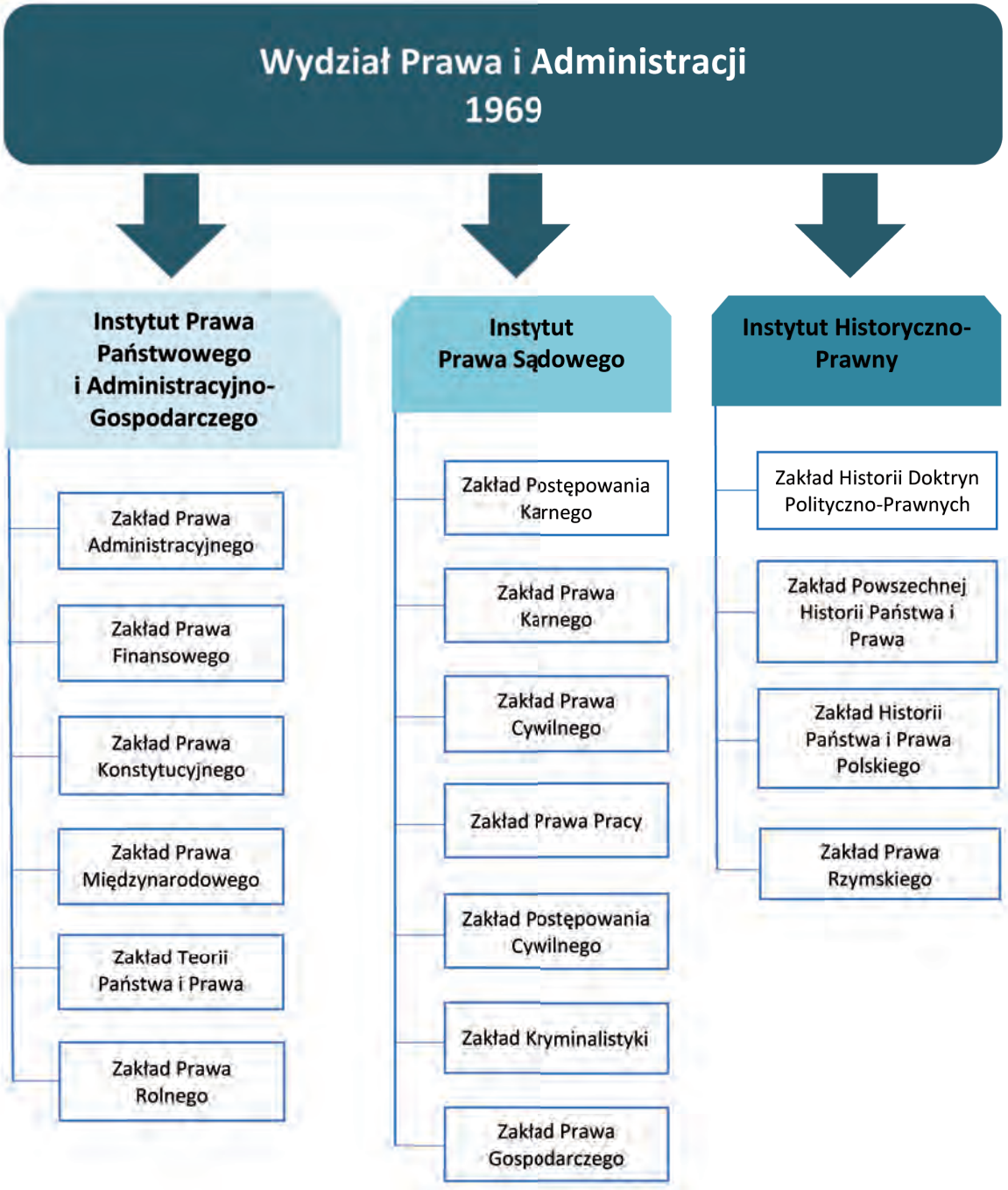

tedr ulegała niewielkim modyfikacjom, wynikającym głównie z potrzeb dydaktyki.

Wydział Prawa i Administracji 1990

W 1996 r. utworzono w ramach Wydziału Zakład Prawa Budżetowego i Finansów Samorządu Terytorialnego. W 2000 r. w ramach Katedry Prawa Cywilnego i Międzynarodowego Obrotu Gospodarczego powołano Zakład Prawa Morskiego, kontynuujący wielkie tradycje badań nad prawem morskim w ośrodku toruńskim. W 2004 r. powołano Katedrę

Zakład Kryminalistyki

Prawa Europejskiego, powstałą z podziału Katedry Praw Człowieka i Prawa Europejskiego na dwie odrębne.

Kolejne zmiany w strukturze organizacyjnej nastąpiły w 2019 r. (na podstawie zarządzenia nr 124 Rektora UMK z dnia 16 września 2019 r. w sprawie utworzenia instytutów i katedr wchodzących w skład poszczególnych wydziałów na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu). Strukturę jednostki po reorganizacji w 2019 r. przedstawia schemat na kolejnej stronie. Ostatnią zmianą w strukturze wydziału było połączenie dwóch katedr – Prawa Europejskiego i Prawa Międzynarodowego z dniem 1 stycznia 2020 r. na mocy zarządzenia Rektora z 4 grudnia 2019 r.

Wydział Prawa i Administracji 2019

Z ciekawostek warto przypomnieć, że w dniach 2–4 czerwca 1984 r. odbył się pierwszy zjazd Absolwentów Wydziału Prawa i Administracji UMK. Natomiast w marcu 2013 r. studenci z tego wydziału zajęli trzecie miejsce w I edycji Europejskiego Konkursu Praw Człowieka w Strasburgu.

Z ważniejszych uroczystości warto wymienić obchody 20. rocznicy reaktywowania Wydziału Prawa i Administracji i 33-lecia jego istnienia, które odbyły się 22 stycznia 1979 r. Wymienione wydarzenie przedstawiają poniższe fotografie.

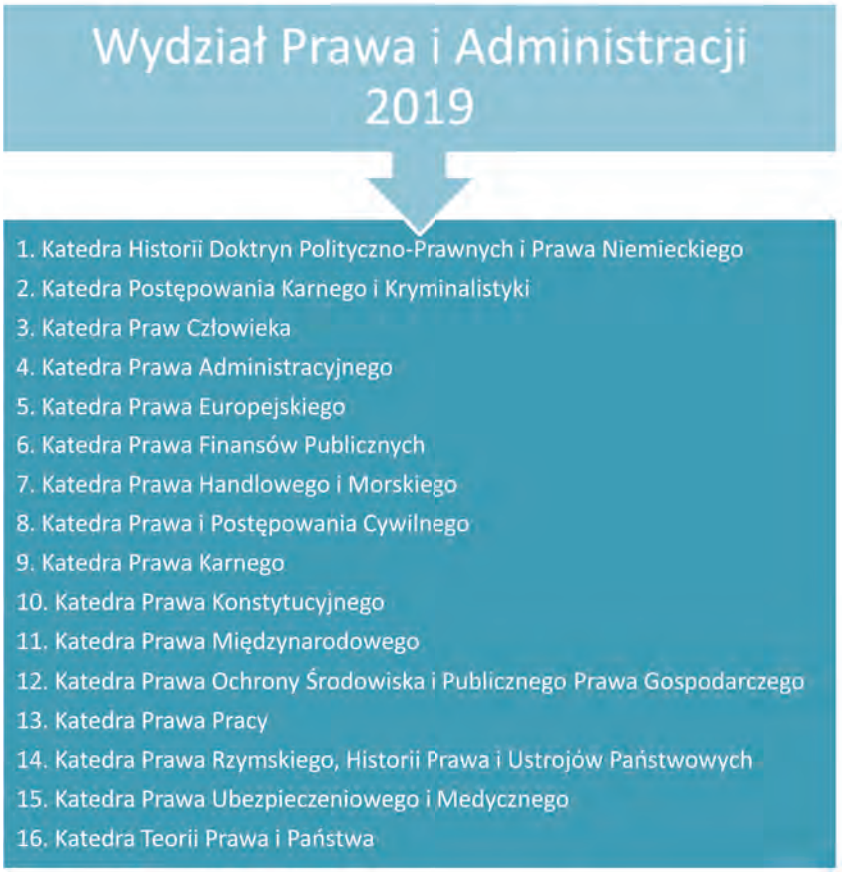

27 stycznia 2006 r. obchodzono kolejny jubileusz, tym razem 60-lecia Wydziału Prawa i Administracji UMK. Innym ważnym wydarzeniem był LV Zjazd Katedr i Zakładów Prawa Konstytucyjnego, który odbył się w dniach 16–18 maja 2013 r. na toruńskiej uczelni. W 2017 r. wydział zorganizował obchody 70-lecia i z tej okazji wybito okolicznościowy srebrny medal *Facultas Iuris et Administrationis Universitas Nicolai Copernici*.

Pod koniec 1957 r. Uniwersytetowi udało się uzyskać przychylne stanowisko Komitetu Miejskiego PZPR w Toruniu, by na potrzeby nowo odrodzonego Wydziału Prawa otrzymać budynek przy ul. Fredry 8. Jednak w związku z dalszym rozwojem wydziału przeprowadzono zamianę lokalową – budynek przy ul. Fredry 8 odstąpiono katedrom Geografii, a do *Collegium Minus* przeniesiono działające już katedry Wydziału Prawa.

29 września 1981 r. Rada Wydziału Prawa i Administracji UMK jednogłośnie przyjęła uchwałę o zmianie nazwy gmachu *Collegium Minus* (Fosa Staromiejska 1a) na *Collegium Iuridicum*.

29 października 1997 r. wmurowano akt erekcyjny pod budowę nowego gmachu Wydziału Prawa i Administracji UMK w miasteczku akademickim na

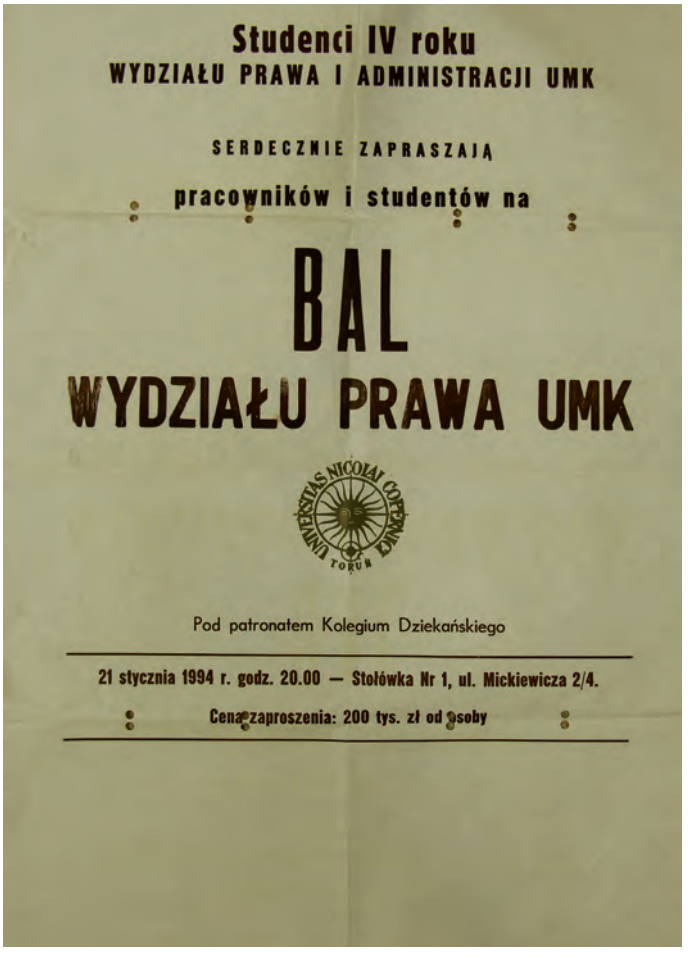
Studenci IV roku
WYDZIAŁU PRAWA I ADMINISTRACJI UMK

SERDECZNIE ZAPRASZAJĄ

pracowników i studentów na

BAL
WYDZIAŁU PRAWA UMK

Pod patronatem Kolegium Dziekańskiego

21 stycznia 1994 r. godz. 20.00 — Stołówka Nr 1, ul. Mickiewicza 2/4.

Cena zaproszenia: 200 tys. zł od osoby

Obchody 20. rocznicy reaktywowania Wydziału Prawa i Administracji

60-lecie Wydziału Prawa i Administracji UMK

Bielanach, który został oddany do użytku w latach 1999 i 2000. Uroczyste otwarcie nastąpiło 1 grudnia 2000 r. Nowy gmach otrzymał nazwę *Collegium Iuridicum Novum*. Po kilku latach konieczne jednak było dobudowanie nowego skrzydła, gdyż istniejąca infrastruktura była niewystarczająca.

Od 1958 r., czyli od czasu reaktywacji Wydziału Prawa, tylko prof. Andrzej Sokala jest jedyną osobą piastującą stanowisko rektora pochodzącą z tej jednostki. Natomiast w gronie prorektorów UMK

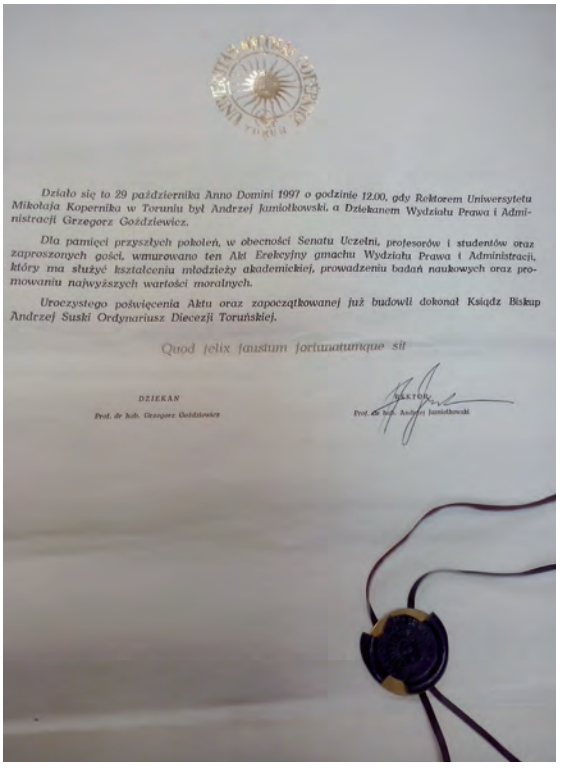

Działo się to 29 października Anno Domini 1997 o godzinie 12.00, gdy Rektorem Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu był Andrzej Jamiołkowski, a Dziekanem Wydziału Prawa i Administracji Grzegorz Goździewicz.

Dla pamięci przyszłych pokoleń, w obecności Senatu Uczelni, profesorów i studentów oraz zaproszonych gości, wmurowano ten Akt Erekcyjny gmachu Wydziału Prawa i Administracji, który ma służyć kształceniu młodzieży akademickiej, prowadzeniu badań naukowych oraz promowaniu najwyższych wartości moralnych.

Uroczystego poświęcenia Aktu oraz zapoczątkowanej już budowli dokonał Ksiądz Biskup Andrzej Suski Ordynariusz Diecezji Toruńskiej.

Quod felix faustum fortunatumque sit

DZIEKAN
Prof. dr hab. Grzegorz Goździewicz

REKTOR
Prof. dr hab. Andrzej Jamiołkowski

Akt erekcyjny pod budowę nowego gmachu Wydziału Prawa i Administracji

znalazło się kilkoro prawników: prof. dr hab. Kazimierz Biskupski (1960–1965), prof. dr hab. Wacław Dawidowicz (1965–1966), prof. dr hab. Janusz Symonides (1969–1973), prof. dr hab. Jan Winiarz (1975–1981), prof. dr hab. Władysław Bojarski (1981–1982), prof. dr hab. Ryszard Łaszewski (1982–1984, 1987–1990, 1996–1999), prof. dr hab. Eugeniusz Ochendowski (1984–1987), prof. dr hab. Jan Głuchowski (1987–1990), prof. dr hab. Marian Filar (1990–1993), prof. dra hab. Danuta Janicka (2008–2012) oraz prof. dr hab. Andrzej Sokala (2012–2020).

Należy także wspomnieć, że w gronie wybitnych naukowców, którzy otrzymali tytuł *doktora honoris causa*, znalazły się osoby związane z Wydziałem Prawa i Administracji. Byli to: Alfons Klafkowski (1974), Wacław Szyszkowski (1991) oraz Janusz Stanisław Trzciński (2010).

Poniżej zamieszczono wykaz dziekanów i prodziekanów:

Dziekani Wydziału Prawa (1958–1969) i Wydziału Prawa i Administracji (od 1969)

[27 III 1957] – [30 IX] 1960 – prof. dr Wojciech Hejnosz (organizator)
[1 X] 1960–1965 – doc. dr Wacław Dawidowicz
1965–[17 X] 1967 – prof. dr Aleksander Kunicki (zrezygnował)
[17 X] 1967–1969 – prof. dr Jan Krajewski
1969–1971 – prof. dr Wacław Szyszkowski (zrezygnował)
1971–1976 – prof. dr hab. Czesław Jackowiak (zrezygnował; przeniesiony do UG)
1976–1978 – prof. dr hab. Jan Głuchowski
1978–1981 – prof. dr hab. Andrzej Marek
1981–[23 IX] 1982 – prof. dr hab. Jan Łopuski (zrezygnował)
[23 IX] 1982–[31 XII] 1985 – prof. dr hab. Mirosław Nesterowicz (zrezygnował)
vacat – 1–22 I 1986 (p.o. dziekan – doc. dr Edmund Mizerski)
[22 I] 1986–1987 – doc. dr Eligiusz Drgas
1986–1987 – doc. dr Edmund Mizerski
198–1990 – prof. dr hab. Marian Filar
1990–1996 – prof. dr hab. Ryszard Łaszewski
1996–1999 – dr hab. Grzegorz Goździewicz, prof. UMK
1999–2005 – prof. dr hab. Zbigniew Witkowski
2005–2012 – dr hab. Andrzej Sokala, prof. UMK
2012–2016 – dr hab. Tomasz Justyński, prof. UMK
2016–... – prof. dr hab. Zbigniew Witkowski

Collegium Minus (zwany „Harmonijką")

Collegium Iuridicum Novum

Uroczystość wręczenia doktoratu *honoris causa* Wacławowi Szyszkowskiemu

Prodziekani Wydziału Prawa (1958–1969) i Wydziału Prawa i Administracji (od 1969)

[15 X] 1958–[30 IX] 1960 – doc. dr Zbigniew Zdrójkowski (zastępca organizatora)
[1 X] 1960–1964 – doc. dr Wiktor Kornatowski
1964–1965 – prof. dr Aleksander Kunicki
1964–1967 – doc. dr hab. Kazimierz Nowak
[1 X] 1965–[30 IX] 1967 – doc. dr hab. Jan Krajewski
1966–1969 – doc. dr Andrzej Wiesław Lang
[7 XI] 1967–1969 – doc. dr Wacław Szyszkowski
1969–1975 – doc. dr hab. Janusz Gilas
1969–[30 IX] 1970 – doc. dr hab. Stanisław Salmonowicz (odwołany ze stanowiska)
[1 XII] 1970–1971 – doc. dr hab. Czesław Jackowiak
[1 X] 1971–[28 II] 1973 – prof. dr Jerzy Śliwowski
1972–1975 – doc. dr Edmund Mizerski
[1 III] 1973–1975– dr hab. Andrzej Marek
1975–1978 – doc. dr hab. Władysław Bojarski
1975–[30 IX] 1976 – doc. dr hab. Stanisław Jędrzejewski (zrezygnował)
[1 X] 1976–1979 – doc. dr hab. Mirosław Nesterowicz (zrezygnował)
1978–1982 – doc. dr hab. Ryszard Łaszewski
1979–1981 – dr hab. Janusz Justyński
1981–[23 IX] 1982 – doc. dr hab. Alicja Grześkowiak (zrezygnowała)
1981–1984 – doc. dr Eligiusz Drgas
[23 IX] 1982–1987 – doc. dr Edmund Mizerski
[23 IX] 1982–1984 – doc. dr hab. Stanisław Jędrzejewski
1984–1987 – doc. dr hab. Marian Filar
1987–[30 XI] 1990 – doc. dr hab. Andrzej Borodo
1987–[30 XI] 1990 – doc. dr hab. Emil Pływaczewski
198–[31 I] 1988 – (p.o. prodziekan dr Błażej Wierzbowski)
[1 II] 1988–[30 XI] 1990 – doc. dr hab. Błażej Wierzbowski
[1 XII] 1990–1996 – dr hab. Bogumił Brzeziński, prof. UMK
[1 XII] 1990–1996 – dr hab. Krystyna Kamińska, prof. UMK
1996–1999 – dr hab. Zbigniew Witkowski, prof. UMK
1996–1999 – dr hab. Ewa Kustra
1999–2002 – dr hab. Danuta Janicka, prof. UMK
1999–2005 – dr hab. Andrzej Sokala, prof. UMK
2002–2008 – dr Marian Masternak
2005–2012 – dr hab. Bożena Gronowska, prof. UMK
2005–2012 – dr hab. Tomasz Justyński, prof. UMK
2008–2012 – dr Tomasz Jędrzejewski
2012–2016 – dr hab. Arkadiusz Lach
2012–[22 X] 2014 – dr Mikołaj Święcki (emerytura)
2012–2016 – dr Konrad Zacharzewski
2016–[30 IX] 2019 – prof. dr hab. Bożena Gronowska
2016–... – dr hab. Jacek Wantoch-Rekowski, prof. UMK
2016–... – dr hab. Piotr Rączka, prof. UMK
[1 X] 2019–... – dr hab. Maciej Serowaniec

Na koniec warto dodać, iż w zasobie Archiwum UMK znajdują się spuścizny kilkorga wybitnych profesorów z Wydziału Prawa i Administracji: Wojciecha Hejnosza, Władysława Namysłowskiego, Mirosława Nesterowicza, Eugeniusza Ochendowskiego, Stanisława Salmonowicza i Wacława Szyszkowskiego.

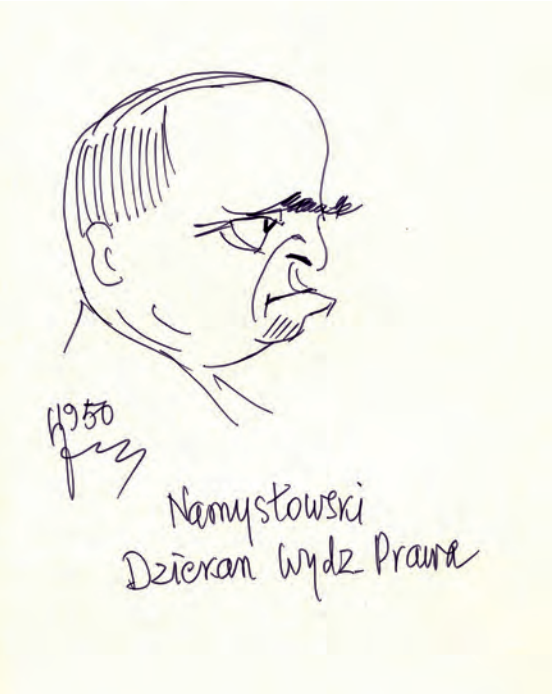

Karykatura prof. Władysława Namysłowskiego autorstwa prof. Leona Jeśmanowicza

Bożena Kierzkowska, Artur Wójtowicz — Archiwum UMK

Artykuł opracowano na podstawie zarządzeń, literatury i akt Wydziału Prawa i Administracji (Prawa 1958–1969) UMK znajdujących się w zasobie Archiwum UMK; wszystkie zamieszczone w tekście zdjęcia pochodzą ze zbioru fotografii tej jednostki.

Srebrna Aneta Rygielska

Od 4 do 9 maja w Ústí nad Labem (Czechy) odbywał się 51th International Tournament „Grand Prix". W pięściarskich zawodach wzięła udział także studentka Wydziału Nauk Biologicznych i Weterynaryjnych – Aneta Rygielska, która dopiero w finałowym zaciętym pojedynku przegrała Rebeccą Nicoli (Włoszka wygrała na punkty 3:2). Podczas turnieju Aneta Rygielska pokonała reprezentantkę Mongolii – Monkhor Namuun oraz Czeszkę – Magdalenę Tichą. Obie walki studentka UMK wygrała na punkty.

Był to ostatni sprawdzian przed wznowieniem rywalizacji o kwalifikację olimpijską podczas europejskiego turnieju kwalifikacyjnego w Paryżu. Tam nasza studentka i uczestniczka programu kariery dwutorowej student-sportowiec UMK powalczy o awans na Igrzyska Olimpijskie w Tokio.

Aneta Rygielska to czołowa polska pięściarka, w swojej karierze sięgnęła już po mistrzostwo Europy oraz liczne tytuły mistrza Polski. Podczas Pierwszych Igrzysk Europejskich w Baku zdobyła brązowy medal w kategorii do 64 kg. (UCS)

Fot. Archiwum UCS

Świetni wioślarze

1 maja odbył się wioślarski Puchar Świata w Zagrzebiu. Polskie osady zdobyły trzy srebrne medale. Były to: dwójka podwójna mężczyzn, czwórka podwójna mężczyzn i czwórka bez sternika. Wśród nich nie mogło zabraknąć studentów-sportowców z programu kariery dwutorowej UMK – Mirosława Ziętarskiego i Fabiana Barańskiego, uczestników projektu MNiE Narodowa Reprezentacja Akademicka.

Mirosław Ziętarski wraz z Mateuszem Biskupem (M2x) rozpoczęli rywalizację w pucharze od półfinału, w którym uplasowali się tuż za reprezentacją Francji. Wynik 06:23.33 dał im pewny start w finale A. W nim historia się powtórzyła. Francuzi triumfowali z czasem 06:12.79, przed reprezentantami Polski, którzy wpłynęli na metę na drugim miejscu (06:15.39). Brązowy medal wywalczyli Szwajcarzy z czasem 06:17.81.

Puchar w Zagrzebiu okazał się szczęśliwy również dla Fabiana Barańskiego – studenta Wydziału Nauk o Ziemi i Gospodarki Przestrzennej, na kierunku turystyka i rekreacja, reprezentującego Polskę w męskiej czwórce podwójnej w składzie z Dominikiem Czają, Wiktorem Chablem, Szymonem Pośnikiem. Polska osada od samego początku objęła prowadzenie, by na ostatnich metrach stoczyć emocjonujący bój z reprezentacją Estonii, której wyższość musiała uznać na mecie. Zawodnicy uzyskali imponujący czas 05:49.03, tym samym student UMK – Fabian Barański wywalczył trzecie srebro dla reprezentacji Polski w Pucharze Świata w Zagrzebiu. O brązowym medalu zdecydował fotofinisz – Niemcy (05:49.65) minimalnie wyprzedzili reprezentantów USA (05:49.76).

Fot. nadesłana

Mirosław Ziętarski – student Wydziału Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie, na kierunku bezpieczeństwo wewnętrzne, to bardzo utytułowany zawodnik. W swojej karierze może pochwalić się takimi osiągnięciami jak mistrzostwo Europy (Lucerna 2019) czy srebrny i brązowy medal mistrzostw świata (2017 i 2019). Zawodnik AZS UMK Toruń na Igrzyskach Olimpijskich zadebiutował w 2016 roku w Rio de Janeiro. Mirosław Ziętarski wystąpił wówczas w czwórce podwójnej razem z Mateuszem Biskupem, Wiktorem Chablem i Dariuszem Radoszem. W eliminacjach zajęli drugie miejsce, co pozwoliło awansować do finału. Tam uplasowali się na czwartej pozycji, tracąc do medalowej pozycji 1,44 sekundy.

Fabian Barański to polski wioślarz mogący pochwalić się m.in. mistrzostwem Europy (2019), jak również tytułem wicemistrza świata (2019). Na co dzień student Wydziału Nauk o Ziemi i Gospodarki Przestrzennej reprezentuje barwy WTW Włocławek. (UCS)

Siatkarska mistrzyni Polski

Aleksandra Żurawska – studentka Wydziału Filozofii i Nauk Społecznych, na kierunku praca socjalna, wraz z zespołem Grupa Azoty Chemik Police sięgnęła po mistrzostwo Polski w ramach siatkarskiej Tauron Ligi.

Fot. nadesłana

Aleksandra Żurawska to uczestniczka programu kariery dwutorowej student-sportowiec UMK; rozpoczęła karierę zawodową w lidze 1 sierpnia 2020 r. Z numerem 16, na pozycji libero, rozegrała łącznie 10 spotkań w ramach Tauron Ligi.

20 kwietnia 2021 r. rozegrano finałowe spotkanie ligi, w którym zespół Grupa Azoty Chemik Police podejmował Developres SkyRes Rzeszów. Policzanki podczas czwartego meczu w emocjonującym spotkaniu wygrały 3:1.

Sama Aleksandra Żurawska tak komentuje to, co się wydarzyło: *Bardzo się cieszę, że mogłam być częścią tej drużyny. Ten sezon był najcięższy, jakiego w swojej młodej karierze doświadczyłam. Kwarantanny, covid, wiele kontuzji i innych problemów, na które wspólnie znaleźliśmy rozwiązanie. W takiej sytuacji złoty medal cieszy jeszcze bardziej. Pokazuje, że ciężka praca popłaca, a sport jest wart poświęcenia. Jako młody sportowiec zachęcam do walki i stawiania czoła przeciwnościom losu, bo czuć się i być zwycięzcą to uczucie nie do zastąpienia.* (UCS)

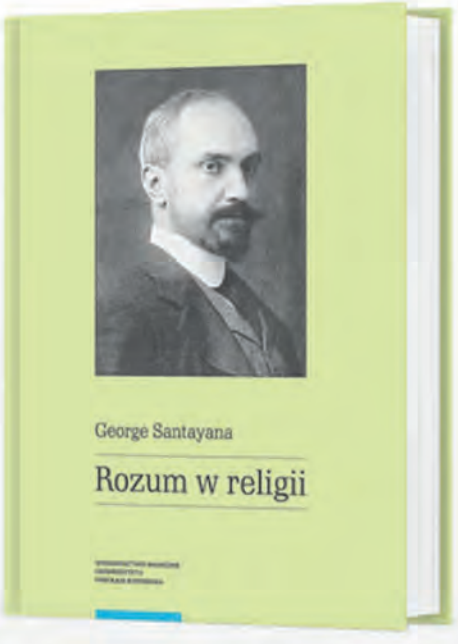

Rozprawa Santayany, należącego do najważniejszych amerykańskich filozofów XX wieku, stanowi trzecią część cyklu The Life of Reason, jednego z dwóch monumentalnych dzieł myśliciela.

GEORGE SANTAYANA

Rozum w religii

PRZEKŁAD, WSTĘP I OPRACOWANIE – ADAM GRZELIŃSKI I KRZYSZTOF WAWRZONKOWSKI

PROMOCJA CENOWA

CZYTAJ WIĘCEJ

ZABYTKOZNAWSTWO I KONSERWATORSTWO

PIOTR NIEMCEWICZ, MARTA CHYLIŃSKA (RED.)

Dziedzictwo rzemiosła artystycznego – tradycyjne techniki oraz nowoczesna konserwacja i restauracja. Tom 1

POLITOLOGIA I STOSUNKI MIĘDZYNARODOWE

WITOLD WOJDYŁO

W drodze do urzeczywistniania idei narodowej Myśl polityczna Narodowej Demokracji 1918–1939. Studia i szkice

CHEMIA

MAGDALENA LIGOR, BOGUSŁAW BUSZEWSKI (RED.)

Fizykochemiczne metody rozdzielania w medycynie i farmacji. Ćwiczenia laboratoryjne

ETNOLOGIA I KULTUROZNAWSTWO

ROBERT PIOTROWSKI

„Jednemu się zmiele, drugiemu się skrupi". Młynarze i młyny w pamięci zbiorowej mieszkańców pogranicza mazowiecko-dobrzyńskiego

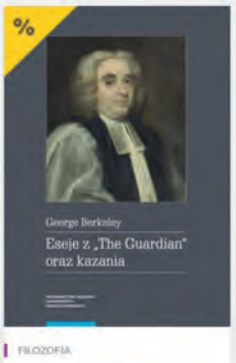

FILOZOFIA

GEORGE BERKELEY

Eseje z „The Guardian" oraz kazania

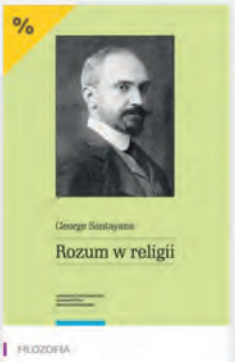

FILOZOFIA

GEORGE SANTAYANA

Rozum w religii

ARCHEOLOGIA

JACEK BOJARSKI

Obrzędowość pogrzebowa w strefie chełmińsko-dobrzyńskiej we wczesnym średniowieczu. Funeral Rituals in the Chełmno-Dobrzyń Zone in the Early Middle Age

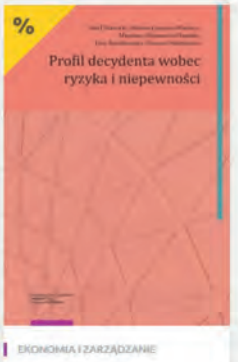

EKONOMIA I ZARZĄDZANIE

JÓZEF STAWICKI, HELENA GASPARS-WIELOCH, MARZENA FILIPOWICZ-CHOMKO, EWA ROSZKOWSKA, TOMASZ WACHOWICZ

Profil decydenta wobec ryzyka i niepewności

www.wydawnictwo.umk.pl

To Twój Głos

NAUKA • BADANIA • KULTURA • SPORT

GŁOS UCZELNI

KOMPAS
AGENCJA TURYSTYCZNA

kliknij do nas:
www.bilety-lotnicze.com.pl

IATA | Accredited Agent

PIT